

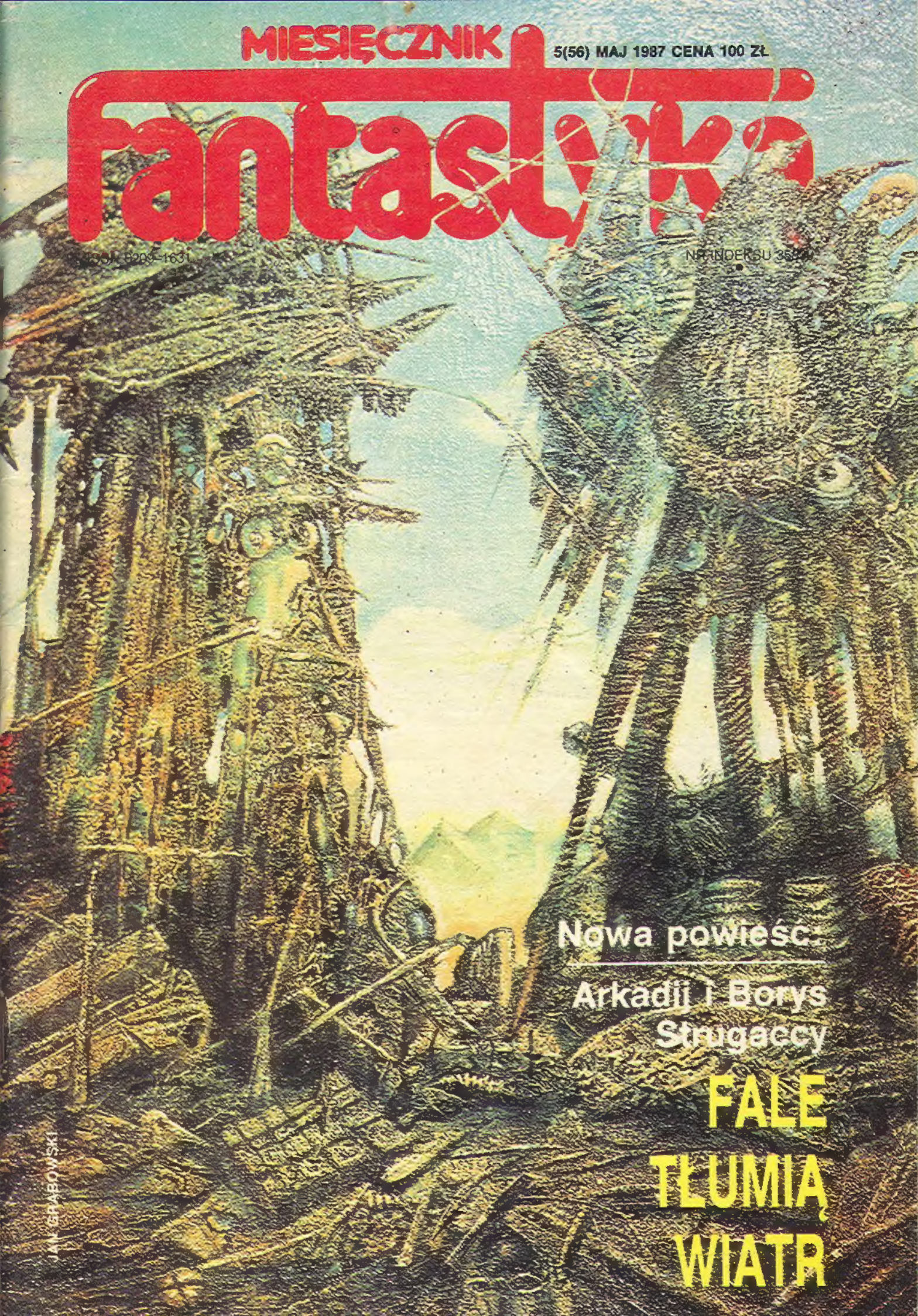
MIESIĘCZNIK

5(56) MAJ 1987 CENA 100 ZŁ

Fantastyka

ISSN 0209-1631

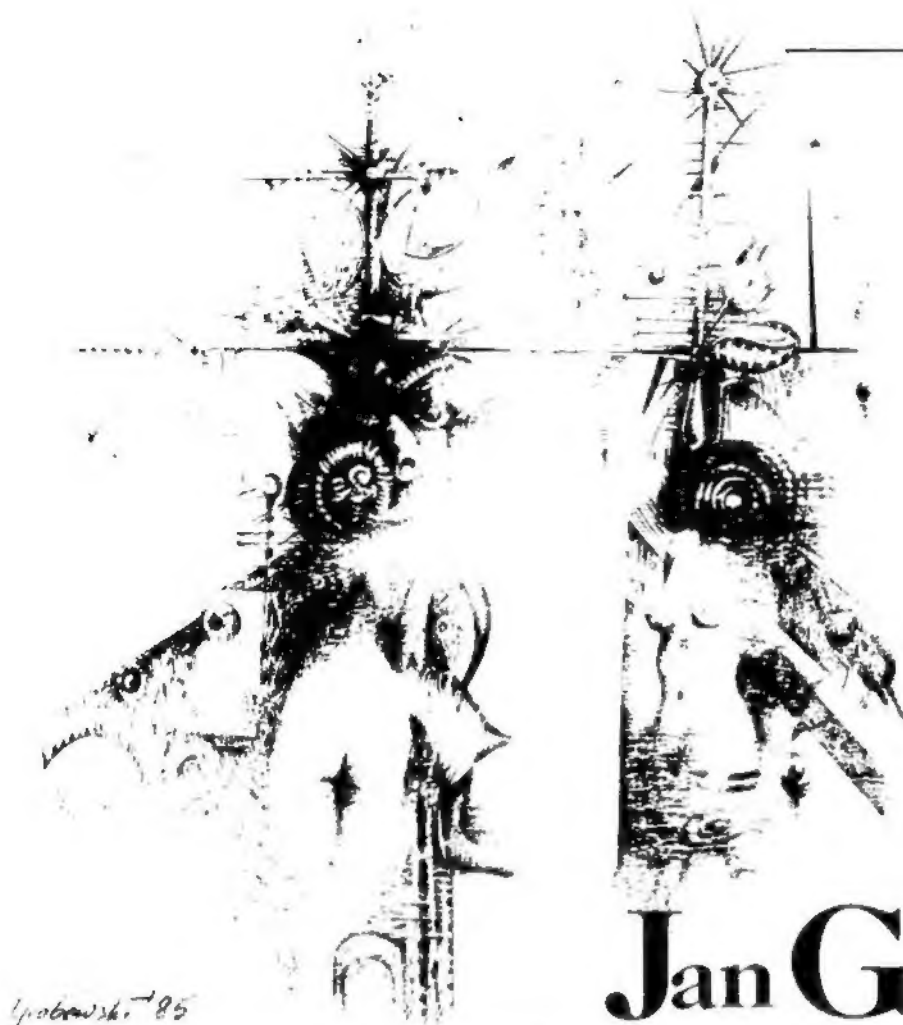
NR INDeksu 35820



Nowa powieść:

Arkadij i Borys
Strugaccy

**FALE
TŁUMIA
WIATR**



JAN GRABOWSKI urodził się w 1955 r. w Warszawie. W latach 1974-1979 studiował na Wydziale Malarstwa Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Gdańsku w pracowni prof. Kazimierza Ostrowskiego. Wystawy indywidualne: Gdynia (1979), Sopot (1982), Gdańsk (1984), Tulle (Francja, 1985). Uczestniczył też w wielu wystawach zbiorowych, m.in. w Gdyni, Szczecinie, Warszawie, Sopocie, a także w RFN, Francji, Grecji i Finlandii.

Jan Grabowski

Pochodzący z Belgii JEAN-CLAUDE SMIT LE BÉNÉDICTE po trzech latach pracy w teatrze dla dzieci rozpoczął pracę rysownika. Jego grafiki były wielokrotnie eksponowane w Belgii i za granicą. W latach 1974-1975 był redaktorem naczelnym czasopisma komiksowego „Magorie” oraz kierownikiem galerii sztuki. Od roku 1975 do 1979 zorganizował pięć konwencji science fiction w Brukseli, gośćmi których byli m.in. A.E. Van Vogt, Thomas Owen, Harry Kumel. W roku 1976 pod wpływem sugestii Gian Lhassy rozpoczął pracę literacką i napisał we współpracy z nim ponad 150 opowiadań oraz kilka powieści. Jednocześnie pisał scenariusze komiksów rysowanych przez Marca Hardy’ego, Didiera Conrada, Grzegorza Rosińskiego i innych. Pisał również powieści, opowiadania i scenariusze komiksowe we współpracy z innymi autorami. (S.K.)



Jean Claude Smit le Bénédicte



23

Kammerer – nazwisko to zapewne wzbudzi natychmiastowy odzew u wielbicieli twórczości braci Strugackich. Umożliwiamy kolejne spotkanie z bohaterem „Przenicowanego świata” i „Żuka w mrowisku” (tę drugą powieść drukowaliśmy w „Fantastyce” 1–3/82). Tym razem Maksym Kammerer, 89-letni naczelnik wydziału Nadzwyczajnych Wydarzeń Komisji Kontroli KOMKON-2, przedstawia swoje pamiętniki, w których opisuje tajemnicze wydarzenie sprzed 30 lat.

Arkadij i Borys Strugacy: „Fale tłumią wiatr”.

Opowiadania i nowele

Jaroslav Veis
Kto się śmieje ostatni

4

Ian Watson
Powolne ptaki

10

„Piłka odbiła się od stali i nim gracz z przeciwnej strony zdolał zareagować, ugodziła go dokładnie między obojczyki. Po ciosie prosto w serce miejsce to jest najwyższej oceniane – na siłowce treningowej widnieje przy nim liczba 11...”

„Przytapał się na myśl, co kryje się pod metalową powłoką piaka. Coś, co potrafi przekształcić osiem kilometrów krajobrazu w szklaną taflę, niewątpliwie. Ale także inne rzeczy. Takie, które powalają ptakowi ignorować grawitację. Rzeczy, które umożliwiają mu pojawianie się i znikanie. Może nawet jakiś rodzaj mózgu?”

Powieść

Arkadij i Borys Strugacy
Fale tłumią wiatr (1)

23

„Wszystko to zaczęło się dwa wieki temu, kiedy w skałach Marsa nagle odkryto puste podziemne miasto z jantarnu – wówczas po raz pierwszy padło słowo „Wędrowcy”...”

Z polskiej fantastyki

Mirosław P. Jabłoński
Czas Wodnika

43

„Nigdy! Uznał propozycję za bezwstydną. Miałby pozwolić, by inni ludzie, obcy i niebezpieczni, najpewniej wrogowie Federacji, której był jednym z milionów strażników, mieli dostęp do jego mózgu! Do jego wiedzy, tajemnic służbowych? Mieliby wpływać na niego, by zaraził się tym samym niebezpiecznym szaleństwem? Nie...”

Krytyka

Słownik polskich
autorów fantastyki

53

Adam Mickiewicz (1798–1855) był także autorem traktatu „Historia przyszłości”, wyprzedzającego o wiele lat fantastyczne prognozy Verne’a i literackie koncepcje Wellsa.

Recenzje

56

Piszą: Wawrzyniec Sawicki o wydanym przez „iskry” zbioru polskich opowiadań – „Błiskie spotkania”, Krzysztof Sokołowski o bestsellerze Stephena Kinga – „Skeleton Crew”, Maciej Parowski o „Władcy much” Williama Goldinga, Leszek Bugajski o dwóch „morskich” opowiadaniach Herberta George’a Wellsa

XIX-wieczne koneksje
nowoczesnej SF
Dni Fantastyki 1986

58

Fantastyka Wellsa zasadniczo się różniła od tej, którą uprawiał Verne... – esej prof. Juliusza K. Palczewskiego, jednego z laureatów literackich nagród „Fantastyki” za rok 1985, przygotowany na seminarium krytyczne, które odbyło się na Uniwersytecie Warszawskim w listopadzie ubiegłego roku.

Nauka i SF

Mezoamerykańskie zagadki

60

Czy pierwotna ludność Ameryki przedostała się do niej z Azji przez „most” Beringa, czy też z Australii odwiedzając po drodze Antarktydę – nie wiadomo, różnorakich hipotez jest bardzo wiele. A może pramerykanie przybyli z tajemniczego łądu, który kiedyś istniał na Pacyfiku...?

Miła zabawa w cieplarnie

62

Czy ludzkość zdąży uciec przed gigantycznym potopem na inne planety? – Maciej Kłowiecki o tym, co nastąpi, jeśli spełnią się przewidywania klimatologów-pesymistów.

Parada wydawców

Biblioteka „Fantastyki”

64

Zbiór opowiadań Janusza A. Zajdla „Dokąd jedzie ten tramwaj” będzie pierwszą pozycją nowej serii wydawnictwa „Książka i Wiedza”, przygotowywanej we współpracy z naszą redakcją.

Film i fantastyka

Spirala strachu

111

Dorota Malinowska przedstawia „Listy Martwego Człowieka” – wyreżyserowany przez Konstantina Łopuszanskiego film, którego współscenarzystą był Borys Strugacki.

No i widzicie Państwo co się wyprawia na rynku księgarskim? Teraz już nie tylko chłam zalega półki i wala się po ladach, leży również mnóstwo faktycznie dobrych tytułów, a nawet najbardziej pasjonująca literatura fantastyczna przestaje znikać pod ładami, świecąc na co dzień w oczy potencjalnym nabywcom, bezcennie łatwa do nabycia, towar jak każdy inny, już nie wyjątkowy. Co dzieje się ku zgrozie wydawców!

Tak długo traktowali rzeczy fantastyczne jako narzędzie do wyciągania czytelnikom pieniędzy z kieszeni, tak windowali ceny, aż się popiekli. W epoce rozpowszechnienia telewizji i rozrastania się liczby odtwarzaczy wideo w naszym kraju, to znaczy wtedy, kiedy należałoby ratować książkę, będącą przecież najpełniejszym nośnikiem najwartościowszych humanistycznych treści, jak gdyby zapomniano o tych walorach, o kulturotwórczej misji literatury pisanej i tak doszło do swoistego harakiri wydawnictw.

Książka przez nie wypuszczana na rynek droga, za bardzo, coraz bardziej, a nędznie wykonywana, nietrwała, pozbawiona ilustracji, atrakcyjnych okładek (z treściami także różnie bywa) – ledwo się gnieździ na półkach, rozsada ją, leżakuje dniami, tygodniami, miesiącami, oczekując prawdziwego miłośnika. W takich warunkach wzrasta walka konkurencyjna, lepsze, ciekawsze – naprawdę wypiera gorsze i słabsze. Zaczyna się jak gdyby prawdziwy rynek księgarski.

Nie ma więc tego, co by na dobre nie wyszło? Prawda nareszcie wypływa na wierzch, ukazując zarysy autentycznej hierarchii wartości?

Chwileczkę, bez gątopu, bez zalatowanej radości. Po pierwsze zjawisko sprzedaży spod lady różnych tytułów wcale nie zginęło – przeciwnie, ma szanse stania się szatańską wprost metodą manewrowania wartościami, igrania z gustami czytelników.

Biedni wydawcy nie tylko sami wpadli we własne sidła windowania zysków, lecz ulegli także niezwyklej przebiegłości księgarzy. Ja tu oczywiście nie mówię, że przywara ta – przebiegłość – dotyczy wszystkich ludzi handlujących książką, ale nawet jeśli ogranicza swój zasięg do pewnych tylko grup księgarzy, już może stwarzać duże niebezpieczeństwo dla książki, dla jej autorów i nabywców.

Oto panuje ciągle praktyka, a nawet się zaczyna – dostosowywania nakładów książki



do zamówień tych, którzy książką handlują. I dzieje się coś niezwykłego: okazuje się (nie chcę tu cytować nazwisk ani tytułów, aby nie stwarzać jakichś konkretnych afer), okazuje się mianowicie, że księgarze stali się niezwykle ostrożni. I zamawiają mrowane bestsellery (np. fantastyczne) w przesadnie niskich nakładach. Kierują się podobno w tej sprawie obawą przed długim leżakowaniem drogich bardzo książek. Już dawno odzwyczaili się przecież od normalnej działalności, normalnego rynku, na którym autorzy i ich dzieła powinni czekać na prawdziwych miłośników, boją się tej zwyczajności panującej na prawie całym świecie. Inna sprawa, że może być ta normalność i solą w oku, czy raczej pustką w ich kieszeni. Książka pod ladą jest cenna, na ladzie zaś tylko tyle warta, ile za nią ewentualny nabywca zechce zapłacić. Jeżeli bowiem rzecz nie pójdzie za cenę (tę wysoką), przygotowaną na okładce przez wydawcę, księgarz będzie zmuszony do dokonania przecen, poza tym rosnąć będą remanenty w magazynach, spadną obroty. Normalny rynek to po prostu rynek nie do zniesienia!

Zawsze byłem przeciwnikiem zawyżania nakładów książek, bo one właśnie przy ograniczonej puli papieru powodowały wydawanie małej liczby tytułów, zubożały ofertę kulturalną. Jednakże zbyt niskie nakłady to w naszych warunkach dowód braku rozeznania potrzeb przez księgarzy. Widać, coraz mniej pośród nich tych, którzy dobrze orientują się w polityce wydawniczej oraz zainteresowaniach i potrzebach czytelników. W dziedzinach, w których książka bywa szczególnie poszukiwana (do takich na pewno należy fantastyka) niskie nakłady stworzą ogromny głód książki,

wzmogą spekulację. A ponieważ o „dodrukach” w panującej u nas sytuacji poligraficznej nie ma prawie mowy, powiększą się odległości między autorami a ich potencjalnymi czytelnikami. Jest to zjawisko kulturowo szkodliwe, o którym już zresztą wspominałem na tych łamach, więc się nie będę powtarzał.

Jestem pewien, iż musi się skończyć wreszcie bezsensowna pogoń czytelnika za książką, którą pragnie przeczytać, musi się także skończyć ślepotą autorów, którzy czekając wiele lat na swoje pozycje na rynku, wskutek opóźnień i poślizgów wydawniczych i drukarskich tracą z oczu swego czytelnika, tracą z nim kontakt.

Ciesząc się więc, że na razie drogie książki czekają na swoich nabywców po długich latach wylegania się w wydawnictwach i drukarniach, nie strachmy z oczu proporcji. Nie przechodźmy do porządku dziennego „nad zanizaniem nakładów na skutek żądań słabo zorientowanych lub wygodnych księgarzy, którym ciągle marzy się sprzedaż pseudobestsellerów spod lady. Przestrzegam wydawców przed ślepym polowaniem na duże zyski z książki; przed polityką i samobójczą dla nich samych, i kulturobójczą. Nie rozkupione książki znajdują się pod groźbą unicestwienia, przemiatu na papier. Być może papier ten zostanie w dużej mierze wykorzystany do zbożnych celów, na przykład na różnego rodzaju encyklopedie, poszukiwane szczególnie przez amatorów rozwiązywania krzyżówek, a tu i ówdzie także przez młodzież szkolną, kształconą w systemie encyklopedycznym, to znaczy: mnóstwo, za bardzo, i po łebkach. Ale śmiem zapytać, czy jest to prawdziwy cel wydawania książek, ten najgłówniejszy?

Bardzo niepokoi więc, w sumie bardziej niż cieszy, to co się w księgarniach dzieje i to jak widać z różnych powodów. A swoją drogą ciekawi nas, redaktorów „Fantastyki”, co nasi Czytelnicy sądzą o ruchu wydawniczym w interesującej ich dziedzinie. Jeśli można prosić o listy w tej jakże ważnej sprawie – to ich z niecierpliwością będziemy oczekiwać i postaramy się przedyskutować zawarte w nich treści i wypunktować problemy. Ciekawia nas opinie o rodzimym edytorstwie, autorach, o tym co się w ostatnim okresie najbardziej podobało, a co nie, i co z przekładami.

Do następnego orbitowania!
10 - 9 - 8 - 7 - 6 - 5 - 4 - 3 - 2 - 1 - 0

Adam Hollanek

MIESIĘCZNIK Fantastyka

Adres redakcji:
00-640 WARSZAWA,
ul. Mokotowska 5/6

Telefony: 25-34-75 (red. nac., sekretariat, działy techn., graf., literatury polskiej), 25-50-51 (z-ca red. nac., sekretariat, działy zagr., krytyki).

Redaktor naczelny: Adam Hollanek. **Zespół redakcyjny:**

Andrzej Brzeziński (kier. działu graf.), Leszek Bugajski, Anna Gładka, Lech Jęczyński (kier. działu zagr.), Sławomir Kedzierski (z-ca sekr. red.), Zbigniew Latała (fotoreporter), Maciej Makowski (kier. działu techn.), Dorota Malinowska, Andrzej Niewiadomski (z-ca red. nac.), Maciej Parowski (kier. działu literatury polskiej), Jacek Rodek (z-ca red. nac.), Krzysztof Szolginia (sekr. red.), Darosław J. Toruń, Marek K. Zalejski, Rafał A. Ziemiakiewicz.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, w publikowanych tekstach zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów.

Wydawca: Krajowe Wydawnictwo Czasopism „RSW „Prasa-Książka-Ruch”, ul. Noakowskiego 14, 00-666 Warszawa, tel. centr. 25-72-91 do 93. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklam i Propagandy, tel. 25-35-36. Skład: Zakłady Wkleśłodrukowe RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Warszawa, ul. Okopowa 58/72. Druk i oprawa: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Łódź, ul. Armii Czerwonej 28. Zam. 11 09/87, K-9. Nakład 150 000.

Czytelnicy i „Fantastyka” ŁĄDOWANIE LI

Nowa porcja listów ostatnio otrzymanych od Czytelników. Mimo że opóźnienie od chwili redagowania pisma do jego dotarcia do Państwa wynosi aż 3-4 miesiące, żyjecie tymi samymi problemami co redaktorzy. Wielokrotnie Wasze słowa są jak gdyby wyjęte z naszych ust. Zastanawiam się skąd bierze się ta identyczność. Na pewno z dobrej znajomości tematyki, którą w „Fantastyce” poruszamy, ale to nie tylko to... Zresztą niech przemawiają listy

Jeszcze o zakłamaniu

... Chciałbym jeszcze o zakłamaniu, w którym tkwią tzw. krytycy literaccy. Nie dopuszczają oni myśli, iż utwór literacki z gatunku SF może być dobry. Jeśli im się taki trafi, zaraz zaczynają pisać – „mimo pozornej przynależności do SF...” itd., itd. Postawa wydawców jest podobna. Wiele znaczących pozycji SF na naszym rynku ukazuje się poza seriami i często są one opatrzone podobnym do wyżej wspomnianego komentarzem. Przykładów wiele, choćby „Wyspa” J.G. Ballarda czy „Salamandra” P. Berroely. Należałoby podjąć działania, aby położyć kres okradaniu SF ze wszystkiego co najlepsze.

Zdzisław Grygiel z Jarocina

... Nieznajomość znaczeń wielu słów utrudnia lub wręcz uniemożliwia niekiedy rozumienie treści. Bardzo często nie ma tych wyrazów w żadnych słownikach. Proponuję, by na końcu felietonów, esejów itp. wyjaśnić znaczenie rzadko używanych, trudniejszych wyrazów. (...) Uważam, że pierwsze numery „Fantastyki” były dużo lepsze, ciekawsze. Nie jest ważna jakość papieru, lecz zawartość i temu powinna Redakcja poświęcić więcej uwagi.

Piotr Banyk z Gorlic

Marzy mi się wydawnictwo książkowe firmowane przez „Fantastykę” oraz program telewizyjny poświęcony w całości „Fantastyce”.

Sławomir Ronkowski z Sopotu

Jakież to zakłamanie, jak niskie działania. Fantastykę traktuje się, nie tylko u nas, jako narzędzie do wyćskania pieniędzy. A nikt się nie liczy z tym, że my, młodzi, tę fantastykę naprawdę szanujemy i kochamy, że ona bywa naszym przewodnikiem po dobrym i złym. A tu nagle książki, które mają kupować młodzi, ci najbiedniejsi, bo jeszcze nie dorobili, kosztują ponad trzy stowy, jak na przykład Wasza „Trzecia brama”. Niech wydawcy przestaną zerować na młodych, niech wysoko wyceniają książki, które tak lubią dorośli: jakieś „Isaury” i inne. A nie fantastykę.

Janusz Godyń z Wrocławia
razem z grupą studentów

Mało jest prozy

Sondaż organizowany przez Was uważam za rzecz potrzebną, lecz stawiającą miłośnika „Fantastyki” przed problemem podjęcia decyzji, który z numerów pisma jest najlepszy, który zaś najmniej ciekawy, który autor lepszy, a który gorszy itd. Zastanawiałem się przez około 10 dni nad odpowiedziami na poszczególne pytania. I

praktycznie czytuje „Fantastykę” od deski do deski, gdybym miał oceniać Was, jak to się czyni w niektórych dyscyplinach sportu w skali 1-6, dostalibyście same 6.

K. Spurek

Doceniam, że takie pismo w ogóle istnieje. Wydaje mi się jednak, że mało jest tu prozy. Przecież to miesięcznik literacki, a nie polemiczny. Można zwiększyć objętość prozy, rezygnując z innych, mniej ciekawych rzeczy. Drukowanie dłuższych opowiadań (np. Donaldson, Martin) uważam za bardzo dobry pomysł. Niech poezja zostanie. Bez niej to już nie jest to. Przecież wiersze Anne Sexton czy Karela Šyba są świetne, nie rozumiem czego od nich chcą przeciwnicy. Więcej klasyków.

Tomasz Bielenda z Warszawy

Główne grzechy „Fantastyki”: za samą „Galerię” brawo, ale jej rozmieszczenie pozostawia wiele do życzenia. Rysunki „Galerii”, zamieszczane wewnątrz opowiadań, pozbawiają ich ilustracji bezpośrednio do nich się odnoszących. Według mnie „Galeria” winna być umieszczona w środku numeru, jak komiks, co umożliwiłoby także kompletowanie rysunków.

Grzech drugi – „pożółkłe kartki”. Na miejsce tej rubryki należałoby wstawiać co miesiąc, całościową rubrykę „komu, komu”. „Poezja i fantastyka” dumnie brzmi, ale z fantastyką nie ma nic wspólnego, co za sens więc drukować? Może myślę się, mówiąc o zastój, ale w „Fantastyce” od dłuższego czasu nie było żadnej rewelacji wśród opowiadań polskich. Co do wartości najnowszych polskich książek SF nie mogę się tu wypowiadać, gdyż nie udało mi się kupić żadnej pozycji napisanej w ubiegłym roku.

Michał Kluka z Łodzi

Za 200 – 300 złotych ta „Fantastyka”

Nie należę niestety do szczęśliwców, którym udało się zaprenumerować „Fantastykę”. Zaczynam się w nią głównie w antykwariatach, czasami u znajomego kioskarsza (normalnie w kiosku udało mi się kupić tylko kilka numerów). Niemal w każdym wypadku za cenę 200-300 złotych,

a nawet 500 za egzemplarz. W tej chwili brakuje mi tylko 3 egzemplarzy – 1/82, 4/83, 7/86 (...). Z przykrością muszę stwierdzić, że dobor tekstów oraz szata graficzna z każdym rokiem gorsze. Za mało Żelaznyego, Harrisona, MacAppa, Barbela, Clarke’a i Aldissa. A przecież to wielcy twórcy. Z polskiej SF więcej winno być debiutantów. Czy nie udałoby się zwiększyć nakładu pisma?

M.G.

Dziewięćdziesiąt osiem procent czytelników „Fantastyki” do krytyki nie zagląda, chcą czytać SF i fantasy, a czy jest ona uznana czy potępiona przez przesławionych znawców to NIKOGO nie obchodzi. Zrozumie wreszcie, że wszelkie poświęcanie stron „Fantastyki” na co innego niż druk i przedruk światowej SF i fantasy w ich różnych postaciach jest jak najgorzej widziane. Mody i trendy jak przychodzą, tak odchodzą. A tracić kilkanaście stron na dętą brechtę to zbyt dużo. Lubimy „Fantastykę” i chcemy czytać w niej fantastykę w całości, od a do z.

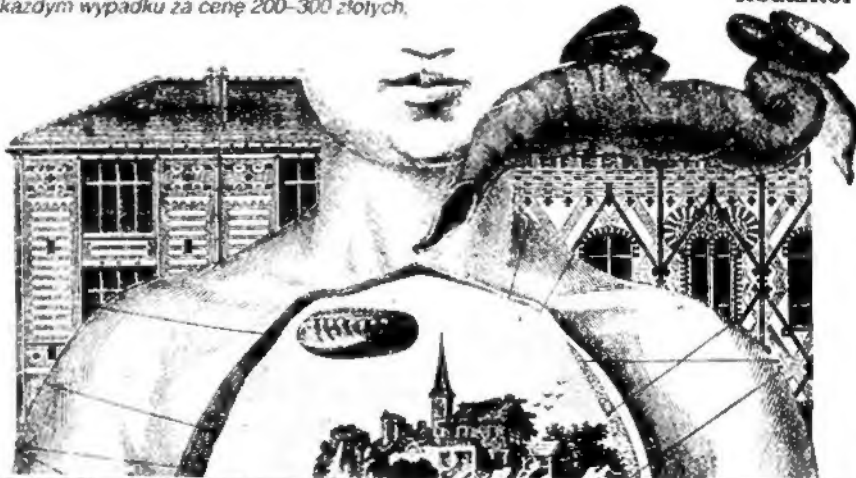
Jolanta i Anka

No i jest znowu dyskusja. Ostra, bezkompromisowa, jak na miłośników „Fantastyki” przysłało. Pozeraccie tekstów literackich czy pseudoliterackich, dobrych czy złych, ponurych czy śmiesznych – wszystko poza tymi tekstami wywaliliby z numerów naszego pisma. Z ocen jednak czytelnicznych wcale nie wynika, że tych pożerać jest aż 98 procent! To prawda, że oni nie wiedzą, iż to co piszą jest po prostu nieprawdą, a nie wiedzą ponieważ nic innego prócz tekstów powieści i nowel nie czytają i nie chcą czytać. Są straszliwie nietolerancyjni.

Z sondazy jednakże wynikają całkiem inne proporcje i całkiem inne apetyty czytelnicze, co udowodnilismy publikacją wyników dwóch takich badań na naszych łamach.

Trzeci sondaz w toku. Ale nie kładziemy tamy w ocenach nikomu, nawet nietolerancyjnym. Są ich wypowiedzi kijem włożonym w mrowisko. Zaś mrowisko fantastów lubi ugryźć, czy odgryźć się. Na co oczekujecie.

Redaktor



UWAGA!

Nastąpiła zmiana terminu Ogólnopolskiego Konw. ntu Klubów SF „POLCON 87”. Odbędzie się on w Warszawie w dniach 20-23 sierpnia br. Reszta informacji dotyczących tej imprezy zawarta w poprzednich numerach „Fantastyki” nie ulega zmianie.

opowiadania i nowele

Wszatni było cieplej niż na korytarzu. Z początku suche i przesycone wonnymi emulsjami powietrze wydawało się przyjemne, lecz już po paru minutach Natalii zaczęło się źle oddychać.

Rozejrzała się po pomieszczeniu. Pomiedzy drzwiami łazienki a wielkim, pustym ekranem dostrzegła płytę z kilkoma guziczkami. Wstała z twardego, niewygodnego fotela, przeszła przez pokój i próbowała znaleźć przycisk wyłączający ogrzewanie.

Mały, szczupły człowieczek, o nieproporcjonalnie dużej głowie zamrugał powiekami i odezwał się zaskakująco głębokim głosem:

- Właśnie sobie pomyślałem, że moglibyśmy włączyć telewizor. Żeby było wiadomo, kiedy mecz się skończy.

Czoło też miał jakby o numer za duże, kończące się przy ciemieniu i zroszone kropelkami potu. Natalia wzruszyła ramionami.

- Czemu nie?

- Drugi z lewej, w górnym rzędzie - poradził człowieczek.

Spełniła jego życzenie i nacisnęła guzik. Mentolowy upał wypełnił się rykiem dwudziestu tysięcy głosów. Nie udało jej się zorientować, w jaki sposób wyłączyć ogrzewanie, więc tylko z rezygnacją spojrzała na świecący ekran i wróciła do fotela.

- Foty: fiftyn - rozległ się mechaniczny głos automa-

wystrzeliła piłkę na drugą stronę siatki. W ułamek sekundy później huknęła o nawierzchnię kortu. Co działo się dalej, to można już było widzieć tylko na zwolnionych replach.

Piłka odbiła się od stali i nim gracz z przeciwnej strony zdołał zareagować, ugodziła go dokładnie między obojczyki. Po ciosie prosto w serce miejsce to jest najwyżej oceniane - na sylwetce treningowej widnieje przy nim liczba 11.

Wybuch wzniosł przeciwnika w powietrze, a rakietą wyleciała mu z ręki gdzieś wysoko, pod dach hali. Natalia instynktownie schowała głowę w ramionach.

Mezycyzna uderzył plecami w żółty pancerz o ściankę ochronną za linią końcową kortu i powoli osunął się na ziemię. Znieruchomiał.

- Lan, tu, sri, for, fajf, siks, sewen - liczył automat. Na widowni panowała absolutna cisza i dwadzieścia tysięcy widzów wstrzymało oddech. Rakietą opadła spod sufitu i stuknęła o schody między sektorami.

Mezycyzna w żółtym pancerzu drgnął i uniósł się na rekach. Wydawało się, że ma jeszcze trochę siły i że spróbuje wstać albo przynajmniej ukłęknać, aby walka mogła się toczyć dalej.

- Ej, najn - beznamietnie kontynuował sedzia.

Na czole człowieczka wystąpiły kropki potu, które łączyły się w strumyczki i zaczęły ściekać wzdłuż brwi.

Jaroslav Veis

Kto się śmieje ostatni

(Kdo se směje naposled)

tycznego sedziego. Stał na pajęczych nogach tuż przy siatce i strzelał wokół siebie promieniami laserowymi. Nie przeoczył ani jednego ruchu wszystkiego co żywe i nieżywe na korcie.

- Proszę o spokój - wyrecytował automat. Ryk zmienił się w oklaski, lecz po chwili zapadła cisza.

Natalia pomyślała, że chyba musi znać tysego człowieczka, ale nie wiedziała skąd. Zauważyła go w holu centrum sportowego, jak pytał o szatnię Johna Hartla i bez trudu uzyskał informację. Zdecydowała się i ruszyła za nim. Doprowadził ją aż tutaj, a teraz oboje siedzieli i czekali na czempiona.

Odwróciła się w stronę ekranu. John Hartl był nawet jak na tenisiste bardzo wysoki i mocno zbudowany. Głowę okrywał mu wielki hełm z rysunkiem węża plującego ogniem. Ramiona przykrywały ochraniacze z lekkiej masy pancernej; podobny pancerz osłaniał jego klatkę piersiową, brzuch i uda. Elastyczne nakładki na łokciach i kolanach oraz wielkie, kuliste rękawice dopełniały stroju czempiona. Na wszystkim, co miał na sobie widniały napisy SCIENTIFIC oraz ICM. Podobne napisy zdobiły czarną matową raketkę.

Hartl stał nieruchomo na linii końcowej, a nogi - chronione przez pancerne buty - miał mocno zaklinowane w blokach, z których serwował. Uderzył dwukrotnie piłką o ziemię i za każdym razem, gdy ciężka, spreżysta kula załomotała o stalową nawierzchnię kortu, rozlegało się pełne napięcia westchnienie tłumu.

- Proszę o spokój - oświadczył automat.

Chudy człowieczek wysunął język i przygryzł go, jakby się bał, że wpadnie mu do gardła i udusi go. Natalia spróbowała go naśladować. Było to okropne uczucie.

Piłka wzbijała się wysoko ponad głowę Hartla. Rakietą opisała łuk i po chwili dało się słyszeć mały wybuch, gdy

Natalia skrzywiła się z obrzydzeniem. Ludzie nie powinni się pocić, kiedy oglądają telewizję.

- Odwali kite, na miejscu odwali kite - szeptał człowieczek. - To będzie czysty as.

Ręce się załamały i żółty hełm zadudnił o stal. Z orla na hełmie pozostała tylko jedna noga ze szponami.

- Ten - wyrecytował automat. - Proszę o spokój.

Dwadzieścia tysięcy widzów ryknęło na całe gardło. Do leżącego ciała podbiegło dwóch sanitariuszy z noszami. Trzeci szybko wielką gąbką wycierał z krwi miejsce, w którym przed chwilą spoczywała głowa.

Człowieczek odetchnął z ulgą i wierzchem dłoni otarł czoło.

- Jeśli nie wyciągnie kopyt na miejscu, to do wieczora z pewnością już nie zipnie - stwierdził z zadowoleniem.

- Gem, set, mecz Hartl - powiedział automat głosem wyższym o jedną skalę. Jego wysokość zbliżała się już prawie do granicy ultradźwięku. - W trzecim secie John Hartl pokonał Sama Hawkinsa przez k.o.

- John jest bezkonkurencyjny - krzyknął człowieczek i rozpromieniony popatrzył na Natalię.

Ona spoglądała na niego w milczeniu. Śmieszył ją. Teraz zrozumiała, że wydał się jej znajomy dlatego, że był absolutnie przeciętny. W korytarzach miasta codziennie spotyka kilka tysięcy takich facetów. Wyrób seryjny, bez żadnej wartości.

- Zawsze był świetny - ciągnął dalej człowieczek. - Już od małego. Jak tylko ojciec po raz pierwszy przyprowadził go na korty, od razu wyczułem, że ten szczeniak ma dryg. Miał to wypisane na czole.

Natalia podniosła się z twardego fotela i przeciągnęła się, prostując zdrtwiałe mięśnie. - Można to wyłączyć? - spytała.



- Był jeszcze takim szczeniakiem. - Człowieczek pokazał ręką nisko nad ziemią.

- To ja wyłączę - oświadczyła Natalia.

Człowieczek popatrzył na nią błędnym wzrokiem i wzruszył ramionami.

Podeszła do ekranu akurat w chwili, gdy kamera pokazywała zbliżenie Johna Hartla, stojącego obok krzesła, na którym wisiał wielki ręcznik. Jak wszystko inne zdobyły go napisy SCIENTIFIC i ICM, a ponadto można było na nim dostrzec smugi krwi. John Hartl stał już bez hełmu. Miał szczupłą twarz z prostym nosem i ciemnymi gładkimi włosami. Widać było, że są teraz mokre od potu. Jego oczy - wąskie i brązowe - wydawały się zimne. Zresztą cała jego postać sprawiała dziwne wrażenie; był chłodny i opanowany jakby nie dotyczyło go to wszystko, co się działo wokół. Na obu rękach miał wciąż jeszcze rękawice z napisami i Natalia pomyślała, że hasła SCIENTIFIC i ICM powinny również zdobić jego czoło.

- No, to niech pani wyłączy - mruknął człowieczek; wyprostował się na krześle, a potem, nie patrząc na nią, dodał: - Pani jest asystentką od kontroli antydopingowej, nie?

- Nie - odparła Natalia.

Wdrodze do szatni John Hartl sięgnął ręką do potylicy i oderwał aparat. Na korcie nigdy go nie zdejmował, choć robiło tak wielu zawodników. On jednak chciał pozostać skoncentrowany również po walce, a aparat pozwalał mu nie zwracać uwagi na to, co działo się dookoła.

Ryk trybun i nieprzyjemny świst ultradźwięków zaatakowały go głośniejsze niż wtedy, gdy stał na korcie. Poczul się tak, jakby wyjmował zatyczki z uszu. Męczące ultradźwięki zdawały się być coraz potężniejsze.

Odwrócił się do młodego człowieka z naszytą na klapie odznaką Federacji Nowoczesnego Tenisa. Był to szef tu-tejszego turnieju Grand Prix, który po każdej walce odprowadzał zwycięzcę do szatni. - Czy te ultradźwięki muszą tak ryczeć?

Młodzieniec uśmiechnął się usługnie. - No oczywiście... byłoby lepiej, gdyby... Tylko że w ten sposób szybciej wyganiamy ludzi z sali i szybciej możemy wpuścić nowych. Poza tym biją się już na zewnątrz.

- Mhm... - Hartl kiwnął głową. - Też niezły wynalazek. Niedługo na świecie zamiast ludzi będą same wynalazki.

- Słucham? - Wydawało się, że facet nie zrozumiał, o czym John mówi.

- E, nic. Są już wiadomości ze szpitala, jak to wygląda z Hawkinsem?

- To było wspaniałe uderzenie, panie Hartl. Coś takiego można zobaczyć tylko w telewizji. Załóżę się, że otrzyma pan nominację do nagrody „Bomby Roku”.

- Co jest z Hawkinsem - przerwał mu Hartl.

- O ile mi wiadomo, szpital się jeszcze nie odezwał. Zazwyczaj dzwonią od razu, jak tylko stwierdzą śmierć mózgu. Ale jeśli pan sobie życzy, to spróbuję dla pana zdobyć jakieś wstępne informacje...

- Dobrze. Będę w szatni.

- W porządku, załatwię to panu. - Młody człowiek skłonił się lekko i wskazał ręką białe drzwi z prawej strony korytarza. Potem przyspieszył kroku.

John Hartl nacisnął klamkę i wszedł do szatni.

- Serwus, John - krzyknął chudy człowieczek z za dużą głową i wyciągnął dłoń.

- Dzień dobry - powiedziała dziewczyna w krótkim białym fartuchu.

John przerzucił torbę z rakietami do drugiej ręki i uściśnął wyciągniętą prawicę. - Dzień dobry - wymamrotał, patrząc przy tym na dziewczynę.

Nie była to żadna piękność przykuwająca natychmiast wzrok, ale miała w sobie coś interesującego. Wpatrywały się w niego granatowe, trochę egzotyczne oczy; czarne włosy zaczesane gładko do tyłu, a na lewym policzku ciemniało wyraźne brązowe znamie. Nie była ani bardzo wysoka, ani specjalnie szczupła, ale jednak potrafiła zwrócić na siebie uwagę.

- Pani jest od kontroli antydopingowej? - spytał John. - Tylko się czegoś napije i zaraz z panią idę.



Miała wydatne usta, a jej włosy prowokowały, by się w nich schować, zanurzyć.

- Nie - odparła. - Czemu każdy myśli, że jestem z kontroli antydopingowej?

- Aleś mu przyłożył świetną fangę! - stwierdził z uznaniem człowieczek.

- Ano dlatego, że jeśli w szatni czeka na kogoś taka panienka ubrana w biały fartuch, jak pani, to jest z pewnością od kontroli antydopingowej i chce wiedzieć, czy mam zaplombowany aparat, a potem żąda, żebym nasikał do probówki. Chce pani się przekonać, czy mam zaplombowany aparat? Mam nasikać do probówki? - Otworzył dłoń, na której widać było czarną soczewkę wielkości przecietnej monety, którą przed chwilą oderwał z potylicy.

- Fartuch dali mi w kuchni. Ja myję talerze w restauracji tego klubu tenisowego.

- I zapomniała tu pani kilku talerzyków...

- A jak, John! Jasna sprawa! Zapomniała tu kilka talerzyków - zarechotał człowieczek.

Dziewczyna spokojnie pokręciła głową. - Nie. Potrzebuje pana zmierzyć. Pańskie bioprądy i szybkość ich regeneracji po dużym wysiłku fizycznym.

- I polecili to pani w kuchni, kiedy dawali pani ten fartuch?

- Nie, piszę prace roczną na ten temat. W kuchni tylko sobie dorabiam.

- Jasne. - John pokiwał palcem wskazującym i kciukiem.

Drgnęła, a potem wyraźnie zaczęła się czerwienić.

- Nie miałem nic złego na myśli - powiedział szybko Hartl. - Ale dlaczego chce pani zmierzyć właśnie mnie?

- Odpowiada mi pan jako typ. Zmienia pan sytuację napięcia i rozluźnienia, przechodzi pan od jednego stresu do drugiego. Jest pan agresywny, zdrowy.

- Aha. Odpowiadam pani jako typ.
Ktoś zapukał do drzwi. Człowieczek usłuźnie je otworzył. Do szatni wszedł młodzieniec z odznaką na klapie.
- Jest na oddziale intensywnej opieki, panie Hartl. Rozległy hematorax. Fraktura drugiego i trzeciego kręgu, prawdopodobnie naruszony również rdzeń. Na razie nie odzyskał przytomności i lekarze nie dają mu więcej niż pięć procent szans.

- W porządku. - Hartl skinął głową.

Młodzieniec popatrzył na Natalię. - Co pani tu robi? O ile wiem, nikt z personelu restauracji nie ma prawa wstępu do pomieszczeń dla zawodników?

- Spokojnie, przyjacielu - odezwał się Hartl. - Ta pani jest od kontroli antydopingowej i czeka tutaj na mnie.

- Przepraszam, myślałem... - przerwał zmieszany. - Najmocniej przepraszam... - Wycofał się tyłem do drzwi.

- Wiec na czym skończyliśmy? Przyszła pani do mnie, bo jestem odpowiednim typem, czy tak?

- Myśli pan, że umrze?

- Kto? Hawkins? Chyba tak, pięć procent szans to niewiele. Ale przecież na tym polega ryzyko gry i każdy, kto wychodzi na kort, jest tego świadomy. Wyłącznie jeden z nas może wygrać. Albo ja, albo on.

- Tylko obłudnicy mogą gadać o technicznym tenisie - stwierdził mały człowieczek. - Ludzie po prostu żądają krwi. Chcą widzieć porządne nokauty, a nie jakieś tam poszturchiwanie.

- A zaznacza pan liczbę swoich ofiar? - spytała dziewczyna kaśliwie. - A może robi pan sobie nacięcia na rękiecie?

- Co pani stale z tymi ofiarami? Hawkins na razie jeszcze żyje. I proszę posłuchać, laleczko, ja chcę wygrywać mecze, jasne? Ani mniej, ani więcej. To dla mnie najważniejsze, bo z tego żyje. Czasami się zdarza, że ten drugi musi za to płacić. Ale czy pani myśli, że on wychodzi po to, żeby mi dać buzi na dobranoc? On też chce wygrać, nawet gdyby mnie musiał zabić. Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni - to jeszcze wciąż obowiązują! Zresztą powinna się pani cieszyć, że to się tak skończyło. Co by pani zrobiła, gdyby to on mnie trafił? No, słucham? Nie miała by pani kogo mierzyć.

Uśmiechała się przez chwilę, a potem mruknęła: - Zmierzyłabym Hawkinsa. Przecież panu powiedziałam, że przyszedł, bo jest pan odpowiednim typem.

John Hartl odwrócił się, otworzył szafę i wyciągnął ogromny ręcznik. - Jak panu leci, panie trenerze? - powiedział dobroduszenie. - Kopec lat się nie widzieliśmy, co? Nie wyskoczyłby pan ze mną i z tą panią na jakąś kolację? Ja tylko wezmę szybki prysznic...

- Mam na imię Natalia - oświadczyła dziewczyna.

Sciana wyglądała tak, jakby za nią otwierał się Wszechświat. Ciągnęła się wzdłuż całej sali i umożliwiała spojrzenie na nieskończoną przestrzeń z nieruchomymi punkcikami gwiazd. Planety świeciły, a obok błyskały kropeczki sztucznych satelitów i międzygwiazdnych pojazdów transportowych. Kiedy człowiek wpatrywał się zbyt długo, nie mógł oprzeć się wrażeniu, że za chwilę zniknie gdzieś w Kosmosie. Sala jednak znajdowała się sześćset metrów pod ziemią, a tuż za nią były dwa metry betonu i lita granitowa ściana.

Właśnie skończyli jeść. Kelner odsunął wózek z pustymi naczyniami, a inny podjechał z małym barkiem.

- Niech pan jeszcze coś opowie, trenerze. - W metnym, żółtawym świetle zajaśniały białe zęby Hartla. - Ja już niewiele z tego pamiętam, byłem wtedy zupełnym szczeniakiem. O ile to pani nie nudzi, pani Natalio - zwrócił się do dziewczyny.

- Nie, skąd! Przecież mogę to wykorzystać w swojej pracy.

- Widzi pani, ja już prawie o tym zapomniałem - roześmiał się Hartl.

- Ja zawsze wiedziałem, że w tobie coś jest - opowiadał człowieczek. - Od razu, od pierwszej chwili. Już kiedy stuknęła piłeczką o ścianę było widać, że się nauczysz zwyciężać i pokonywać innych. A potem zacząłeś za mną lazić i wiercić mi dziurę w brzuchu: trenerze, daj mi pan „Agresin”, ja go strasznie potrzebuję, niech mi pan go zapisze. Ja się śmiałem: na to masz jeszcze czas, ale ty wciąż byłeś taki napalony i tłumaczyłeś mi, że na tej ścianie zawsze wyobrażasz sobie McGregory'ego - to był wtedy numer jeden na świecie - i że uczysz się go nienawidzić, żebyś, jak zaczniesz grać, potrafił z nim wygrać. No, a ja ci mówiłem: chłopie, kiepska sprawa, ty się go nigdy nie nauczysz nienawidzić, choćbyś nawet co dzień zeżarł beczkę „Agresinu”. Bo ja wiedziałem, że ty go uwielbiałeś, że chciałeś być takim samym cwaniakiem, jak on. A ty się na mnie gapieś i miałeś w oczach takie ciepłe ogniki, które potem gasiły ci łzy, a w ręku trzymałeś zeszyt, do którego wklejałeś wszystkie jego zdjęcia, jakie tylko udało ci się znaleźć i w którym zapisywałeś wszystkie wyniki jego spotkań. I potem znowu widziałem ogniki w twoich oczach, ale tym razem zimne, jak lód z azotu, którym się wtedy szprycowało i krzyczaleś, że mnie nienawidzisz, że kiedyś rozwalisz mi łeb rakietą. No i ja już wiedziałem, że ty masz szwunk, że kiedyś daleko zajdziesz.

Natalia spojrzała Johnowi w oczy. Były wąskie i stale zimne, nawet gdy się śmiał. Nie potrafiła sobie wyobrazić, by ktoś mógł cokolwiek wyczytać z jego wzroku.

- A wie pan, panie trenerze, że ja zawsze myślałem, że mnie pan chce wywalić ze szkoły? Wydawało mi się, że wszyscy pozostali są lepsi ode mnie.

Człowieczek poglaskał się po łysinie i powoli upił z kieliszka. - No więc, jeśli chodzi o technikę, to nie byłeś żaden macher. Wielu chłopakom nie mogłeś nawet podskoczyć. Tylko, że oni nie mieli twojej twardości, twojej imporności, jakiej potrzebuje każdy zwycięzca. No i nie mieli twojego szczęścia.

- A co, od szczęścia tak dużo zależy? - spytała Natalia.

- Jak kiedy, proszę pani - odparł człowieczek. - John miał wielkie szczęście. Choćby i dlatego, że wtedy nie przepisałem mu jednak tego „Agresinu”. Czy wie pani, że wszystkie chłopaki, które to brały, wyładowały u czubków albo już w ogóle nie oglądają tego świata? Nadmierny rozrost tkanki hipotalamu. Ale wtedy, czy ktoś mógł to podejrzewać? Wszyscy tylko piali z zachwytem, jak to fantastycznie działa na zawodników, że kto tego używa, ten zostawi swoją duszę na korcie. No i faktycznie zostawili. Na szczęście z Johnem nikt nie robił takich prób. Jedyne co z nim robiłem, to od początku chemoterapeutycznie wzmacniałem mu system nerwowy. To było konieczne, żeby móc używać aparatu. Postawiliśmy wtedy na dobrego konia, John!

- Ja myślałam, że wtedy się jeszcze nie produkowało aparatów. - Natalia spojrzała na Johna. - Przecież na turniejach wprowadzono je dopiero dwa czy trzy lata temu.

- Trzy lata, panienko - basował człowieczek. - Ale wtedy to był właściwie dopiero sam pomysł, bo cały aparat trzeba było nosić na plecach jak worek. A i tak nie było to nic nadzwyczajnego, najwyżej trochę drażniło podkorowe części mózgu. No wiecie: popędy, żądze, agresywność - to wszystko, czego pozbawia nas cywilizacja i każdy prawdziwy facet musi się potem faszerować prochami i różnymi aparatami. I tutaj znowu John miał szczęście, bo trafił od razu we właściwe ręce; tam, gdzie robi się najlepsze rzeczy.

- W wieku siedmiu lat wybrali mnie do neuroprogramu International Calculating Machines - wyjaśnił Hartl.

- Jak to sobie przypominę... - roześmiał się człowieczek. - Byłeś siedmioletnim szczeniakiem, a odstawiałeś takiego gieroja, że nie wiedziałem, czy nie powinienem ci się pierwszy kłaniać. Ale ICM jest w porządku; to najlep-

Jan Grabowski

Reprodukcje: Eugeniusz Pawłowski



sze, co cie mogło spotkać. Masz umowę na następny rok?

- Tak - potwierdził Hartl. - Nawet na pięć lat. Chyba już u nich dotrąm do emerytury, bo ich komputer bardzo mi odpowiada. Chyba trudno byłoby mi się przyzwyczaić do innego.

- Trzymam za ciebie kciuki - powiedział człowieczek. - Pięć lat to kupa zawodów.

- Bardzo bym nie chciała, żeby ten aparat wpłynął jakoś na wyniki moich pomiarów - stwierdziła Natalia. - Czy istnieje jakaś korelacja?

- Pewnie tak - odparł Hartl. - Ale na sto procent znajduje to pani w programie centralnego komputera. - Rozsiadł się wygodnie i popatrzył na Natalię, a ona odniosła wrażenie, że mówi z ożywieniem. - Właściwie to tylko zwielokrotnia motywację: trzy, maksymalnie cztery razy. Poza tym przyspiesza zdolność oceny sytuacji. Tak to jest, panno Natalio; sport od dawna nie jest wyłącznie sprawą mięśni. Człowiek musi też mieć i tu - poklepał się dłonią w potylicę.

- A czy w ogóle da się grać bez aparatu? - spytała.

- Może jakiś tam wiejski turniej weteranów, bo w rankingu bez niego nikt nie ma żadnych szans. W dodatku musi to być dobry aparat: ICM, Heribert, może jeszcze Callus i to wszystko.

- Jaka jest ta nowa Wega? - wtrącił się człowieczek.

Hartl tylko wzruszył ramionami.

- Czyli właściwie zależy od tego, jaki kto ma w głowie aparat. - Natalia się skrzywiła.

- A ponieważ laboratoria robią najlepsze aparaty dla najlepszych zawodników, więc jest to zupełnie sprawiedliwe - roześmiał się John.

- Słyszałem, że całkiem niezła - ciągnął swoje człowieczek.

Natalia z zaciekawieniem pochyliła się do przodu.

- Nosi pan ten aparat tylko podczas zawodów czy stale? Czy na przykład ma go pan teraz?

- Nie. Ale mogę założyć. - John Hartl sięgnął do kieszonki koszuli i wyciągnął małą czarną soczewkę. Umieścił ją dwoma palcami z tyłu głowy. - No, gotowe.

- I teraz w trzech setach pokona pan trenera i mnie - stwierdziła Natalia.

John odstawił pusty kieliszek na stół i gestem oddalił kelnera, który natychmiast chciał podejść. - O co panu chodzi, trenerze? Kto pana przysłał? A może sam pan czegoś chce?

- Ja? - wybełkotał człowieczek.

- Niech się pan nie obcyndala. Przecież czegoś pan ode mnie chce, niezależnie od tego, czy to pański pomysł czy Wegi. Do kogo należy ta firma?

- Nie wiem, John - tłumaczył się trener. - Ja od ciebie niczego nie chce. Po prostu przypadkiem znalazłem się w mieście, w którym masz mecz i powiedziałem sobie, że warto byłoby na ciebie popatrzeć. Nic więcej.

- Czyżby, trenerze? - Hartl zrobił ironiczny grymas. - Poważnie wydaje się panu, że mnie pan w taki sposób załaduje? Przez dwanaście lat mnie pan olewa, nie wart jestem dla pana paru groszy na list czy telefon, a teraz nagle pakuje mi się pan do szatni i obiera mnie z różnych tajemnic jak jajko ze skorupki. Jest pan akurat ostatni, który robiłby coś z czystego sentymentu. Więc czego pan chce? Smału? A może obiecali, że go pan dostanie, jeśli podpisze umowę z Węgą?

Zdezorientowany człowieczek rozejrzał się po restauracji i wreszcie zatrzymał wzrok na Natalii - Ale ja naprawdę nic od niego nie chce, proszę pani.

Odwrociła oczy i popatrzyła na kosmiczną ścianę. Wydawało jej się, że jest nieco ciemniejsza, jakby ubyło gwiazd.

- Jeśli pan nie chce rozmawiać przy niej, to możemy na chwilę wyskoczyć. Dama z pewnością nam wybaczy. - John Hartl wstał. - Znajdzie mnie pan przy telefonie, trenerze.

- Jesteś sukinsynem, John. Takim samym kiepskim, pieprzonym sukinsynem, jak dawniej.

Mistrz uśmiechnął się lekko. - Przecież zawsze mnie pan tak uczył, nie? Że mam być twardy wobec siebie, ale przede wszystkim wobec innych. Inaczej nie da rady wygrać. - Ruszył do drzwi.

Człowieczek siedział bez ruchu. Mogłoby się wydawać, że w sali jest tylko jego ciało, a myśli błądzą przynajmniej z pięć pieter wyżej. Wreszcie powoli wzniosł rękę i podrapał się po brodzie. Rozległ się cichy szelest włosów.

- To kawał sukinsyna - powiedział po chwili. - Sukinsyna ze złotą rączką.

- Może to przez ten aparat? - wtrąciła Natalia. - Jak tylko go założył, to od razu się na pana rzucił.

- Może masz rację, dziecko, ale tylko częściowo. Ja go znałem od takiego. - Pokazał ręką. - Właściwie należało się tego spodziewać.

Siedzieli na wprost siebie i milczeli. Kiedy trwało to zbyt długo, Natalia spytała: - Co pan miał na myśli mówiąc o tych ognikach w oczach?

- Nie ma żadnych ogników i nigdy ich nie miał. To było tylko głupie gadanie. - Człowieczek podniósł się energicznie od stołu i zrobił dwa szybkie kroki, a potem tak samo gwałtownie stanął, odwrócił się, jakby chciał jeszcze coś dodać, lecz najwyraźniej się rozmyślił, bo machnął ręką i odszedł.

Natalia patrzyła na niego, gdy wchodził po schodach do wind, ale dopiero gdy zniknął uświadomiła sobie, że przez ten czas gwiazdy, planety i statki kosmiczne na ścianie zupełnie zgasły. Pozostało czarne lśniące szkło.

Kabina pedziła w górę. Za przezroczystymi ścianami migaly cyferki oznaczające pietra pod ziemią. Kiedy winda zbliżała się do powierzchni, zaczęła łagodnie wytracać szybkość.

- Albo wie pani co? Zrobimy sobie wycieczkę na samą górę. - John odwrócił się do Natalii.

- To jest strasznie kosztowne.

Wzruszył ramionami: - I tak za to zapłaci klub tenisowy.

- Ma pan przyjemne życie, skoro klub za wszystko panu płaci. Ja już jestem od trzech lat w tym mieście, a tylko raz byłem na górze. W zorganizowanej grupie turystycznej.

- Więc zgadza się pani? - Nacisnął guziczek. Winda znów zaczęła nabierać prędkości. Po chwili znaleźli się w paśmie smogu, ciągnącym się niemal do połowy wysokości miasta. W anatomicznych fotelach prawie wcale nie czuło się przeciążenia z powodu szybkiego ruchu.

- Czemu zrobił pan taką scenę po kolacji? - spytała Natalia. - Dzięki temu mogłem się przekonać, że jest pan nie tylko okazjonalnym zabijaką, ale również awanturnikiem. Co on panu zrobił?

- Trener? Co mi zrobił trener? - parsknął Hartl. - Ten cwaniaczek i oszust?

Wzruszyła ramionami. - W każdym razie nauczył pana jedynej rzeczy, jaką pan potrafi. Grać w tenisa.

- No tak, zaczynałem u niego. Po prostu mieszkalem w mieście, w którym on prowadził szkołę tenisową. Ale nic więcej. A jeśli rzeczywiście czegoś mnie nauczył, to tylko nienawiści. Jak ja go chciałem zabić! Nie w walce, ale tak, normalnie. Gdzieś się na niego zaczął i trzasnął go w łeb. I myśli pani, że tylko ja jeden? Czy pani wie, ilu chłopaków wykończył tymi swoimi świństwami? Rozdzierał prochy i zastrzyki, robił zespoły kontrolne, obserwował co się przyjmie, a co nie. Początkujący zawodnicy, to przecież był najlepszy materiał doświadczalny. Jak mu się coś udało, to natychmiast odpalał ten nowy preparat jakiejś wschodzącej gwiazdki. „Agresin”... to była tylko jedna z bardzo wielu rzeczy. A najgorsze, że nikt mu tego nie bronil. Tatusiowie zgadzali się na wszystko, uważając, że trzeba trochę wycierpieć, żeby potem zdobyć sławę, pieniądze; o ile naturalnie przypadkiem coś z tych

prób wyjdzie. Dzisiaj gadał, że mnie wybrałi do tego neuroprogramu, ale w rzeczywistości sprzedał mnie w charakterze królika doświadczalnego! Za trzy boksy do treningu! A mój tata tak przytakiwał, że omal nie wywiercił sobie broda dziury w piersiach.

Natalia wyciągnęła do niego rękę. – Czyli chyba powinno mi być pana żal.

– Albo te jego aluzje do Wegi. Przecież jest to tak przejrzyste, jak ta szyba. Wysłali go do mnie i obiecali jakąś prowizję, jeśli uda mu się mnie namówić. A za forse on jest gotów iść na koniec świata.

Kabina znalazła się nad górną powierzchnią smogu. Metny, błękitno-czarny, nocny firmament w porównaniu z jego podziemną imitacją wyglądał jak ubogi krewny. Natalia pogłaskała Johna po ciemnych włosach. Po tem jej ręka znieruchomiała. – Można?

Usmiechnął się i lekko skinał głową.

Dotknęła czarnej soczewki pod włosami, delikatnie ją oderwała i przyłożyła sobie do potylicy. Aparat przylgnał do skóry jak magnes do płytki żelaznej.

W pierwszej chwili całe jej ciało przeszył bolesny skurcz, ale trwało to tylko ułamek sekundy. Potem ból zmienił się w pragnienie, w pożądanie, przed którym nie potrafiła i nie chciała się bronić. Tętniło w jej żyłach zamiast krwi i przenikało do najcięższych naczyń włoskowatych; przesycało powietrze, które wdychała i płynęło rdzeniem kręgowym aż do mózgu.

Kabina windy stanęła. Byli na gorze, na dachu miasta – dwa i pół tysiąca metrów nad powierzchnią ziemi i półtora tysiąca nad warstwą smogu.

John wziął Natalię za rękę i wyprowadził z windy. Małe drzwiczki zatrzymały ich na chwilę, lecz po chwili znaleźli się w ogrodzie, w którym nie było nikogo prócz nich i nocy. Stąpali w gęstej trawie i lawirowali między drzewami, których koron można się było tylko domyślać. Pod jednym z takich drzew zaczęli się kochać.

Natalia wpatrywała się w ciemność nad głową. Spośród rzadkich liści przeswitywały drobne, ukryte kropczki gwiazd. Były tak realne, że wyciągnęła rękę, aby je dotknąć. Znajdowały się jednak znacznie dalej niż John.

Przytuliła się do niego, wzięła jego rękę i prowadziła wzdłuż swego ciała, w górę, ku szyi, a potem zanurzyła ją we włosach z tyłu głowy.

– John, oni cie zabiją – szepnęła. – W koncu i tak cie zabiją.

Uniosł się na łokciu i popatrzył na nią. Wpatrywała się w jego oczy szukając ciepłych ogników, lecz zamiast nich zobaczyła nagły błysk, po którym zapadła w gęstą, zimną ciemność.

Miał uczucie, jakby ktos skleił mu powieki i przytrzymał do nich wielkie gazy. Gdyby mógł, spróbowałby otworzyć oczy palcami, ale nie był w stanie wykonać żadnego ruchu. Leżał bezwładny na trawie, a wiatr studził jego nagie ciało.

– Co z nią jest? – usłyszał czyjs głos.

– Nieprzytomna – powiedział ktos inny.

– A golem? – spytał ten pierwszy.

– Też. Ale dla pewności trzymam go pod napięciem. Nie ruszy nawet palcem.

– To co z nią robimy?

– Chyba na dół – zaproponował drugi głos.

Napiął wszystkie miesnie. Wydawało mu się, jakby podnosił całe miasto. Kiedy udało mu się je oderwać od ziemi, otworzył oczy.

Facet w czarnym kombinezonie, który stał nad nim, niewyraźnie majaczył w mroku. Drugi właśnie się prostował trzymając na rękach dziewczynę. Po chwili zniknął w ciemnościach.

– Co... – wydusił z siebie John. – Dokąd ją...

Czarny mężczyzna popatrzył na niego przez chwilę. – Zostanie deportowana z rezerwatu, panie Hartl – powiedział z westchnieniem. – Proszę zrozumieć, że pan, jako zaproszony uczestnik turnieju Grand Prix, ma oczywiście prawo wstępu do tego obszaru, ale ona nie. Przykro mi, jednak trzeba ją było wyrzucić.

Wokół była cisza i pachniała trawa.

– Proszę się nie obawiać, panie Hartl, to całkowicie bezbolesna sprawa. Nawet gdyby przypadkiem się ocknęła zanim przeleci przez warstwę smogu, to i tak znów zasnie jak aniołek. To podobno działa jak gaz rozwesalający.

John próbował wsłać, ale nie dał rady i zaledwie uniósł się na rękach. W taki sposób podnosił się Sam Hawkins, przemknęło mu przez głowę. Tylko że to było na korcie, w walce i obaj wiedzieli, co ich może spotkać.

– Dlaczego to zrobiliście – wyszeptał z wysiłkiem.

– Dostaliśmy meldunek, panie Hartl. Ta dziewczyna najprawdopodobniej pracowała dla Wegi. Rozumie pan, chciała pana w ten sposób zwabić. To sprawa stara jak świat. Wie pan ile historycznych wydarzeń miało swój początek pomiędzy babskimi nogami? Na szczęście pański pierwszy trener się w tym skapował i natychmiast dał cynk do firmy.

John myślał o Hawkinsie, o bezgłosnym, rozpaczliwym wysiłku, z jakim tamten próbował się podnieść z kortu. Gdyby tak chociaż udało mi się ukleknąć, to miałbym szansę chwycić tego faceta za gardło.

– W windzie czeka już na pana sekretarz turnieju. No, muszę panu powiedzieć, że dziś po południu miał pan niezłe kopyto...

John rzucił się naprzód. Chwycił szczupłą szyję z wydatną grdyką i ścisnął, jednak w połowie uścisku jego palce zwiótczały. Poczul na plecach tysiące drobnych igiełek i znów zwałił się w trawę.

– Widziałeś go, jaka cwana gapa? – powiedział drugi głos. – Najpierw wygląda, jakby miał wypuścić parę, a potem na ciebie skacze. Ciekawe, czy ma na ibrze te swoją maszynkę? Niektórzy podobno nawet z nią spią.

Facet pochylił się i grzebał Johnowi we włosach. – Nie ma... to co go nagle tak wzięło? Przecież te zakapiory z aparatami tylko wtedy są do czegoś zdolne, jak sobie przyklepią ten instrument.

Pierwszy facet wyprostował się masując sobie szyję, a potem spróbował parę razy przełknąć ślinę: – Dobra, w porządku...

– No, to bierzemy klienta i odsyłamy do firmy – odezwał się drugi. – Muszą go trochę odpicować, bo jutro gra w finale.

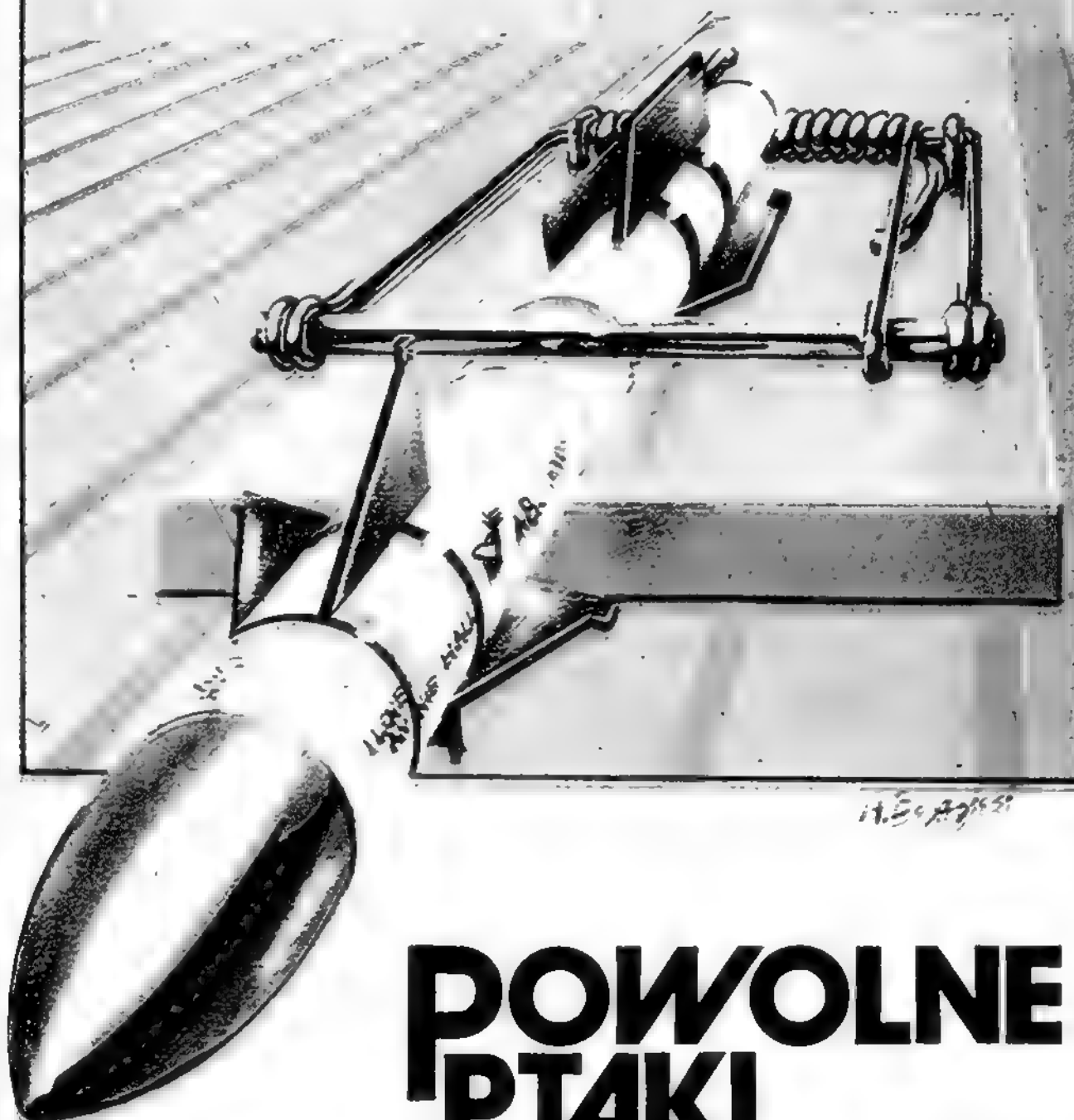
Kiedy wykrecali mu rękę wbijając w kaftan bezpieczeństwa, John słabo jęknął. Wzieli go pod pachy i powlekli do windy. Nim bezszelestnie zasunęły się drzwi, gdzieś na drugim koncu dachu zaskrzeczał budzący się ptak. Zabrzmiało to, jakby się śmiał...

Jaroslav VEIS

Z zawodu dziennikarz – popularyzator nauk, wyrósł na ciekawą i oryginalną postać w europejskiej fantastyce. Wiedząc dużo o możliwościach nauki i techniki ma jednocześnie wyrobiony pogląd na naturę człowieka i jego wizję przyszłości są zaprawione sarkastycznym humorem, który w ogóle wydaje się charakterystyczny dla współczesnej czeskiej SF. W „Fantastyce” nr 1/87 ukazało się krótkie opowiadanie Veisa „Na zdrowie”. Czytelnicy pamiętający opowiadanie innego Czecha, Ondřeja Neffa, „Największy szalbusz w dziejach swangu” („Fantastyka” nr 5/86) zwrócą zapewne uwagę na pewne podobieństwo stylu i nastrój do prezentowanego tu utworu Veisa.

Opowiadanie „Kto się śmieje ostatni” pochodzi ze zbioru Jaroslava Veisa „Moje czasu” (Mlada Fronta, Praha 1986).

L.J.



Andrzej Brzazicki

POWOLNE PTAKI

Ian Watson

(Slow Birds)

Tego roku majowy festiwal, którego głównym punktem były zawody łyżwiarские odbywał się w Tuckerton.

Późnym rankiem, kiedy sędziowie wyznaczali na szklanej gładzi tor za pomocą czerwonych chorągiewek, na błękitnym dotąd niebie zaczęły się gromadzić kumulusy, zapowiadając idealne warunki do popołudniowych zawodów. Nie padało szkło nie będzie więc zalane wodą jak zeszłego roku w Atherton. Nie było jaskrawego słońca, które oślepiło widzów przed dwoma laty w Buckby. I wiatr, dość silny, ale nie porywisty: idealny, żeby zawodnicy mogli nabrac predkości wykorzystując żagle, a jednocześnie nie zwałający z nóg jak przed czterema laty w Edgewood, kiedy zdarzyło się wiele kontuzji.

Po zawodach miało być pieczenie wieprzka, a właściwie spożywanie jego smakowitych owoców, bo wieprzek obracał się z wolna na różnie już od trzydziestu sześciu godzin. Miały być też otwarte beczki przedniego piwa. Na razie jednak wszystkie myśli Jasona Babbidge'a pochłaniało sprawdzanie łyżew i pięknego, szafranowego żagla.

Miał on wysokość rosnącego mężczyzny i zrobiony był z najlepszego, starego jedwabiu latanego w kilku tylko miejscach. Uchwyt z gietkiego jesionu ściągnięty był w łuk mocną konopną linką. Jason niczym harfiarz trącał ją w skupieniu, sprawdzając naciąg. Cześć zawodników wyszła już na tafle, demonstrując przy aplauzie widzów swoje umiejętności. Byli to przeważnie ludzie z Tuckerton, zachowujący się, jakby byli właścicielami tafli i znali ją lepiej niż goście, choć oczywiście niczym nie różniła się ona od takiego samego szkła koło Atherton.

Młodszy brat Jasona, Daniel, gwizdnął z podziwem na widok miejscowego zawodnika zataczającego na pełnej szybkości idealne kręgi, z fioletowym żaglem, trzepocącym przy halsowaniu.

- Spójrz na niego, Jason!

- Co, Bob Marchant? Miał wywrotkę w zeszłym roku. Po co się meczyć przed gwizdkiem?

Teraz wyszły na szkło dwie siostry z Buckby, które z dobranymi czarnymi żaglami zataczały wokół siebie ósemki, o włos od zderzenia.

- Idź, Jason, pokaż im - zachęcał brata Daniel.

Zawodnicy z innych wsi też zaczęli wychodzić na szkło, ale Jason zauważył, że Max Tarnover stał nie opodal, obserwując ich wyczyny z uśmiechem wyższości. Mistrz Tarnover z Tuckerton, ubiegłoroczny zwycięzca z Atherton mimo ulew... Biorąc z niego przykład, a nawet idąc dalej, Jason odwrócił się od wydarzeń na tafli i lustrował tłum widzów.

Zauważył wuj, Johna Babbidge'a, prowadzącego ożywioną rozmowę z jakimś człowiekiem z Edgewood tuż koło orkiestry detej. Nie było to najdogodniejsze miejsce do towarzyskiej pogawędki, widocznie więc ubijali jakiś interes. Tymczasem na łące za orkiestrą dzieciaki z pięciu wsi roily się jak pszczoły wokół przygotowanych dla nich atrakcji. Ci zaś dorośli, którzy nie interesowali się popisami orkiestry, rozgrzewką zawodników ani plotkami, oblegali kramy z towarami i wytworami rzemiosła. Na świecie zebrało się chyba z tysiąc osób i pobliska wioska wyglądała na całkiem wyludnioną. Nawet dla starych ludzi przygotowano derki, ławy i puste baryłki.

Kiedy orkiestra opuściła instrumenty, żeby odpocząć po odegraniu „Tanca kwiatów”, ponad gwar głosów wzbił się przerażony bek owcy. To jakiś wiesniak wskoczył do malej zagrody, gdzie jagnię, prawie już dorównujące wielkością ostrzyżonej i broniącej się przed nim matce, wpychało

się pod jej brzuch, usiłującssać i chować się jednocześnie. Śmiejąc się wiesniak podniósł jagnię za szyję i tylne nogi, żeby ocenić jego wagę i może zdobyć jakąś nagrodę. Teraz przeciskała się przez tłum matka Jasona, przeżuując resztę pasztecika.

Powodzenia, synu! - uśmiechnęła się.

- Mówilem ci, mammo, że życzenie powodzenia przynosi pecha - zaprotestował Jason.

- A wypchaj się! Do licha z zabobonami! - Dotknęła szyi, jakby chciała popchnąć ostatni kęs, ale naprawdę pokazywała, że nie nosi żadnych amuletów.

- Chyba się trochę poruszam. - Zrzuciwszy sandały Jason usiadł, żeby założyć łyżwy. Potem przy pomocy brata podniósł się i stał z kolanem w iks, na wrzynających się w trawę łyżwach, podczas gdy Daniel mocował mu do ramion żagiel. Jason uchwycił sznurki kierujące rejką i żaglem.

- W porządku. - Poruszył żaglem w jedną i w drugą stronę. - Chodźmy.

Ale w chwili, kiedy miał wkroczyć na szkło, w odległości niespełna stu metrów nad taflą pojawił się powolny ptak.

Zmaterializował się tuż przed jedną z siostr Buckby. Nie mogąc już skreślić, nie miała innego wyboru, jak paść na plecy. Krzycząc ze złości, a może też z bólu, przejechała pod powolnym ptakiem na wznak, na zniszczonym żaglu...

Nazywano je powolnymi ptakami, bo leciały w powietrzu z dostojną predkością dwóch metrów na minutę.

Wyglądem też trochę przypominały ptaki, ale tylko trochę. Ich wałcowate metalowe ciała zaskręgały się w przedniej części, w tylnej zwężały się w usterzony ogon, a pośrodku miały dwa krótkie skrzydła. Te skrzydła nie mogły mieć nic wspólnego z utrzymywaniem ich masy w powietrzu; ptaki miały obwód końskiego tułowia i długość dwóch leżących mężczyzn. Może te skrzydła służyły do utrzymywania kierunku albo wysokości.

Barwę miały srebrnoszarą, ale była to tylko barwa ich zewnętrznej powłoki z miękkiego metalu podobnego do ołowiu. Pod jego półcentymetrową warstwą wewnętrzny kadłub był czarny i sztywny jak stal. Dzioby ptaków miały zawsze po kilka rys od zderzeń z różnymi przeszkodami w ciągu wielu lat. Powolne ptaki utrzymywały stale tę samą wysokość nad powierzchnią ziemi - brzuch na poziomie ludzkich ramion - i zmieniały kurs, omijając solidniejsze budynki i stare drzewa, ale przez wszystkie słabsze przeszkody po prostu się przeciskały. Stąd charakterystyczne rysy na każdym. Jednak znacznie łatwiejszym sposobem ich różnienia były rysunki i napisy wydrapane na ich bokach: inicjały w sercach, daty, nazwy miejscowości, urywki tekstów. Z tego można było wywnioskować, ile było tych powolnych ptaków. Bo nikt nigdy nie widział dwa razy tego samego. Każdy z nich pojawiał się - nad wzgórzem, w dolinie, pośrodku doliny - leciał powoli przez jakiś czas, od godziny do doby, pokonując odległość od kilkudziesięciu metrów do dwóch, trzech kilometrów. I znów zniknął, żeby ukazać się znienacka zupełnie gdzie indziej, daleko lub blisko, po długim czasie albo prawie natychmiast.

Zazwyczaj ptak zniknął, żeby pojawić się ponownie.

Nie zawsze jednak. Kilka razy w roku, na obszarze tego wyspowego kraju, powolny ptak osiągał kres swojej wędrowki.

Niszczyl wtedy siebie i cały teren w promieniu czterech kilometrów, topiąc wszystko w tafle

szkła. Spolaryzowana, ściśle ograniczona strefa śmierci. Kilka metrów od jej obrzeża człowiek mógł ująć cało, chwilowo tylko ogłuszony i oszołomiony.

Jak dotąd nie zdarzyło się, żeby powolny ptak eksplodował nad już istniejącą taflą szkła. W rezultacie wiele wsi i miasteczek wyrastało jak najbliższej tego, co już zostało zniszczone, a wieść o powstaniu nowej tafli powodowała przesuwanie się tam gospodarstw i całych osad. Większość jednak ludności trzymała się fatalistycznie dawnych, historycznych miejscowości. Liczyli na to, że żaden powolny ptak nie wybuchnie tam za ich życia. A gdyby nawet tak się stało, to i tak nie będą nic o tym wiedzieć. Chyba że szkło pokryłoby tylko część miejscowości, a wtedy, po okresie żałoby, pozostali przy życiu mieszkańcy mogliby poczuć się bezpiecznie.

Co prawda, na dłuższą metę cały kraj od wybrzeża do wybrzeża, z północy na południe, będzie jedną wielką taflą szkła. Albo może raczej szachownicą stykających się kregów, szklaną mozaiką. A co między nimi? Spłachcie pustynnego piasku, jeżeli klimat będzie coraz suchszy z powodu odbicia promieni słonecznych od szkła. Albo bagna. Ale do tego było jeszcze daleko: sto, dwieście, trzysta lat. Więc ludzie nie przejmowali się zbyt. Przyzwyczaili się do tego przez całe życie, a przed nimi ich rodzice. Może któregoś dnia powolne ptaki przestaną się pojawiać. I zniknąć. I wybuchnąć. Tak jak kiedyś zaczęły. W każdym razie według wszystkich danych sytuacja wyglądała tak samo wszędzie na świecie. Jedynie oceany były bezpieczne. Może więc pewnego dnia ludzkość będzie musiała przesiąść się na tratwy. Tylko z czego je wtedy zbuduje? Tymczasem ludzie jakoś żyli i większość od dawna już przestała zadawać pytania. Bo odpowiedzi nie było.

Siostra pomogła dziewczynie wstać. Chyba nie sobie nie zlamala. Ucierpiała głównie jej godność - i oczywiście, żagiel.

Wszyscy tyżwiarze zatrzymali się i wrogo przyglądali się rękicie. Jej brzuch i boki były niemal pozbawione napisów i widząc to kilku chłopców wysypało się na tafle, trzymając w pogotowiu scyzoryki, zardzewiałe gwoździe i inne ostre narzędzia. Sędzia zgonił ich gniewnym gestem.

Sio! Wynoscie się! - Jego spojrzenie zatrzymało się na Jasonie, który przez chwilę pomyślał, że sędzia zwróci się do niego, ten jednak zawołał: - Mistrzu Tarnover! - i Max Tarnover mijając Jasona podjechał do sędziego.

Po krótkiej naradzie sędzia przyłożył dłoń do ust.

- Opóźnimy start o pół godziny - huknął. - Młoda dama musi mieć szansę naprawy żagla, bo jak wszyscy widzieli, nie była to jej wina.

Jason odnotował lekki grymas rozbawienia na twarzy Tarnovera, bo teraz pozostali zawodnicy musieli albo jeździć dalej, tracąc energię na przedłużoną rozgrzewkę, albo zejść z tafli na przerwę, rozładowując się psychicznie. Prawie wszyscy wybrali przerwę i napoje orzeźwiające.

- To ci szczęście! - parsknęła pani Babbidge, kiedy Max Tarnover przechodził koło nich.

Tarnover zatrzymał się przed Jasonem.

- Prawde mówiąc, myślę, że z jej żagla nic nie będzie - wyznał. Ale co można zrobić? Inaczej te siostry z Buckby miałyby pretensje. „Na pewno by wygrała, gdyby jej dali dziesięć minut na naprawę żagla. Nie jej wina, że wyrosło przed nią to paskudztwo”. - Tarnover obrzucił laskawym spojrzeniem żagiel Jasona. - Jak tam forma?

Daniel Babbidge wpatrywał się w Tarnovera z

mieszaniną ubóstwienia i wrogości wynikającej z kibicowania bratu. Sam Jason kiwnął tylko głową i powiedział: - Nieźle. - Nie był pewien, czy Tarnover okazuje mu uprzejmość, czy ostantacyjną wyższość. A może to pytanie oznaczało, że Tarnover rzeczywiście uznaje Jasona za poważnego rywala w tegorocznej walce o srebrny puchar?

Młodszy brat wyraźnie uznał odpowiedź Jasona za niewystarczającą.

- Jak pan myśli, mistrzu - odezwał się cienkim głosem - gdzie się podziewają te ptaki, kiedy nie są u nas?

Dobre pytanie: bez odpowiedzi, ale Max Tarnover zapewne poczuje się zobowiązany, żeby coś powiedzieć, choćby tylko dla podtrzymania swojej opinii światowca. Jason poczuł przypływ sympatii do brata, a matka chłopców zorientowawszy się w sytuacji powiedziała karcącym głosem:

- Nie zwracaj mistrzowi Tarnoverowi głowy. Na pewno nie miał czasu, żeby się nad tym zastanawiać.

- Ależ nie, zastanawiałem się - powiedział Tarnover.

- I co? - naciskał chłopiec.

- Hm... może nigdzie się nie podziewają.

Pani Babbidge parsknęła śmiechem i Tarnover zaczerwienił się.

- Mam na myśli to, że może przestają być w jednym miejscu i w tej samej chwili pojawiają się w innym miejscu.

- Gdyby tak można jeździć na tyżwach! - roześmiał się Jason. - Tyle, że trochę wolno... W ostatniej chwili i tak wszyscy by takiego przegonili.

- Muszą się gdzieś podziewać - upierał się Daniel. - Może przenoszą się gdzieś, gdzie ich nie widzimy. Do jakiegoś innego miejsca, z innymi ludźmi. Może to oni budują ptaki.

- Słuchaj, piegusie, ptaki nie pochodzą ani z Rusji, ani z Merki, ani z żadnego innego kraju. Gdzie jest więc to twoje inne miejsce?

- Może jest tutaj, tylko go nie widzimy.

- Może świnię mają skrzydła.

- O, jeśli o to chodzi, to jestem pewna, że nasza maciora Betsy nie mogłaby latać, nawet gdyby miała skrzydła. Najwyżej wisiałaby w powietrzu tak jak to, i równie ciężko.

- Ważyła pani kiedyś takiego ptaka?

- Wyglądają dość ciężko, mistrzu Tarnover.

Tarnover z rozpiętym żaglem nie mógł precyzyjnie się obok pani Babbidge, zadowolili się więc tym, że nie patrząc na nią mruknął:

- Jak nie potrafimy nic sensownego na ich temat powiedzieć, to sądzę, że lepiej nic nie mówić.

- Wcale nie lepiej - zaprotestował Daniel. - One rozwalają świat. Kawalek po kawałku. Zupełnie jakby prowadziły z nami wojnę.

Jason poczuł przypływ dowcipu.

- Może tak jest. Może ci inni ludzie, o których mówił Daniel, prowadzą z nami wojnę, tylko zapomnieli nas o tym zawiadomić. A kiedy nas całkiem pokryją szkłem, będą tu przyjeżdżać na wakacje, żeby sobie pojeździć na tyżwach.

- Diabło długa wojna, jeżeli tak - warknął Tarnover. - Ciągnie się od przeszło stu lat.

- Może dlatego te ptaki tak wolno latają? - wtrącił Daniel. - Może nasz rok to dla tamtych jedna godzina? Może dlatego ptaki nie spadają. Bo nie mają czasu.

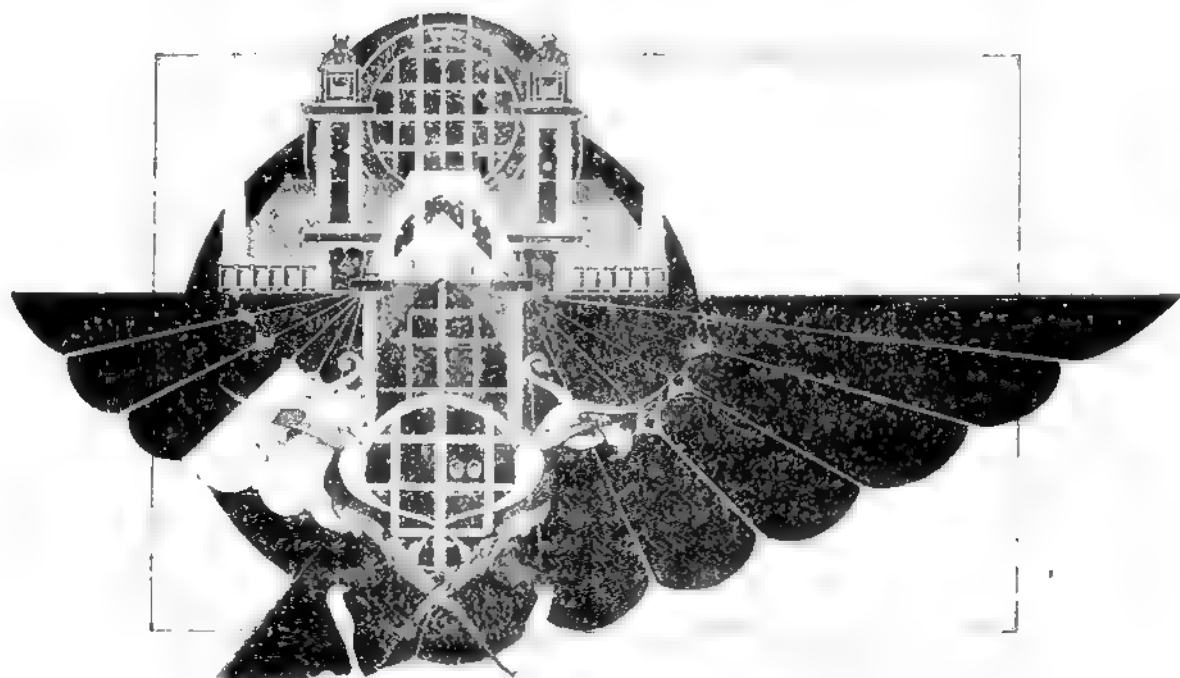
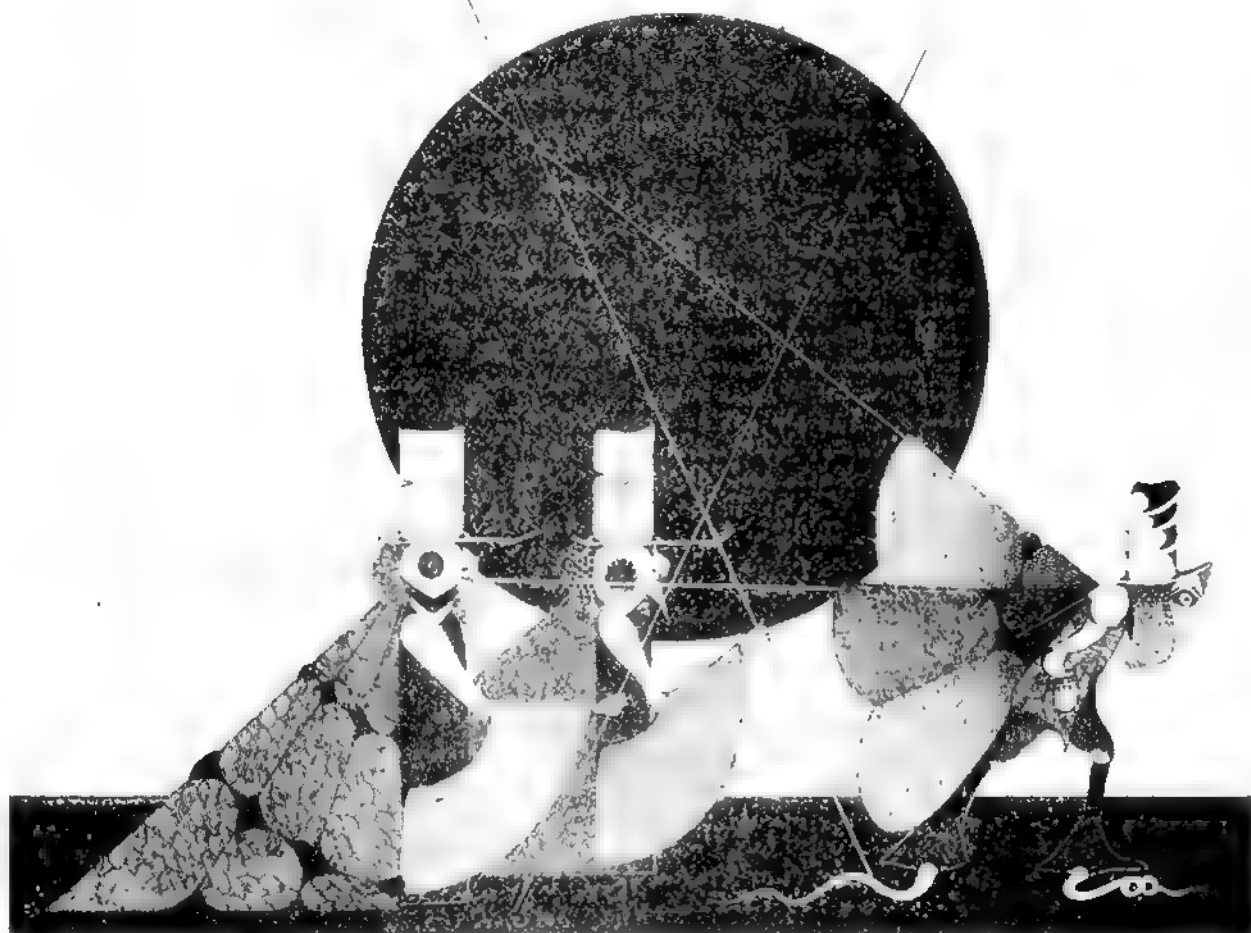
Na twarzy Tarnovera odmalowała się prawie wściekłość.

- A co, jeżeli te ptaki przybywają jako kara za nasze grzechy? Jeżeli są po prostu nadprzyrodzonym dowodem...

- ...że Bóg się o nas troszczy? I że pewnego dnia

Jean Claude
Smit le Bénédict

GALERIA



nam przebaczy? Pani Babbidge uśmiechnęła się promiennie. – Chyba nie jest pan jednym z nich? Inteligentny, młody człowiek jak pan. Ja nie palę nawet świec w oknach i nie wiąże suplów na prześcieradle, żeby przepędzić ptaki. – Polargala rudą czuprynę młodszego syna. – Wszyscy umrzemy wcześniej czy później. Przyzwyczajasz się do tego, kiedy dorosisz. Kiedy przychodzi czas śmierci, trzeba umierać.

Tarnover był wściekły, ale młody Daniel również wyglądał na zmartwionego.

– A kiedy ma się pragnienie, trzeba się napić! – Korzystając z okazji, Tarnover wyminął panią Babbidge i odszedł.

Roześmiała się odprowadzając go wzrokiem.

– Stracił trochę wiatru – powiedziała.

Czterdziestu jeden zawodników oprócz Jasona i Tarnovera zebrało się na starcie. Nie było wśród nich dziewczyny, która miała wypadek; mimo wszelkich starań odpadła z wyścigu i siedziała ponuro razem z widzami.

Potem sędzia z Tuckerton gwizdnął i ruszyli.

Tor miał kształt długiego bochenka chleba. Najpierw przez tysiąc dwieście metrów biegł łagodną krzywizną wzdłuż skraju tafli, potem skręcał nagle półkołem i zwracał po prostej do Tuckerton. Na końcu prostej drugie ostre półkoło sprowadzało go do linii startu i finiszu. Uczestnicy mieli przebiec trzy okrążenia. Przy dłuższej trasie różnice między czołówką a maruderami mogłyby doprowadzić do zamieszania na torze.

Przed pierwszym wirażem Jason prowadził stawkę, całoroczny trening owocował. Jego łyżwy pewnie ślizgały się po lodzie, wiatr zdecydowanie popychał go do przodu. Na samym zakręcie przelazując żagiel w nowe położenie zauważył, że Max Tarnover trzyma się czwartej pozycji. Postanowiwszy zwiększyć jeszcze przewagę Jason przy wejściu na prostą przeszedł tak blisko chorągiewki, że omal jej nie przewrócił. Chcąc to naprawić odbił w prawo i stracił kilka metrów. Kiedy wśród dopingujących mieszkańców Atherton po raz pierwszy minął linię mety, Tarnover znajdował się na trzecim miejscu i nie wysił się zbytnio, żeby przesuwać się do przodu – Jason rozumiał, że Tarnover zwyczajnie wypuszcza go na prowadzenie.

Ale jazda na łyżwach z żaglem to nie to samo co zwykły bieg, w którym prowadzący z reguły odpada z walki o zwycięstwo. Jason rwał do przodu. Mimo to, po drugim okrążeniu Tarnover był tylko o dziesięć metrów za nim i płynął bez widocznego wysiłku, jakby on i jego żagiel, wiatr i tafla były jednym. Zauważywszy spojrzenie Jasona Tarnover uśmiechnął się i przyspieszył, żeby zmusić prowadzącego do jeszcze większego wysiłku. Wchodząc na ostatnie okrążenie Jason odnotował w myśli postęp, jaki zrobił powolny ptak, znajdujący się teraz na lewo od niego i posuwający się ogólnie w kierunku Edgewood. Nawet maruderzy powinni zdążyć ukończyć bieg, zanim ptak przelnie im drogę, obliczył.

Ten krótki moment nieuwagi był błędem: Tarnover zbliżył się niebezpiecznie, z żaglem ustawionym pod kątem, który musiał strasznie obciążać przeguby. Już teraz odchodził w prawo, żeby wyprzedzić Jasona. I w tej chwili Jason zrozumiał, jak może wygrać: pozwalając Tarnoverowi myśleć, że zmusił go już do maksymalnego wysiłku – tak żeby Tarnover nabrał się i dał z siebie wszystko zbyt wcześnie.

– Nie dogonisz mnie! – krzyknął Jason na wiatr, domyślając się, że Tarnover weźmie to za przechwałkę i uzna, że Jason nie ma żadnej taktyki. Jednocześnie lekko zwolnił, mając nadzieję, że ry-

wał tego nie zauważy, jako że stało to w sprzeczności z wcześniejszą przechwałką. Udać panikę pozwolił Tarnoverowi wyjść na prowadzenie – i zobaczył, że Tarnover nadal ścisnął z całej siły rejkę żagla, mimo że faktycznie poruszał się nieco wolniej niż poprzednio. Nieświadomie Tarnover utrzymywał niewłaściwy kąt żagla i niepotrzebnie forsował nadgarstki.

Tarnover sunął teraz na czele. Jason natychmiast uwolnił się od wszelkiego napięcia psychicznego. Z lekkością i wdziękiem trzymał się o kilka metrów z tyłu, tam gdzie mógł korzystać z „oka” powietrza za plecami Tarnovera. Wytrzymał tak do połowy ostatniej prostej, czując się jak sokół, który zanim spadnie na ofiarę, unosi się w powietrzu za pomocą lekkich tylko drgnięć skrzydeł.

Jeszcze nie teraz, jeszcze nie teraz. Potem nagle zmieniając pochYLENIE żagla wyskoczył znów na prowadzenie. To był błąd. To był błąd od początku. Bo kiedy wyprzedzał Tarnovera ten się roześmiał. Ustawivszy swój brązowo-pomarańczowy żagiel pod bardziej naturalnym, korzystniejszym kątem Tarnover zaczął pracować nogami jak szatan. Już był znów na przedzie. O pięć metrów. O dziesięć. I już wpadł na końcową krzywiznę.

Usiłując dogonić go w niewielu chwilach, jakie pozostały, Jason już wiedział, jak został nabrany, chociaż zrozumienie przyszło zbyt późno. Tarnover tak chytrze skupił uwagę Jasona na żaglach – przez to, że swój trzymał tak nienaturalnie tworząc do dogodne „oko” powietrza – że Jason całkowicie zlekceważył sprawę nóg i łyżew, przestał je śledzić z sekundy na sekundę. Wystarczyła chwila, żeby się ocknął i poderwał do największego wysiłku, ale ta chwila okazała się fatalna. Jason minął linię mety o metr za zeszłorocznym zwycięzcą, który zwyciężył również w tym roku.

Jason wyhamował i mimo gorzkości porażki zdawał sobie sprawę, że musi zachować się sportowo, żeby Tarnover nie wykorzystał i tej okazji.

Głośno, żeby wszyscy słyszeli, zawołał:

– Wspaniale, Max! Wspaniały bieg! Rzeczywiście zaskoczyłeś mnie tam na wirażu.

Tarnover uśmiechnął się na użytek widzów.

– Jesteście strasznie hałaśliwą rodziną – powiedział pod nosem i odjechał, żeby raz jeszcze odebrać srebrny puchar.

Dużo później tego popołudnia, posilony pieczynią i piwem, Jason wywijając pustym kuflem rozmawiał w hałaśliwym tłumie z Bobem Marchantem. Z Bobem, który miał tak widowiskową wywrotkę w zeszłym roku. Może dlatego teraz jechał zbyt ostrożnie i zajął jedno z ostatnich miejsc.

Niebo pokryły ciężkie chmury, zapadał zmierzch. Wkrótce ludzie zaczęli przychodzić się do domów.

Jeden z kolegów Jasona z Atherton, Sam Partridge, przepchnął się do Jasona.

– Słuchaj, twój braciszek jest na tafli. Wdrapał się na grzbiet ptaka i jedzie na nim.

– Co?

Jason momentalnie wytrzeźwiał i pobiegł za Partridge’em, a Bob Marchant za nimi.

I rzeczywiście, w odległości może dwustu metrów w zapadającym mroku Daniel siedział okrzaskiem na powolnym ptaku. Jego ruda czupryna wykluczała wątpliwości. Teraz wielu innych ludzi zauważyło go i pokazywano go palcami. Rozlegały się okrzyki zachęty, tu i ówdzie gniewne protesty.

Jason ścisnął Partridge’a za ramię.

– Ktoś musiał go podsadzić. Nie wiesz, kto to zrobił?

- Nie mam pojęcia. Powinien dostać lanie.

- Daniel Babbidge! - krzyknęła gdzieś w pobliżu pani Babbidge. Więc ona też zobaczyła. Ostrożnie weszła na tafię, pilnując się, żeby nie stracić równowagi.

Jason i jego towarzysze natychmiast znaleźli się przy niej.

- Spokojnie, mamo - powiedział. - Zaraz ściagnę tego małego urwipolcia.

Bob Marchant po rycersku zaoferował swoje ramie i odprowadził panią Babbidge z powrotem na pewny grunt. Jason i Partridge ruszyli po szklistej nawierzchni w asyście co najmniej tuzina ciekawskich.

- Czy ktoś widział, kto go podsadził? - dopytywał się Jason. Nikt się nie przyznawał.

Kiedy grupa była o dobre dwadzieścia metrów od ptaka, wszyscy prócz Jasona stanęli. Idąc dalej sam, Jason powiedział groźnie, zniżając głos tak, żeby tylko brat go słyszał:

- Złaż natychmiast. Wystawiasz matkę i mnie na pośmiewisko.

- Nie - szeptem odpowiedział Daniel wczepiony w ptaka, ściskając go kolanami jako dżokej, z dłońmi przywartymi jak przyssawki. - Chcę zobaczyć dokąd on pójdzie.

- Do diabła! Nie będę tracił czasu na kłótnie. Złaż w tej chwili!

Jason złapał brata za kostkę i pociągnął, ale jedynym skutkiem było to, że sam podjechał bliżej do ptaka. Obok stopy Dana widniało serce z przeplecionymi inicjałami ZB i EF. Jason odwrócił się i zawołał:

- Hej, tam, pomóżcie mi! Niech ktoś przyjdzie i mnie podsadzi!

Nikt się nie kwapił z pomocą, nawet Partridge.

- To was nie ugryzie! Ptaka można dotykać. Każde dziecko to wie. - Ze złością wrócił ostrożnie do nich. - Do diabła, Sam!

Tym razem Sam Partridge z ociąganiem zrobił kilka kroków, za nim paru innych. Ale nagle stanęli wytrzeszczając oczy. Wyraz ich twarzy zdumiał Jasona na chwilę - dopóki Sam Partridge nie pokazał ręką, dopóki Jason się nie obejrzał.

Powietrze za nim było puste.

Powolny ptak nagle znikł. Zabierając ze sobą jeźdźca.

W pół godziny później tylko goście z Atherton i gospodarze pozostali na terenach sportowych Tuckerton. Grupy z Buckby, Edgewood i Hopperton odeszły do siebie. Wujek John wciąż jeszcze pocieszał chlipiącą panią Babbidge. Większość twarzy w otaczającym ją tłumie wyrażała współczucie, chociaż wśród części ludzi z Tuckerton wyczuwało się też niezadowolenie, że oto wybryk jednego wyrostka rzucił cień na ich majową uroczystość.

Jason z płonącym wzrokiem rozglądał się po zebranych.

- Czy ktoś widział, kto podsadził mojego brata? - krzyknął. - Przecież nie mógł wsiąść sam, prawda? Gdzie jest Max Tarnover? Gdzie on jest?

- Czyżbyś chciał oskarżyć mistrza Tarnovera? - zahuczał potężny farmer z dużą brodawką na policzku. - Uważaj na zakrętach, bo możesz się przewrócić.

- Gdzie on jest, do diabła?

Wujek John położył rękę na ramieniu siostrzeńca.

- Jason, chłopcze, uspokój się. W ten sposób nie pomożesz matce.

Ale wtedy tłum się rozdzielił i ukazał się Tarnover ze srebrnym pucharem w ręku.

- Słucham, mistrzu Babbidge - powiedział. - Podobno chciał pan ze mną mówić.

- Czy widział pan, kto podsadził mojego brata na tego ptaka? Widział pan?

- Nie widziałem - odpowiedział Tarnover zimno.

Niewłaściwe pytanie, uświadomił sobie Jason. Bo przecież jeżeli Tarnover sam to zrobił, to nie mógł samego siebie widzieć.

- No to, czy pan...

- Hej, tam - wtrącił się ten sam farmer. - Spytałeś go i dostałeś odpowiedź.

- I myślę, że twój brat też dostał odpowiedź na swoje pytanie - powiedział Tarnover. - Mam nadzieję, że jest z niej zadowolony. Oczywiście wyrażam też swoje głębokie współczucie pani Babbidge. Jeżeli chłopca spotkało coś złego, ale przecież nic nam na ten temat nie wiadomo, prawda?

- No właśnie!

Jason spreżył się, ale wujek John przytrzymał go.

- Daj spokój, chłopcze. Nie ma sensu.

Długa droga do domu upłynęła trójce pozostałych Babbidge'ów w przygnębiającym milczeniu, chociaż niektórzy podpici mieszkańcy wsi idąc za nimi wesoło śpiewali. Co jakiś czas Jason rozglądał się szukając Sama Partridge'a, ale Sam skutecznie go unikał.

Następnego dnia, drugiego maja, pani Babbidge otrząsnęła się i ogłosiła „dzień porządków”, co oznaczało czule zajmowanie się ubraniami, książkami i starymi zabawkami Daniela, a potem schowanie ich głęboko. Jasona odesłała do jego pracy w tartaku, złajawszy go przedtem, że snuje się za nią jak cień.

Jason pracował przy cieciu desek, a po głowie tłukły mu się w kółko wciąż te same gniewne, bezsilne myśli: „Dla mnie on jest mordercą... Nie daje się dziecku noża do zabawy. Nic go to nie wzruszyło. Był zimny jak lód. Zadowolony z siebie...”

Ale co można było na to poradzić? Ptak mógł tam wisieć jeszcze przez wiele godzin. Tyle że wyszło inaczej...

Wyruszyć na poszukiwanie Daniela? Ale jak? I dokąd? Ptaki pojawiały się jak chciały. Tu, tam, wszędzie. Bez ładu i składu. Więc poszukiwania też byłyby bez sensu.

Wyprawa, żeby udowodnić, że Daniel żyje. A gdyby się okazało, że żyje, wówczas Tarnover nie byłby mordercą.

„Dla mnie jest mordercą...” Myśli Jasona krążyły bezsilnie. Było to jak jazda na łyżwach ze związanymi nogami.

W trzy dni później zauważono powolnego ptaka przy drodze do Edgewood. Jim Mitchell, cieśla z Edgewood, odszukał Jasona w tartaku, żeby go o tym zawiadomić. I tak miał tu coś do załatwienia.

Jego wizyta była niewątpliwie dowodem życzliwości, ale Jasona nie tyle podniosło to na duchu, co przepełniło poczuciem winy. Bo teraz musiał iść i zobaczyć na własne oczy, choć było jasne, że nie ma tam nic do oglądania. Odłożywszy narzędzia pośpieszył do domu po łyżwy i żagiel, i pojechał do Edgewood.

Ptak jeszcze tam był, ale był to inny ptak. Nie miał wydrapanego serca ze splecionymi inicjałami ZB i EF.

A w cztery dni później przysłała wiadomość z Buckby o ptaku dostrzeżonym kilka kilometrów na zachód od wsi, przy głównej drodze do Harborough. Tym razem Jason pożyczył konia i pojechał. Okazało się, że wiadomość była spóźniona; ptak

przeleciał o dzień wcześniej. Mimo to Jason czuł się w obowiązku obejrzeć miejsce jego ukazania się, żeby sprawdzić, czy nie ma tam ciała lub jakichś śladów.

W tydzień później ptak zniknął niedaleko Ather-ton; akurat w chwili, kiedy Jason przybył na miejsce...

Potem pewnego wieczoru Jason poszedł do piwiarni „Pod Kłosem”. Już od wielu tygodni tu nie był; teraz postanowił się upić przy długim barze pod trofeami z wyścigów konnych.

Popijali tam już Sam Partridge i Frank Yardley, a w jakąś godzinę później zjawił się również Ned Darrow ze swoją zalatującą piwem radą.

– Posłuchaj, Jason, po diabła latasz za każdym razem, kiedy ktoś wypatrzy cholernego ptaka? Rób tak dalej i wyjdiesz na cholernego durnia. A co będzie, jak ptak wyskoczy w Tuckerton? Przedzej czy później musi się to zdarzyć. Czy tam też polecisz z wywieszonym językiem?

– Stale zwalniasz się z pracy – powiedział Frank Yardley. – Skończy się tak, że cię wyleją. Ja ci radzę, żyj jak wszyscy.

– A ja nie wiem – odezwał się niespodziewanie Sam Partridge. – Myślę, że człowiek ma prawo dochodzić swojej krzywdy. Jeżeli Tarnover rzeczywiście zrobił to świństwo Babbidge’om...

– Jakie „jeżeli”? – przerwał mu gniewnie Jason.

– Spokojnie, Jason. Chciałem powiedzieć, że jeżeli zrobił to świństwo Babbidge’om, którzy są z Ather-ton, to tak, jakby zrobił to nam wszystkim, nie?

– Dzięki temu, że niektórzy nie śpieszyli się z pomocą.

Sam się zaczerwienił.

– Nie rzucaj się na oślep na wszystkich. Pewnie, że nikt nie jest doskonały, ale pamiętaj, kto jest twoim przyjacielem, a kto wrogiem.

– Bede pamiętał, nie bój się.

Frank przechylił pusty kufel.

– Słusznie. Czyja kolejka?

I tak to szło, aż następnego ranka Jason obudził się z ciężką głową.

Wieczorem do drzwi Babbidge’ów zapukał Ned.

– Ptak nad taflą, Sam kazał ci powiedzieć – oświadczył. – Może przejedziemy się, żeby go obejrzeć.

– O ile pamiętam, wczoraj wieczorem tłumaczyłeś mi, że to strata czasu.

– Co innego latać po całym hrabstwie, ale to tylko spacer, wieczór jest ładny. Zresztą, jak ci się nie chce... Tyle że moglibyśmy potem wypić parę piw „Pod Kłosem”.

Chłopakom musiało go brakować przez te ostatnie kilka tygodni. Szybko zgarnął tyżwy i żagiel.

– A co z kolacją? – spytała matka. – Krupnik na baraniej głowie.

– Przecież się nie zepsuje do jutra. Mogę zjeść coś „Pod Kłosem”.

– Może i lepiej, żebyś się trochę rozerwał – powiedziała matka. – Nawet się cieszę. Zajmę się trochę szyciem.

Wdwadzieścia minut później Jason, Sam i Ned byli już na środku tafli. Niebo było purpurowe z ławicami chmur, a wzdłuż horyzontu płynęła rzeka złota: marna pogoda na jutro, ale piękna dzisiaj. Szklana przestrzeń połyskiwała czerwonymi i złotymi refleksami: jezioro krwi, złota i roztopionego metalu. Początkowo nie zauważyli pojedynczego tyżwiarza ani on ich, aż znaleźli się całkiem blisko powolnego ptaka.

Sam zorientował się pierwszy.

– Hej, kto to jest? – spytał.

Brązowo-pomarańczowy żagiel. Jason poznał go od razu.

– To Tarnover!

– No to teraz masz okazję, żeby się dowiedzieć – powiedział Ned.

– Mówisz poważnie?

Ned wyszczerzył zęby.

– Dlaczego nie? To może być zabawne. Łapmy go.

Trzej tyżwiarze rozbiegli się, żeby otoczyć Tarnovera, który też ich rozpoznał i zaczął zawracać. Za ostro. Albo trafił na kałużę wody na szkle. Ku uciesze Jasona, Max Tarnover, mistrz pieciu wsi, przewrócił się jak długi.

Łzypali go. Nie trzeba było wielkiej siły, żeby przytrzymać tyżwiarza, choćby nie wiem jak szarpał się i wierzgał, ale Jason wymierzył Tarnoverowi cios w szczękę, po którym ten stracił przytomność.

– Po co, do diabła, to zrobiłeś? – spytał Sam, podtrzymując Tarnovera, żeby się nie potłukł padając.

– A jak inaczej wsadzimy go na ptaka?

Sam spojrzał na Jasona, potem powoli kiwnął głową.

Nie była to najłatwiejsza operacja – wciągnięcie bezwładnego i ciężkiego ciała na wolno poruszający się przedmiot, kiedy samemu stoi się na śliskiej powierzchni – ale po zdjęciu tyżew okazało się to możliwe. Wkrótce Tarnover leżał na metalowym cielsku ze zwisającymi nogami. Jason pośpiesznie odciął szczyty linkę od żagla Tarnovera i związał mu kostki pod brzuchem ptaka.

W tym momencie Tarnover ocknął się i półprzytomnie starał się wyprostować. Jeknął, zachwiał się, odzyskał równowagę.

– Babbidge... Partridge, Ned Darrow...? Co wy do diabła robicie?

Jason oparł ręce na biodrach.

– Tak sobie tylko żartujemy, tak jak ty z moim bratem. Który zaginał przez ciebie, może na zawsze.

– Ja nie...

– Przyznaj się, to może cię odetniemy.

– Albo i nie – powiedział Ned. – W każdym razie nie przed zamknięciem piwiarni. Ale nie trać nadziei, może cię uwolnimy.

Tarnover napiął mięśnie nóg próbując wieszów. Skrzywił się.

– Naprawdę nie chciałem zrobić krzywdy twojemu bratu.

Sam uśmiechnął się krzywo.

– My też nie chcemy ci zrobić krzywdy. To nie nasza wina, jeżeli ptak postanowi odlecieć. Zresztą jest tu dopiero od jakiejś godziny. Równie dobrze może tu wisieć przez całą noc. Dobrze mówię?

– Tak jest – powiedział Ned. – A ja mam pragnienie. Ścigamy się? Ostatni stawia.

– On się przyznał, że to zrobił – powiedział Jason. – Słyszeliście.

– Słuchaj, naprawdę żałuję, jeżeli...

– Zamknij się – powiedział Sam. – Możesz się tu trochę pomarynować za to, co zrobiłeś Babbidge’om. Możesz sobie pomyśleć o tym, jak żałujesz. – Partridge postawił żagiel.

Jason niezupełnie tak sobie wyobrażał swoją zemstę. Czuł się trochę rozczarowany. Jednak dla Tarnovera sprawa była poważna. Czoło mistrza pokryło się potem. Jason również postawił żagiel i wszyscy trzej młodzi ludzie odjechali... Odwrócili się w stronę malej postaci Tarnovera przywiązanej do metalowego wierzchowca.

– Gdybym to był ja – zauważył Sam – to posu-

Jan Grabowski





walby się do przodu, aż bym spadł na szkło.. Można się trochę potłuc, ale to jest sposób.

- Nie ma po co wracać - powiedział Ned. - Hej, co on wyrabia?

Postać fiknęła kozła. Widocznie Tarnover wpadł w panikę i stracił głowę, bo wyglądało to, jakby wychylił się próbując rozwiązać nogi. Nagle odległa postać obróciła się wokół ptaka i teraz wisiała głową w dół machając rękami. Albo może Tarnover liczył na to, że sznur zerwie się pod jego ciężarem, ale tak się nie stało. A z chwilą, kiedy znalazł się w tej pozycji, nie mógł już wrócić do poprzedniej ani też posuwać się stopniowo do przodu ptaka.

Ned gwizdnął.

- Ale się teraz załatwił! Sam się, cholera, ukrzyżował.

Jason zawahał się, zanim powiedział:

- Może powinniśmy wrócić? Wiecie, człowiek może umrzeć, jak wisi za długo głową w dół... - Nagle cały ten epizod wydał mu się jakiś nieprzyjemny, odrażający.

- Wracać? - oburzył się Sam Partridge. - Wczoraj wieczorem to ty się odgrażałeś. A czy to był pomysł, żeby go przywiązać do ptaka? Chciałeś dać mu nauczkę i ma teraz nauczkę. My ci tylko pomagamy.

- Bardzo wam dziękuję.

- Dosyć już tego gadania. Przecież nie zwiednie jak bukiet kwiatów, zanim wypijemy po dwa piwka.

Pojechali więc z powrotem „Pod Kłosa” w Atherton.

Opół do jedenastej trzej młodzi ludzie, nieco mniej pewnie trzymając się na nogach, wysypali się z piwiarni na ulicę. Sierp księżycy wyglądał co jakiś czas przez przerwy w chmurach dając niewiele światła.

- Ja idę spać - powiedział Sam. - Niech ten pedał sam znajdzie sposób, jak zleźć.

- A nawet, jak nie zlezie? - zawtórował mu Ned. - W ten sposób nikt się nie dowie. Potrzebny nam wróg do końca życia? Chcesz tego, Jason? A tak nie wiadomo, co będzie. Może się zdarzyć, że Tarnover przyprowadzi twojego brata.

Zarzuciwszy zwinięty żagiel na ramię i machając łyżwami Ned odszedł ulicą.

- Ale... - Jason czuł się tak, jakby wlaź w łajno. Wszystko to jakoś mu śmierdziało. Myśl o Tarnoverze wiszącym głową w dół nie dawała mu spokoju.

- Ale co? - spytał Sam.

Jason udał, że ziewa.

- Nic. Cześć. - I ruszył do domu.

Jak tylko jednak zniknął Samowi z oczu, skreślił w pierwszą uliczkę prowadzącą na szkło. Panowały tam ciemności bez gwiazd tylko z przeblaskami światła księżycowego, ale wiał równy wiatr i na tafli nie było się o co przewrócić. Ptak nie mógł się posunąć dalej jak o sto metrów. Jason popędził w jego stronę.

Powolny ptak znajdował się tam, gdzie powinien, ale Tarnovera na nim nie było.

Kiedy Jason stanął, żeby się lepiej rozejrzeć, z ciemności poderwały się postacie, które dotąd leżały przykryte żaglami. Sześć. Osiem. Dziewięć. Wszystkie czały się w odległości dwustu, trzystu metrów od ptaka, nie za blisko i nie od strony Atherton. Pozostawiły szeroki korytarz, który teraz zamknęły.

Jason stał nieruchomo, kiedy ludzie z Tuckerton zbliżali się do niego, wiedząc, że nie ma żadnych szans.

Max Tarnover podjechał pierwszy w towarzystwie potężnego farmera z brodawką.

- Wróciłem po ciebie - zaczął Jason.

Farmer odezwał się, ale nie do Jasona.

- No, proszę. To wspaniale z jego strony. Mógł się nie fatygować, bo Tim Earnshaw i tak trafił na mistrza Tarnovera. Więc co z nim robimy?

- Oko za oko - odpowiedział inny głos.

- Niech idzie poszukać swojego braciszka - zaproponował trzeci. - Zamiast posyłać innych w swoich sprawach... Bezczelny facet.

Max Tarnover nic nie mówił. Stał tylko w milczeniu.

Wkrótce Jasona posadzono na grzbiecie ptaka i związane mu nogi pod jego brzuchem. Związano mu również dłonie i na wszelki wypadek koniec sznura przeciągnięto przez jego pasek.

Po kilku minutach wszyscy łyżwiarze pomknęli do Tuckerton.

Jason został sam. Przypomniał sobie słowa Sama usiłował przesunąć się do przodu, ale z rękami przywiązanymi do pasa okazało się to niemożliwe. Poza tym bał się, że straci równowagę tak jak Tarnover.

Siedział i myślał o matce. Może się zaniepokoi, że Jason nie wraca, może pójdzie i obudzi wujka Johna... A może już śpi.

Ale może obudzi się w nocy, zajrzy do jego pokoju i przysle pomoc. Z rozpaczliwą koncentracją usiłował wysłać do matki myśli i obrazy.

Minęła godzina, potem dwie; tak w każdym razie sądził na podstawie przesuwania się sierpu księżycy. Najchętniej opadłby do przodu i zasnął. To mogłoby być najlepsze; wtedy o niczym by nie wiedział. Wciąż jeszcze był tak pijany, że mógłby zasnąć z twarzą przywartą do metalu. Ale wtedy mógłby przez sen ześlizgnąć się z grzbietu ptaka.

Jak matka przeżyje podwójną stratę? Wyglądało to tak, jakby na rodzinę Babbidge'ów spadło przekleństwo. Oczywiście, to przekleństwo miało imię i nazwisko: Max Tarnover. Przez chwilę więc Jason przeklinał go i wyobrażał sobie zemstę z udziałem wszystkich mieszkańców Atherton. Krwawa wendeta. Domy w płomieniach. Może jakiś gwałt. Zabójstwa nawet. Koniec z majowymi festiwalami.

Ale czy Sam i Ned opowiedzą o wszystkim? I czy mieszkańcy Atherton będą aż tak oburzeni, żeby zniszczyć harmonie pięciu wiosek w świecie, w którym tak niewiele rzeczy dawało oparcie? Na dodatek jakieś niezbyt życzliwe dusze mogły powiedzieć, że to Jason, Sam i Ned wszystko zaczęli.

Jason był tak pochłonięty wyobrażaniem sobie przyszłej wendety między Atherton i Tuckerton, że prawie zapomniał, gdzie się znajduje. Nie czuł żadnego ruchu, nie miał zupełnie poczucia, że dokądś jedzie. Kiedy sobie uświadomił swoje położenie, było to dla niego wstrząsem.

Siedział na ptaku.

Tylko od jak dawna?

Tkwil tutaj ile, sześć godzin? Ptak mógł się tak unosić przez całą dobę. W takim razie miałby jeszcze osiemnaście godzin na ratunek. A gdyby ptak był tu tylko przez pół doby, to dawałoby mu czas do rana. Tylko.

Przylapał się, że myśli o tym, co kryje się pod metalową powłoką ptaka. Coś, co potrafi przekształcić osiem kilometrów krajobrazu w szklaną tafle, niewątpliwie. Ale także inne rzeczy. Takie, które pozwalają ptakowi ignorować grawitację. Rzeczy, które umożliwiają mu pojawianie się i znikanie. Może nawet jakiś rodzaj mózgu?

- Czy mnie słyszysz, ptaku? - odezwał się. Może

nikt dotąd nie próbował rozmawiać z powolnym ptakiem

Powolny ptak nie odpowiadał.

Może nie potrafi mówić, ale słyszy. Może reaguje na polecenia.

– Nie znikaj, póki na tobie siedzę – powiedział mu. – Zostan tu. Leć tak jak teraz.

Ponieważ jednak ptak robił to już przedtem, Jason nie wiedział czy ptak go słucha, czy nie.

– Wyląduj, ptaku. Osiądź na szkłe. Zatrzymaj się.

Ptak go nie słuchał. Jason poczuł się głupio. Nic nie wiedział o ptaku. Nikt nic o nim nie wiedział. Ale ktoś gdzieś wiedział. Chyba że powolne ptaki rzeczywiście pochodzą od Boga, jako karzące cuda. Mające przejąć ludzi lekkiem przed Bogiem. Ale dlaczego Bóg miałby chcieć, żeby ludzie się go bali? Chyba, że Bóg oszalał i wtedy ptaki mogły być Jego posłańcami.

Były czymś irracjonalnym, czymś z innego świata, czymś, czego ich ofiary nie mogły zrozumieć, podobnie jak kolonia mrówek nie rozumie buta ogrodnika odsłaniającego ich białe jaja przed słońcem i wróblami.

Może coś z innego świata zagnieździło się w oceanach, coś, co nie lubi istot lądowych. Żadnych. Ludzi ani owiec, ptaków, robaków, roślin... Mało prawdopodobne. Woda morska przegryzłaby metal. Po raz pierwszy w swoim życiu Jason myślał z takim napięciem.

– Czym ty jesteś, ptaku? Po co tu przybyłeś?

A po co, myślał, jest wszystko inne? Po co jest świat i niebo, i gwiazdy? Mogłaby przecież istnieć tylko nicość na zawsze.

Może na tym polega istota śmierci: nicość na zawsze. I życie człowieka jest jak powolny ptak. Pojawia się i znika, z nicości w nicość.

W niezmierny czas później niebo za jego plecami zaczął rozświetlać brzask przetwarzając czerń w szarość. Ta szarość rozlewała się stopniowo, w miarę jak grube chmury filtrowały wschodzące, ale niewidoczne słońce. Wkrótce zrobiło się całkiem jasno. Musiała być piąta, może szósta. Ale szara tafla pozostawała całkowicie pusta.

Kim ja jestem, zastanawiał się Jason chłodno i spokojnie. Dlaczego mam świadomość świata? Dlaczego ludzie mają umysły i myślą? Po raz pierwszy w życiu czuł, że naprawdę myśli – i myślenie prowadziło donikąd.

Uświadomił sobie, że przygotowuje się do śmierci. Tak jak cała ziemia będzie musiała umrzeć kawałek po kawałku stapiając się w szkło. Wtedy nikt już nie będzie myślał i nie będzie miało żadnego znaczenia, że jakiś Jason Babbidge przestał myśleć o pol do siódmej pewnego ranka pod koniec maja. Ostatecznie to samo działo się co noc, kiedy zasypiał. Też przestawał myśleć. Przestać myśleć. Może wszystko będzie wtedy czystsze i jaśniejsze. Mniej zanieczyszczone, mniej gorączkowe: czysta szklana kula. Zupełnie spokojna, nawet gdyby Słońce pochłonięło Ziemię. Cisza, na zawsze, skoro nie będzie nikogo, kto by słuchał.

Może to miały ludziom powiedzieć powolne ptaki. A tymczasem ludzie tylko wydrapywali na nich swoje inicjały. I serca. I jeszcze nazwy miejsc, które w jednym błysku stopiły się w szkło; albo takich, które się stopią.

Staje się filozofem, pomyślał ze zdziwieniem Jason.

Widocznie przeskoczył w stan jakiejś nadświadomości: pełna jasność, jednak bez świadomości otoczenia. Bo nie zdawał sobie w pełni sprawy, że przybyła pomoc, dopóki nie został przecięty sznur krepujący jego kostki, po czym prawa noga gwałtownie podskoczyła w górę i Jason spadł z drugiej strony ptaka prosto w oczekujące na niego ramiona.

Sam Partridge, Ned Darrow, Frank Yardley, wujek John i Brian Sefton z tartaku, który kucnął z nożem pod brzuchem ptaka i rozciął drugi sznur uwalniając dlonie Jasona.

Oddalili się pośpiesznie prowadząc między sobą Jasona, który stawiał słaby opór, wyciągając ręce w stronę ptaka.

– Już wszystko dobrze, chłopcze – pocieszał go wujek John.

– Nie, ja chcę odlecieć – protestował.

– Co?

W tym momencie powolny ptak, który był tu i tak dość długo, znikł. Jason jak zaczarowany wpatrywał się w miejsce, gdzie znajdował się jeszcze przed chwilą.

W końcu wujek i koledzy musieli go siłą odprowadzić z niczym nie wyróżniającego się miejsca na taflę jak jakiegoś idiota. Jak kogoś, kto postradał zmysły.

Ale Jasonowi nie na długo odjęło mowę. Wkrótce zaczął nauczać. Albo wygłaszać kazania. Jedno albo drugie. A ludzie go słuchali; najpierw w Atherton, potem i gdzie indziej.

Mówiono o nim, że nauczył się od powolnego ptaka mądrości. Nawiązał kontakt z ptakiem podczas całonocnego czuwania tam na taflę.

Jego nauka o nicości i ciszy szerzyła się, trafiając na żyzny grunt wszędzie tam, gdzie jeszcze był żyzny grunt, a nie szkło, czyli jeszcze w większej części kraju. Pewien może paradoks krył się w tym, że z taką elokwencją mówił o milczeniu. Ale w ten sposób zmuszał jakby cisze szklanych jezior do śpiewu i ludzie słuchali tego jako czegoś nowego.

Jason wedrował po całej wyspie. To był drugi paradoks, bo jego nauki były pochwałą bierności, błogiego oczekiwania na śmierć, która nie była czymś tylko osobistym, była również śmiercią słońca, gwiazd i wszelkiego istnienia, była kosmiczną śmiercią przetwarzającą jednostkową śmiertelność. Czasami nawet przemawiał do tłumów siedząc na grzbiecie ptaka, który się pokazał w pobliżu – jakby kusił los albo zachęcał, nawet błagał ptaka, żeby go zabrał ze sobą. Nigdy jednak nie

Ian WATSON

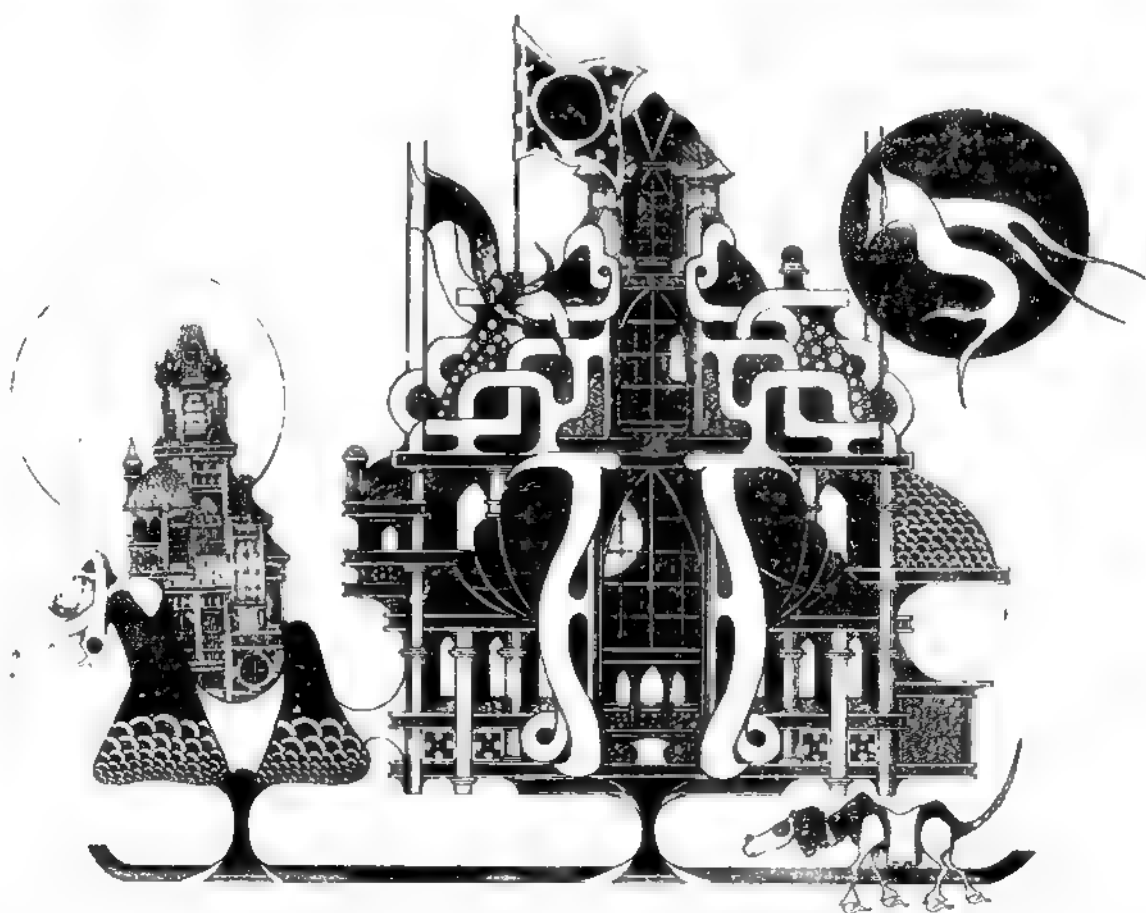
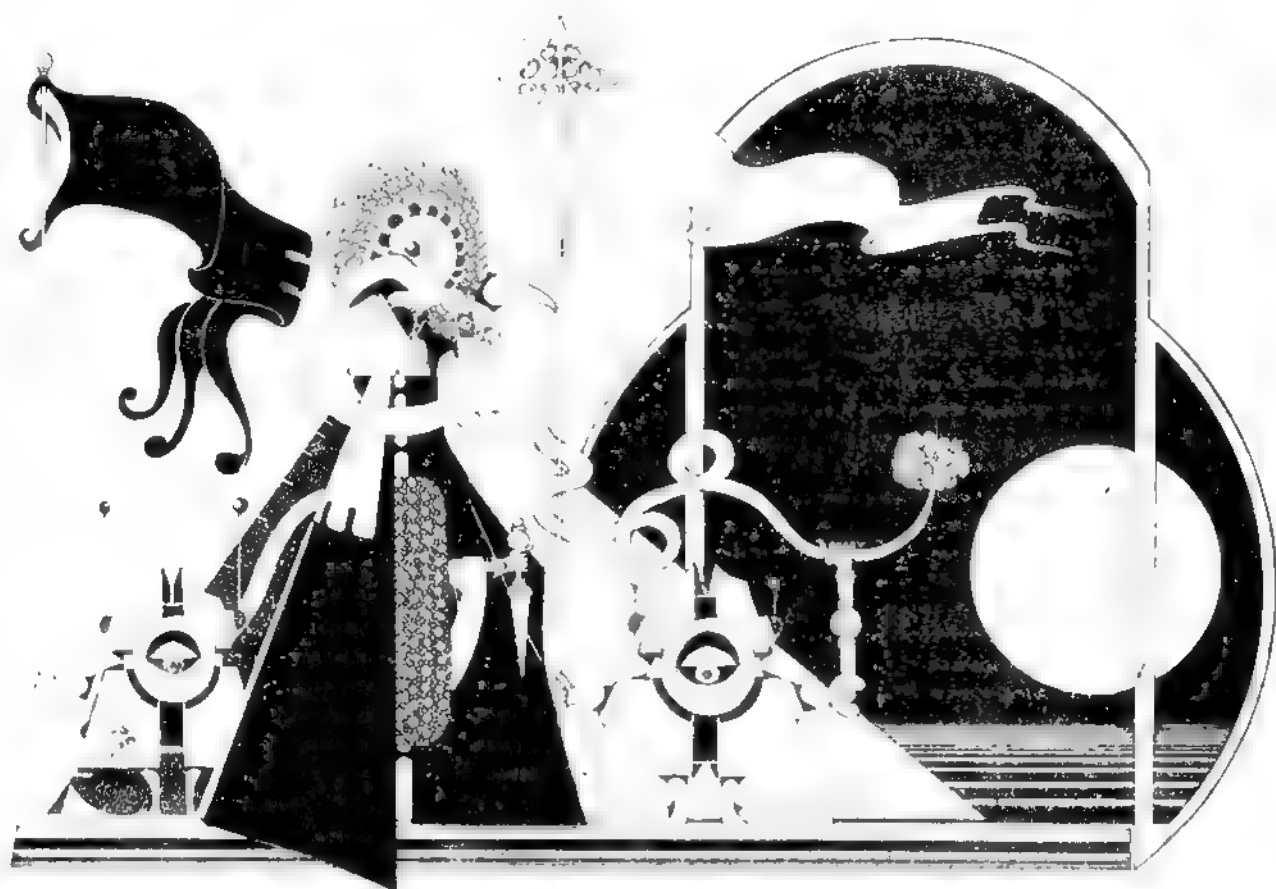
Ur. 1943, jeden z najsłynniejszych brytyjskich autorów SF, dotąd u nas zupełnie nieznany. Opowiadanie „Powolne ptaki” jest jego pierwszą prezentacją w języku polskim. Nazwisko Watsona kojarzyło się dotąd z jego powieściami „The Embedding” (1973, francuska nagroda Prix Apollo 1975), „The Jonah Kit” (1975, Brytyjska Nagroda SF 1975), „The Martian Inca” (1977), „Allen Embassy” (1977), „The Miracle Visitors” (1978) i inne, uzyskał Watsonowi wysoką markę u krytyków i recenzentów, ale są to powieści trudne i skomplikowane, operujące niesamowitym nastrojem – symbolicznym i surrealistycznym komentarzem do człowieka i świata często z mistycznym podtekstem.

Jako autor opowiadań Watson rozwijał się jakby z opóźnieniem. W ubiegłym dziesięcioleciu szukał dopiero własnego głosu, próbował kroków w różnych kierunkach, widoczny był w jego rzeczach wpływ J. G. Ballarda. Dopiero w latach osiemdziesiątych pisarz jakby odnalazł się w krótkiej formie – przynajmniej zdaniem piszącego te słowa – w najlepszych opowiadaniach przewyższył już swoje osiągnięcia powieściowe.

Ian Watson pisze science fiction bardzo angielską, a to znaczy stonowaną, spokojną, raczej costalgiczną. Przebojowe pomysły traktuje z wyjątkiem z typowo angielskim understatement, co niewątpliwie ułatwia mu wejście na rynek amerykański. Drugie typowe angielskie cechy twórczości Watsona to katastrofizm, umieszczanie opowiadań w świecie, przez który przebiega katastrofizm. W przeciwieństwie do beznamietnego Ballarda u Watsona wyczuwa się za tą tematyką głęboko zainicjowanie w problemy współczesnego świata.

Jean Claude
Smit le Bénédicté

GALERIA



siedział dłużej jak godzinę, potem schodził na dół, drżący ale i spokojnie rozpromieniony. Z tego powodu znany był nie tylko jako „Milczący Prorok”, lecz także jako „Człowiek, który jeździ na powolnych ptakach”.

W sumie można powiedzieć, że czynił wiele dobrego dla psychicznego zdrowia tych wspólnot, które przetrwały, i jego słowa zawędrowały nawet za ocean. Jego matka umierając była z niego dumna – tak myślał – choć w jej stosunku do niego przy całej czułości był zawsze pewien dystans...

W wiele lat później, kiedy Jason Babbidge zbliżał się do szeszedziesiątki, i nadal żaden ptak nie zabrał go ze sobą, osiadł na stałe w Atherton w swoim dawnym domu, do którego przybywali pielgrzymi milczenia, zapewniając dobrobyt całej wiosce, a zwłaszcza piwiarni „Pod Kłosem”, prowadzonej obecnie przez córkę dawnego właściciela.

W każde majowe święto odbywał się festiwal, ale teraz już zawsze na taflę Atherton. Jednak nie były to już wyscigi, bo przecież w biegu życia nie można wygrać. Teraz było to święto, balet na łyżwach, odtworzenie wydarzeń sprzed wielu lat – misterium pasyjne odgrywane przez cztery wioski. Tuckerton ze wszystkimi swoimi mieszkańcami zostało przed dziesięciu laty zamienione w szkło przez ptaka, który eksplodował w takim miejscu, że krąg zniszczenia zetknął się dokładnie ze skrajem starej taflę w miejscu, gdzie stało Tuckerton.

Pewnego ranka, na dzień przed festiwalem, rozległo się pukanie do drzwi Jasona. Jego gospodyni, Martha Prestidge, wyszła po zakupy i Jason otworzył sam.

W drzwiach stał chłopiec. Rudowłosy i piegowaty.

Przez chwilę Jason go nie poznawał. Potem jednak zrozumiał, że to Daniel. Daniel nie zmieniony. Może trochę, może o rok starszy.

– Dan...?

Chłopiec oglądał Jasona z niedowierzaniem: łysawa głowa, obwisły brzuch, patykowate nogi i wielka łaska z rączką w kształcie głowy ptaka, na której spoczywała dłoń z wątrobianymi plamami.

– Jason – powiedział chłopiec po chwili – ja wróciłem.

– Wróciłeś? Ale...

– Teraz już wiem, czym są ptaki! To jest broń. Rakiety. Dziesiątki i setki tysięcy. Toczy się wojna, ale jest to jednocześnie jakby gra: planszowa gra rozgrywana przez maszyny. Maszyny, które myślą. W ich czasie gra toczy się zaledwie od kilku dni. Rakiety dążą do swoich celów wędrują przez czas. Ale ze względu na prawa skutku i przyczyny nie mogą przemieszczać się w czasie w tamtym świecie. Dlatego robią to w naszym świecie, w świecie równoległym.

– To bzdury. Nie chcę tego słuchać.

Musisz, Jason! Można to u nas zatrzymać, zanim będzie za późno. Wiem jak. Obie strony mogą oddziaływać wzajemnie na swoje rakiety i unieszkodliwiać je w swoim świecie – czyli eksplodować w naszym – jeżeli potrafią je odpowiednio szybko wykryć. Ale tam wojna całkowicie wymknęła się spod kontroli ludzi. Zwycięstwo ważne jest tylko dla maszyn, które są ukryte głęboko pod powierzchnią. Budują wielkie ilości ptaków z materiału skorupy ziemskiej i automatycznie wysyłają je w inny czas.

– Dan, przestań.

Spadłem tam z ptaka, ale do jeziora, więc się nie zabiłem, tylko potłukłem. Zostały tam jeszcze

kawałki łądu koło baz. Ludzie stamtąd postawili mnie na nogi. Zostało im najwyżej kilka godzin w ich czasie, ale dla nas to dziesięciolecie. Przyniosłem im wielką nadzieję, bo dowiedzieli się, że nie wszelkie życie zginie, tylko ich. Życie może przetrwać. Musimy tylko zbudować maszyny, która uniemożliwi ich maszynom wykrywanie powolnych ptaków u nas. Trzeba wywołać zakłócenia w powietrzu. Takie fale. Jak fale światła, tylko niewidzialne.

– Bredzisz.

– Wtedy ptaki będą się nadal pojawiać, ale będą nieszkodliwe. A za sto albo za kilkaset lat przestaną się pojawiać, bo jedna ze stron tam osiągnie zwycięstwo. Jedna z maszyn wojennych uzna, że przegrała, i podda się. Oczywiście powinna móc poddać się już teraz, ale w mózgu maszyn zaprogramowano element irracjonalizmu, który nie pozwala im poddać się zbyt wcześnie. Zanim któraś to zrobi, na łąkach nie będzie już żywej duszy. Niektórzy tam myślą, że maszyny zaczną w ostatniej fazie wojny pokrywać szkłem oceany. Ale my możemy zbudować zakłócającą falę. Zakodowano tę wiedzę w moim mózgu. Wydobycie właściwych metali, sporządzenie narzędzi i budowa potężnego źródła energii zajmie nam kilka lat... – Danielowi zabrakło tchu. – Mieli prototyp powolnego ptaka. Wsadził mnie na niego i wysłali z powrotem w nasz czas. Wycelowali dobrze. Pojawił się zaledwie kilkanaście kilometrów stąd. Wierzę przyszedłem do domu.

– Prototyp? Fale w powietrzu? Źródło energii? Co to wszystko ma znaczyć?

– Mogę ci wytłumaczyć.

– To tylko słowa. Bezmyślna gadanina. Ach, kiedy wreszcie ucichnie ta paplanina świata.

– Daj mi trochę czasu i ja...

– Czasu? Ty chcesz czasu? Zwariowanego cykania ludzkich umysłów zamiast wielkiej, czystej pustki, wiecznej ciszy? Odrzucasz posłuszeństwo? Chcesz, żebyśmy bez przerwy wiercili się bezcelowo, ogłuszając sami siebie hałaśliwą gadaniną?

– Posłuchaj... Na pewno miałeś długie i ciężkie życie, Jason. Może nie powinienem zaczynać od ciebie.

– Ależ właśnie że powinienes, mój ty w gorącej wodzie kąpany braciszku. A poza tym nie uważam, żeby moje życie poszło na marne.

Daniel postukał się w czoło.

– To wszystko jest tutaj, ale trzeba to zapisać. A potem zrobić kopie i rozesłać wszędzie – na wypadek, gdyby Atherton zostało zniszczone. Wtedy ktoś inny będzie wiedział, jak zbudować nadajnik. Życie będzie trwało dalej. Oni tam uważają, że ludzie są jedyną rozsądną rasą w całym wszechświecie. Dlatego mamy obowiązek żyć dalej. Tamci zniszczyli się sami, kłócąc się o to jak żyć. Ale my mamy jeszcze dość czasu. Możemy zbudować statki, które polecą do gwiazd. Na ten temat trochę wiem. Powiadam ci, moja wizyta sprawiła im naprawdę radość w tych ich ostatnich godzinach, bo zrozumieli, że wszystko jest jeszcze możliwe.

– Och, Daniel, Daniel – jęknął Jason. Podobny patriarsze wzniosł swoją łaskę i z całej siły uderzył nią Daniela w głowę.

Wmawiał sobie, że nie widział krwi w rudych włosach Daniela. Ale widział.

Ciało chłopca osunęło się na próg. Z wysiłkiem Jason wciągnął je do środka, a potem z jeszcze większym wysiłkiem po debowych schodach na strych, gdzie jego gospodyni prawie nigdy nie zaglądała. Ciało musiało po jakimś czasie zacząć cuchnąć, ale można je było w coś zawinąć.

Powrót Marthy z zakupów przerwał Jasonowi.

Zostawiając ciało na podłodze wyszedł, zamknął drzwi na klucz i klucz włożył do kieszeni.

Stało się zwyczajem domu zapraszanie wybranych gości po majowej uroczystości, wiadomo więc było, że przez całą resztę dnia Martha będzie sprzątać, gotować i w ogóle doprowadzać dom do porządku. Jak to gospodyni, dała Jasonowi do zrozumienia, żeby się nie plątał pod nogami. Poszedł więc na tafele i tam, na jej idealnie płaskiej powierzchni stał i medytował. Mieszkańcy wioski i przybysze z okolicy na widok jego samotnej postaci z zadowoleniem kiwali głowami. Ich prorok był spokojny i nadawał ich życiu sens. Życiu i śmierci.

Przedstawienie, misterium pasyjne na łyżwach, zostało następnego dnia odegrane jak zwykle z uczuciem i wdziękiem.

Dopiero na trzeci dzień Jason zdołał się zmusić do powrotnego wejścia na strych, tym razem z workami i sznurem. Otworzył drzwi.

Ale poza ciemną plamą zakrzepłej krwi na podłodze nie było nic. Nic, tylko różne graty upchnięte pod ścianami. Żadnego trupa. I otwarte okno.

Wciąż jednak nie zabił Daniela. Chłopiec doszedł do siebie po ciosie. Jasonem targnęły sprzeczne uczucia, naruszając jego zwykle opanowanie. Wyjrzał przez okno, jakby się spodziewał, że ujrzy chłopca leżącego na bruku. Ale nie było tam żadnego śladu Daniela. Przeszukał całe Atherton, jak nawiedzony, nie zadając pytań, ale zaglądając wszędzie z napięciem. Nie znalazłszy żadnego śladu wziął wóz i konia i pojechał do Edgewood. Stamtąd objechał dokoła całą tafele przez Buckby i Hopperton, teraz już wypytując, czy nie widziano rudowłosego chłopca. Mieszkańcy wioski opowiadali sobie potem, że Jason Babbidge znowu miał widzenie.

Nie upłynął rok, a z daleka zaczęły nadciągać wieści o nowym nauczycielu, głoszącym nową naukę. Ten nowy nauczyciel był bardzo młody, ale on też jeździł na powolnym ptaku i to dużo dalej niż Milczący Prorok.

Z tym nowym nauczycielem nie wszystko jednak było w porządku, bo nie pamiętał niektórych szczegółów swojego posłannictwa, tego, co miał ludziom przekazać. Wtedy w przystępie rozpaczki bił się pięściami po głowie. Paradoksalnie takie teatralne sceny odpowiadały jakimś niespokojnym, awanturniczym rysom jego audytorium. Wierzyli mu, bo widzieli jego udrękę, która odbijała ich własne tłumione niepokoje i pragnienia.

Jason Babbidge z ogniem, nie szczędząc sił występował przeciwko nowym ideom. Całe filozoficzne piękno, jakim obdarzył ginący świat, zostało zagrożone, choć niechętnie więc, ale wezwał do „krucjaty” przeciwko nowemu nauczycielowi, w obronie swojej wizji Posłuszeństwa.

W dwa lata później być może żałował swoich słów, bo w ich rezultacie ludzie deptali pola między strefami zniszczenia uzbrojeni w bosaki, widły, siekiery i sierpy. Płonęły wsie, setki ludzi zginęły i gwałcono kobiety – jak w koszarnej wizji Jasona poprzedzającej jego objawienia.

W trzecim roku tej nie kończącej się wojny między „pacyfistami” a „obrońcami życia” Jason umarł, kryjąc gorycz pod maską spokoju. Pochowano go przywiązując jego ciało do powolnego ptaka. Najwierniejsi żalobnicy towarzyszyli ptakowi w milczącej procesji, aż znikł wraz z ciałem po kilku godzinach. Wkrótce potem, całkiem niespodziewanie, po Bitwie na Tafla Ashton wojna się skończyła zwycięstwem obrońców życia pod wodzą ich rudowłosego przywódcy, który, jak zauważono, był

uderzająco podobny do starego Jasona Babbidge’a. Zupełnie, jakby w świecie walczyły dwie przeciwstawne zasady istnienia, dwa aspekty tej samej istoty, dwa oblicza tego samego człowieka.

W pięćdziesiąt lat później, kiedy już przeszło jedną trzecią ładu pokrywało szkło i klimat zaczął się pogarszać, Uniwersytet Obrony Życia w Ashton zbudował wreszcie obiecaną maszynę i od tego czasu powolne ptaki nadal pojawiały się i znikwały, ale już nie wybuchały.

A w sto lat później powolne ptaki przestały się pokazywać. Gdzieś tam wojna dobiegła kresu, logicznie i ostatecznie.

Ale do tego czasu z Ziemi, której powierzchnia w czterech piątach będzie pustynią lub bagnem, spomiędzy naszyjników szklanych paciorków wystartuje pierwszy gwiazdolot.

Będzie się nazywał „Powolny Ptak”. Bo będzie leciał do gwiazd powoli. Powoli w kategoriach ludzkich, bo przez dwa pokolenia. Ale i tak stosunkowo szybko.

W ślad za nim polecą drugi statek pod nazwą „Daniel”.

Po tym ogromnym, wyczerpującym wybuchu energii dalszych wypraw nie będzie. Reszta ludzkości zajmie się uprawianiem tego, co pozostało z jej ogródka między wydminami, bagnami i hektarami szkła. To, czy któryś ze statków znajdzie nową ojczyznę – równie gościnną jak stara, choćby i częściowo pokryta martwym szkłem Ziemia – zostanie sprawą wiary.

Osiemdziesięcioletni Daniel, który nigdy nie przyznał się do swojego nazwiska, leżał na łożu śmierci w Ashton.

Jego pokój był nieprzyswoicie zatłoczony, choć dobrze przewietrzony ciepłym podmuchem idącym od Tafla Ashton i dobrze oświetlony srebrzystą poświatą odbitą od szklistego bezmiar.

Umierający starzec, przykryty tylko cienkim prześcieradłem, sam przypominał teraz ptaka: wychudzony, kościsty, ze spiczastym nosem, małymi oczkami i kogucim grzebieniem rudych włosów na głowie.

Uniosł słabą rękę, jakby przyzywał tych najbliższych stojących jeszcze bliżej. W rzeczywistości chciał dotknąć starej rany na głowie, która ostatnio zaczęła mu bardzo dokuczać, jakby miała się rozpeknąć albo zapaść do środka, otwierając drzwi pamięci – chociaż ukryty tam klucz nie był już potrzebny, bo ludzie z jego uniwersytetu odkryli wszystko samodzielnie, skoro tylko dowiedzieli się, że coś takiego istnieje.

Pochyliły się nad nim twarze, śmiałe, oddane twarze.

- Wciąż przestały wybuchać? – upewnili się.
- Tak, tak, już wiele lat temu! – uspokoił go.
- A gwiazdy...?

- Zbudujemy statki. Nauczymy się, jak to zrobić.

Koścista dłoń opadła na prześcieradło.

- Nazwijcie jeden z nich...

- Jak?

- Daniel. Dobrze?

Obiecali mu to.

- W ten sposób... mój duch... polecą w kosmiczną ciszę.

Słowa te zdziwiły nieco świadków jego zgonu, którzy nie mogli znać ostatniej myśli Daniela: że dzień startu będzie mógł być dniem pojednania między nim a bratem.

– I nie zadawał stosowne pytania, zaś Kir odpowiadał, pokazując rękami odpowiednie wymiary – jakiejś – no, jakies skomplikowane współzależności. Niewykluczone, że Basile sam był wielkim specjalistą w dziedzinie antycznych galer.

Pan wybaczy – powiedziała Albina – ale to przecież Kir!

Tak – odparł Tojwo. – Wrócił po swój model.

Kir jest dobrym chłopcem – oświadczyła Albina. – Ale jego ojciec zachował się ohydnie... Dzień dobry, Kir!

Kir pochłonięty swoimi sprawami dopiero teraz zauważył ją, przystanął i powiedział nieśmiało: Dzień dobry...". Ożywienie znikło z jego twarzy. Zresztą z twarzy Basila również.

Jak się czuje twoja mama?

Dziękuję. Mama spi

A tata? Gdzie jest twój ojciec, Kir? Gdzieś tu niedaleko?

Kir w milczeniu pokręcił głową i zasepił się

A ty tu byłeś przez cały czas? – z zachwytem wykrzyknęła Albina i triumfująco popatrzyła na Tojwo.

Kir wrócił po swój model – przypomniał Tojwo.

Wszystko jedno. Przecież nie bałeś się tu wrócić, Kir?

Dlaczego miałbym się ich bać, babciu Albino? – gniewnie wymruczał Kir, próbując chyłkiem ją ominąć.

Nie wiem, nie wiem – kłóliwie powiedziała Albina. – Bo na przykład twój tata...

Tata ani trochę się nie przestraszył. To znaczy przestraszył się o mnie i o mamę. Po prostu w tym momencie zamieszaniu nie zauważył, jakie one są łagodne.

Nie łagodne, tylko nieszczerliwie! – poprawiła Albina.

Takie tam nieszczerliwie, babciu Albino? – oburzył się Kir, zabawnie rozkładając ręce gestem kiego tragiaka. – Były takie wesołe, chciały się bawić. Nawet się lasły!

Tłuma Albina uśmiechała się z politowaniem.

– Nie moge się powstrzymać, aby natychmiast nie podkreślić pewnej cechy charakterystycznej dla Tojwo. – Jako dla pracownika. Gdyby na jego miejscu był zielony stażysta, po rozmowie z Duremarem byłby pewien, że jego rozmowca kręci i że sprawa ogólnie i konkretnie jest absolutnie jasna – Fleming stworzył embrioformy nowego typu, jego potwory wyrwały się na wolność, więc można spokojnie wracać do pracy i rano zameldować o wszystkim przełożonym.

Pracownik doświadczony, na przykład Sandro Mitbewari, też nie spędzałby czasu na picu kawy z Kasperem – embrioformy nowego typu to nie żarty – i Sandro niezwłocznie rozesłałby ze dwa i pół dziesiątka listów do wszystkich możliwych instancji, a sam popędziłby do Dolnej Peszy, żeby chwycić za gardziel tych chuliganów i niedorajdów Fleminga, poki nie przygotowali się do odgrywania urażonych niewin-

– To wo Głumow nie ruszył się z miejsca. Dlaczego? Tojwo poczuł zapach siarki. Nawet nie zapach, lecz jakki zapaszek. Niebywały embrioform? Naturalnie, to poważna sprawa. Ale to nie zapach siarki. Steryczna panika? Już ciepło, znacznie cieplej. Ale najważniejsza jest dziwna staruszka z wilh nr 5. To to! Panika, histeria, ucieczka, służba awaryjna, a ona prosi, żeby nie hałasować i nie przeszkadzać. Tu już nie pasują tradycyjne wyjaśnienia. Tojwo zresztą nie próbował tego wyjaśnić. Po prostu czekał, kiedy staruszka wstanie, żeby jej zadać kilka pytań. Został i był wynagrodzony. „Gdy- ni nie wpadło do głowy zjeść śniadania z Basilem – opowiadał mi później – gdybym przyleciał z raportem do pana od razu po rozmowie z tym Tołstowym, pozostałoby mi już na zawsze wrażenie, że w Dalej Peszy nie zdarzyło się nic zagadkowego, oprócz dzikiej paniki, spowodowanej najściem sztucznych zwierząt. Ale wtedy pojawił się ten chłopiec Kir oraz babcia Albina i wprowadzili istotny dysonans i „grabny i prymitywny schemat...”

„Wpadło do głowy zjeść śniadanie”, tak się wyraził. Najprawdopodobniej po to, żeby nie tracić czasu na próby wyrażenia słowami tych niejasnych i trwożnych przeczuć, które kazały mu czekać.

★

Arkadij i Borys Strugaccy

FALE TŁUMIA WIATR

(Wolny gasiat wietier)

przełożyła Irena Lewandowska

Nowa powieść braci Strugackich to według określenia radzieckiego krytyka Władimira Gopmana „kryminał psychologiczny”. Pracownicy Komisji Kontroli (Komkon-2) czuwającej nad bezpieczeństwem Ziemi badają sprawę tajemniczych wydarzeń: znikania ludzi, pojawiania się niezrozumiałych własności psychicznych, nagłych wybuchów geniuszu u całkiem dotąd przeciętnych ludzi. Czyżby skutki działania agentów kosmicznej supercywilizacji? Maks Kammerer, znany z „Przenicowanego świata” i „Żuka w mrowisku” ma na ten temat inną teorię. Oryginalna forma powieści odpowiada dedukcyjnemu trybowi poszukiwań: od stosu pozornie nie powiązanych faktów do teorii. Poruszają się tu Strugaccy w samym centrum tematyki fantastyczno-naukowej. Teoria supercywilizacji byłaby zgodna z modelem Snerga-Wieniewskiego z „Robota” czy „Nagłego celu”. Działanie nadludzi tak właśnie ujawniłoby się oczom ludzi – jako „cud”, naruszenie praw naszego świata. Konkurencyjna teoria Kammerera to hipoteza człowieka-poczwarki, przekonanie, że nadludzi narodzą się z człowieka w trybie mutacji. Temat ten wprowadził do literatury chyba H.G. Wells w swoim „Człowiekiem z roku milionowego” („The Man of the Year Million”, 1893), w którym rozważał dalszą ewolucję człowieka. Od czasu słynnego eksperymentu Morgana z wywoływaniem mutacji u muszek owocowych przez poddanie ich promieniowaniu, temat gwałtownych mutacji, zamierzonych lub spontanicznych, pojawia się coraz częściej i jest rozwijany w literaturze przez E. Hamiltona („The Man Who Evolved”, 1931) Olafa Stapiedona („Odd John”, 1935) i wielu innych pisarzy. W szczególności problemem stosunków między nowymi ludźmi a rasą macierzystą zajął się po raz pierwszy – a przynajmniej w sposób, który pociągnął za sobą następstwa literackie – A.E. van Vogt w swoim „Sianie” (1940). Jest to również temat przełożonych na polski „Poczwarek” Wyndhama oraz takich powieści jak „Tomorrow's Children” P. Andersona (1947), „The Eleventh Commandment” Lester del Reya (1962), „Ape and Essence” A. Huxleya (1948) i utworów Heinleina poświęconych praktycznie nieśmiertelnej rodzinie Howardów. „Methusaleh's Children” i „Time enough for Love”.

Strugaccy wzięli się więc za jeden z centralnych, jeden z najszerzej wykorzystywanych motywów SF i zrobili to po swojemu, tak jak nikt przed nimi. Otrzymaliśmy „kryminał psychologiczny” lub może raczej kryminał intelektualny, w którym źródłem niepokoju jest zwątpienie w samą strukturę rzeczywistości, a przedmiotem śledztwa odtworzenie logicznej konstrukcji otaczającego nas świata. Jest to więc fantastyka naukowa w najgłębszym sensie tego słowa, pozwalająca czytelnikowi przeżyć (od niego tylko zależy jak głęboko) dreszcz emocji i lęku, jakiego doznaje prawdziwy uczony działający na granicy niewiedomego.

L.J.

WPROWADZENIE

Nazywam się Maksym Kammerer. Mam osiemdziesiąt dziewięć lat. Kiedyś, bardzo dawno temu, przeczytałem starodawną opowieść, która tak właśnie się zaczynała. Pamiętam, że pomyślałem wtedy: jeśli w przyszłości będę pisał pamiętniki, zacznę je dokładnie tak samo. Zresztą ten zaproponowany przeze mnie tekst właściwie trudno nazwać wspomnieniami, a zacząć należałoby od jednego listu, który otrzymałem mniej więcej rok temu.

*Kammerer,
Oczywiście przeczytał pan osławione „Piec biografi stulecia”. Proszę, aby pomógł mi pan ustalić, kto konkretnie ukrywa się pod pseudonimami – P. Soroka i E. Braun. Sądzę, że przyjdzie to panu łatwiej niż mnie.*

*Maja Głumowa
13 czerwca 125 roku. Nowogrod,*

Nie odpowiadałem na ten list, ponieważ nie udało mi się rozszyfrować, jak naprawdę nazywali się autorzy „Pieciu biografii stulecia”. Wyjaśniłem tylko, że jak tego należało oczekiwać – P. Soroka i E. Braun są znanymi współpracownikami grupy „Ludeny” Instytutu Badania Historii Kosmicznej (IBHK).

Bez trudu wyobraziłem sobie uczucia, jakich doznawała Maja Głumowa czytając zredagowaną przez P. Sorokę i E. Brauna biografię swojego syna. Zrozumiałem, że muszę zabrać głos.

Napisałem te wspomnienia. Z punktu widzenia bezstronnego, a w szczególności obiektywnego czytelnika mowa w nich będzie o wydarzeniach, które stały się koncem całej epoki w naszej kosmicznej samoświadomości i otwały przed ludzkością całkowicie nowe perspektywy, które poprzednio mogły być rozważane jedynie teoretycznie. Byłem świadkiem, uczestnikiem i w jakimś sensie nawet inicjatorem tych wydarzeń i z tego powodu nie ma nic zdumiewającego w tym, że grupa „Ludeny” w ciągu ostatnich lat bombarduje mnie odpowiednimi ankietami, oficjalnymi i nieoficjalnymi prośbami o współdziałanie i moralami na temat obywatelskich obowiązków. Początkowo traktowałem cele i zadania grupy ze zrozumieniem i życzliwością, ale też nigdy nie ukrywałem swojego sceptycyzmu na temat ich nadziei na sukces. Poza tym było dla mnie absolutnie jasne, że z materiałów i informacji, którymi dysponuje, grupa „Ludeny” nie będzie miała żadnego pożytku i dlatego do tej chwili uchylałem się od uczestnictwa w jej pracy.

Ale teraz, z przyczyn, które mają charakter raczej osobisty, odczuwam uporczywą potrzebę, żeby jednak zebrać razem i zaproponować każdemu, kto zechce się tym zainteresować, całość mojej wiedzy o pierwszych dniach Wielkiej Iluminacji.

Przeczytałem ostatni akapit i od razu jestem zmuszony skorygować samego siebie. Po pierwsze, proponuje oczywiście wciąż nie wszystko, co wiem. Niektóre materiały mają charakter zbyt specjalistyczny, żeby móc je tu referować. Niektórych nazwisk nie wymienię z przyczyn czysto etycznych. Powstrzymam się też od omawiania specyficznych metod mojej ówczesnej działalności w charakterze kierownika oddziału Nadzwyczajnych Wydarzeń (NW) Komisji Kontroli (KOMKONU-2).

Po drugie, wydarzenia 99-ego roku były, jeśli już mam być ścisły, nie pierwszymi dniami Wielkiej Iluminacji, lecz przeciwnie, jej dniami ostatnimi. Tego właśnie, jak mi się wydaje, nie rozumieją, a raczej nie chcą zrozumieć pracownicy grupy „Ludeny”, bez względu na wszelkie moje próby przekonania ich. Zresztą możliwe, że nie byłam wystarczająco uparty. Już nie te lała.

Osobowość Tojwo Głumowa budzi, rzecz jasna, szczególne powódźbałbym nawet specjalne zainteresowanie pracowników grupy „Ludeny”. Rozumiem to i dlatego wybrałem Głumowa na centralną postać moich pamiętników.

Oczywiście, nie tylko dlatego i nie głównie dlatego. Jezeli z jakiegokolwiek powodu wspominam o tych dniach, w mojej pamięci natychmiast pojawia się Tojwo Głumow, widzę jego szczupłą, zawsze poważną, młodzieńczą twarz, wierznie przysłonięte długimi rzęsami szare, przejryste oczy, słyszę jego jakby celowo spowolnione słowa i znowu odbieram całym sobą jego bezdźwięczny, bezzębny, ale nieublagany, nierzeczywisty krzyk napór. „No co z tobą? Dlaczego nic nie robisz? Rozkazuj!” I na odwrót – wystarczy, żeby z jakiegokolwiek powodu pomyślał o Tojwo, natychmiast, jakby obudzone brutalnym kopniakiem, budzą się „wspomnienia wściekłe psy”, cała groza tamtych dni, cała rozpacz tamtych dni, cała bezsilność tamtych dni, wszystko co wtedy czułem, sam jeden, dlatego że nie miałem komu się zwierzyć.

– Pani pozwoli, że wyniosę dla niej fotel?
– Nie pozwolę – odpowiedziała. – Nie zamierzam się tu rozsiadywać. Życzę sobie usłyszeć pańskie zdanie o tym, co się stało z ludźmi w naszym osiedlu. Pańską opinię jako specjalisty. Kim pan jest? Socjologiem? Pedagogiem? Psychologiem? A więc niech pan będzie łaskaw wyjaśnić! Proszę zrozumieć, nie chodzi o jakieś tam sankcje. Ale musimy zrozumieć, jak to się mogło stać, że ludzie jeszcze wczoraj cywilizowani, dobrze wychowani... powiedzialabym – wspaniali ludzie!... dzisiaj nagle tracą ludzkie oblicze! Czy wie pan, co różni człowieka od wszystkich innych istot?
– Eee... to, że jest rozumny? – zaproponował na chybił trafił Tojwo.
– Nie, mój drogi! Miłosierdzie! Miłosierdzie!
– Ależ oczywiście – powiedział Tojwo. – Ale skąd wiadomo, że wczorajsze stworzenia prosiły właśnie o miłosierdzie?

Popatrzyła na Tojwo z obrzydzeniem.
– Czy pan sam je widział? – zapytała.
– Nie.
– Więc jak pan może wypowiadać się na ten temat?
– Nie wypowiadałem się – odparł Tojwo. – Właśnie chciałbym ustalić, czego one chciały...
– Mam wrażenie, że wystarczająco jasno powiedziałam panu, że te żywe istoty – te biedactwa, szukały u nas pomocy! Znajdowały się na krawędzi zagłady. Z minuty na minutę groziła im śmierć! Przecież one zginęły, czy pan o tym nie wie? Na moich oczach umierały, rozpadając się w proch, w nicosć, a ja nie mogłam poradzić, jestem tancerką, a nie biologiem, nie lekarzem, wołałam, ale czy ktokolwiek mógł usłyszeć mój głos w tym tłumie, w tym rozpasaniu dzikości i okrucieństwa? A potem, kiedy pomoc wreszcie nadeszła, było już za późno, ani jedno nie przeżyło. Ani jedno! A te dzikusy. Nie wiem, jak wyjaśnić ich zachowanie. Być może była to zbiorowa psychoza... zatrucie... zawsze byłam przeciwna jedzeniu grzybów... Zapewne kiedyś się już ocknęli, tak im się zrobiło wstyd, że wszyscy uciekli gdzieś, czy poniosła? Znalazli ich pan?

Tak – powiedział Tojwo.
– Rozmawiał pan z nimi?
– Tak. Z niektórymi. Nie ze wszystkimi.
– Więc proszę mi powiedzieć, co się z nimi stało? Jakie są pańskie wnioski, chociażby wstępne?
– Widzi pani...
– Może mnie pan nazywać Albina.
Dziękuję. Chodzi o to, że... Chodzi o to, że o ile możemy przypuszczać, większość pani sąsiadów odebrała tę inwazję... to wydarzenie trochę inaczej niż pani

Ja myślę – wyniosła powiedziała Albina. – Widziałam to na własne oczy!
Nie, nie. Chce powiedzieć, że oni się przestraszyli. Śmiertelnie przestraszyli. Oszałeli z przerażenia. Nawet teraz boją się tu wrócić. Niektórzy chcą uciec z Ziemi po tym, co tu przeżyli. I o ile rozumiem, pan jest jedynym człowiekiem, który usłyszał błagania o pomoc.

Albina słuchała majestatycznie, ale uważnie.
No cóż – powiedziała – widocznie tak im wstyd, że muszą tłumaczyć się strachem... Niech pan im nie wierzy, mój drogi, niech pan nie wierzy! To najprymitywniejsza, paskudna ksenofobia! Coś jak uprzedzenia rasowe. Pamiętam, że w dzieciństwie panicznie bałam się zmij i pajaków... Tu było dokładnie to samo.

– To bardzo możliwe. Ale niektóre rzeczy chciałbym jednak usłyszeć. Te stworzenia błagały o pomoc. Domagały się miłosierdzia. Ale w czym to się wyrażało? Przecież o ile wiem, nie mówiły, nawet nie jęczały.

Mój drogi! One były chore i umierały! Co z tego, że umierały w milczeniu? Delfinek wyrzucony na ląd też się nie odzywał – w każdym razie my go nie słyszymy. Ale przecież rozumiemy, że potrzebna mu jest pomoc i spieszymy z tą pomocą... Albo idzie sobie chłopczyk, nie słyszymy stąd, co mówi, ale widac, że jest wesoły, zadowolony i szczęśliwy.

Od willi nr 6 zbliżał się do nas Kir i rzeczywiście najwyraźniej był wesoły, zadowolony i szczęśliwy. Basile, który maszerował obok, z szacunkiem niósł czarny model wielkiej, antycznej galery i jak się

sie go bac? Słoń jest duży i wieloryby... delfiny też bywają spore... A te zwierzęta wcale nie były większe od delfinów i tak samo łagodne...

Tojwo spojrzał na Basila. Basileowi szczeka opadła, słuchał dziwnego chłopca, trzymając w powietrzu nadgryzioną kanapkę.

- I jak słicznie pachną! gorąco ciągnął dalej Kir. Pachną jagodami. Myślę, że właśnie jagodami się żywią... Trzeba by je ośwoić, a uciekać od nich, dlaczego? - westchnął. - Teraz już na pewno sobie poszły. Szukaj ich w tajdze jak wiatru w polu... Wszyscy tak na nie krzyczeli, tupali, machali rękami! Oczywiście musiały się wystraszyć! Trudno je będzie teraz przywabić...

Opuszczył głowę i popadł w gorzką zadumę. Tojwo powiedział:

- Jasne. Ale rodzice nie zgadzają się z tobą? Prawda?

Kir machnął ręką.

- A jakże... Ojciec jeszcze jako tako, ale mama kategorycznie - nigdy, za nic jej noga tu nie postanie! teraz odlatujemy na Kurort. A ich tam przecież nie ma... A może są? Nie wie pan, jak one się nazywają?

- Nie wiem, Kir - powiedział Tojwo.

- Ale tu już nie ma ani jednego?

- Ani jednego.

- Tak sobie pomyślałem - powiedział Kir. Westchnął i zapytał: - Czy mogę zabrać swoją galere?

Basile wreszcie wrócił do siebie. Podniósł się hałaśliwie i powiedział:

- Chodźmy, odprowadzę cię. Dobrze? - zapytał Tojwo

- Oczywiście - odpowiedział Tojwo.

- Po co mnie odprowadzać? - z oburzeniem zapytał Kir, ale Basile położył już swoją dłoń na jego ramieniu.

- Chodźmy, chodźmy - powiedział. - Przez całe życie marzyłem o tym, żeby zobaczyć prawdziwą galere.

- Ona nie jest prawdziwa, to tylko model...

- Tym bardziej. Całe życie marzyłem, żeby zobaczyć model prawdziwej galery.

Odeszli. Tojwo wypił filiżankę kawy i również wyszedł z pawilonu.

Słońce już niele przypiekało, na niebie nie było ani jednej chmurki. W bujnej trawie na placu migały niebieskie koniki polne. I poprzez to metaliczne migotanie, niczym dziwaczna poranna zjawą płynęła w kierunku pawilonu majestatyczna starucha z absolutnie nieprzystępnym wyrazem wąskiej, brązowej twarzy.

Podtrzymując (diabło wykwinłnie) brązową ptasią łapą doł zapiętej pod szyję śnieżnobiałej sukni, stara, jakby nie dotykając trawy, podpłynęła do Tojwo i stanęła, gorując nad nim co najmniej o głowę. Tojwo pokłonił się z szacunkiem, stara kiwnęła w odpowiedzi głową, zresztą zupełnie życzliwie.

- Może pan nazywać mnie Albona - oświadczyła miłostliwie sympatycznym barytonem

Tojwo przedstawił się pospiesznie. Zmarszczyła brązowe czoło pod bujną czupryną białych włosów

- KOMKON? No coż, niech będzie KOMKON. Niech pan będzie tak uprzejmy, Tojwo, i powie mi, jak wy w tym swoim KOMKONie wyjaśnacie to wszystko?

- Co pani konkretnie ma na myśli? - zapytał Tojwo

Pytanie nieco ją zirytowało

Mam na myśli, mój drogi, to właśnie - powiedziała - jak to się mogło zdarzyć, że w naszych czasach, pod koniec naszego stulecia, u nas na Ziemi żywe istoty błagające człowieka o pomoc i miłosierdzie nie tylko nie otrzymały pomocy ani miłosierdzia, ale stały się obiektem nagonki, zastraszania, a nawet aktywnych działań fizycznych o wyjątkowo barbarzyńskim charakterze. Nie chce wymieniac nazwisk, ale ci ludzie bili je grabiami, dziko na nie krzyczeli, a nawet próbowali roznosić je gliderami. Nigdy bym w to nie uwierzyła, gdybym nie widziała na własne oczy. Czy pan wie, co to takiego dzikosc? Wiedzieli, że to była dzikosc? Jest mi wstyd.

Umilkła, nie spuszczając z Tojwo przenikliwego spojrzenia gniewnych, czarnych jak węgiel, bardzo młodych oczu. Orzekiwała odpowiedzi i Tojwo wymamroła

Osnowę proponowanych pamiętników stanowią dokumenty. Z zasady są to standardowe raporty-meldunki moich inspektorów, a także trochę oficjalnej korespondencji, którą tu dołączam głównie po to, żeby spróbować rekonstrukcji atmosfery tamtych czasów. Zresztą, pedantyczny i kompetentny badacz bez trudu zauważy, że mnóstwo dokumentów, które mają bezpośredni związek ze sprawą, nie zostało włączonych do pamiętników, a jednocześnie bez niektórych przytoczonych dokumentów można by się z pozoru obejść. Na ten zarzut odpowiadam zawsze - materiały selekcjonowałem zgodnie z określonymi zasadami, w których istotę zagłębiać się nie mam ochoty, a także nie widzę konieczności.

Następnie, znaczną część tekstu stanowią rozdziały - rekonstrukcje. Rozdziały te napisałem sam i w istocie rzeczy są one rekonstrukcją scen i wydarzeń, których świadkiem nie byłem. Rekonstrukcja została dokonana na podstawie opowiadań, zapisów na taśmach i późniejszych wspomnień ludzi uczestniczących w tych scenach i wydarzeniach, jak na przykład Asi, żony Tojwo Głumov'a, jego kolegów, jego znajomych itd. Zdaje sobie sprawę, że wartość tych rozdziałów dla pracowników grupy „Ludeny” jest nieznacząca, ale cóż robić, za to jest bardzo znaczna dla mnie.

I wreszcie, zawierający informacje tekst z pamiętników pozwoliłem sobie trochę rozwozić własnymi reminiscencjami, które zawierają informacje może nie tyle o ówczesnych wydarzeniach, ile o ówczesnym pięćdziesięciosmioletnim Maksymie Kammererze. Zachowanie tego człowieka w opisanych przeze mnie okolicznościach sam teraz obserwuję nie bez zainteresowania...

Podjęmując ostateczną decyzję napisania tych pamiętników, stanąłem przed następującym problemem - od czego mam zacząć? Co i kiedy stało się początkiem Wielkiej Iluminacji?

Mówiąc ściśle, wszystko to zaczęło się dwa wieki temu, kiedy w skałach Marsa nagle odkryto puste podziemne miasto z jantarinu - wówczas po raz pierwszy padło słowo „Wedrowcy”.

To jest słuszne. Ale zbyt ogólne. Z takim samym powodzeniem można stwierdzić, że Wielka Iluminacja zaczęła się w momencie Wielkiego Wybuchu.

Wobec tego może pięćdziesiąt lat temu? Sprawa „podrzutków”? Kiedy po raz pierwszy problem Wedrowców przybrał odcień tragizmu, kiedy narodził się i powędrował z ust do ust jadowity termin-wyrzut „syndrom Sikorskiego”? Komplex niekontrolowanego strachu przed możliwą inwazją Wedrowców? To jest bardzo możliwe. I znacznie bliższe prawdy... Ale wtedy nie byłem jeszcze naczelnikiem wydziału NW, zresztą sam wydział NW jeszcze w ogóle nie istniał. Zresztą nie piszę przecież historii problemu Wedrowców.

A dla mnie zaczęło się to wszystko w maju 83 roku, kiedy ja, jak i wszyscy naczelnicy wydziałów NW, wszystkich sektorów KOMKONU-2, otrzymałem informację o zdarzeniu na Tissime. (Nie rzece Tisie, która spokojnie płynie przez Węgry i Zakarpacie, lecz na planecie Tissime, planecie gwiazdy EN 63061, niedługo przedtem odkrytej przez chłopców z grupy Swobodnego Zwiadu). Informacja traktowała wydarzenie jako przypadek nagłego i nie wyjaśnionego obłędu wszystkich trzech członków ekspedycji badawczej, która wyładowała na płaskowyżu (zapomniałem, jak się nazywał dwa tygodnie przedtem). Całej trójce wydało się nagle, że łączność z centralną bazą została przerwana, zresztą w ogóle łączność z cokolwiek oprócz pozostawionego na orbicie planety statku macierzystego, zaś automat statku macierzystego nadaje bez przerwy w kołko powtarzającą się wiadomość, że Ziemia zginęła w wyniku jakiegoś kataklizmu kosmicznego, zaś cała ludność Peryferii wymarła na skutek niepojętych epidemii.

Nie pamiętam już wszystkich szczegółów. Dwóch z tej ekspedycji zdaje się próbowało popełnić samobójstwo, a w końcu poszli na pustynię - zrozpaczeni beznadziejnością i absolutnym bezsenssem dalszego istnienia. Ale dowódca ekspedycji okazał się człowiekiem twardym. Zaczynał żęby i zmusił się do życia tak jakby te nie cała ludzkość zginęła, tylko jakby jego samego spotkała katastrofa, jakby po prostu został na zawsze odrzucony od ojczystej planety. Opowiadał następnie, że na czternasty dzień tego szaleństwa pojawiła się mu jakaś istota w białej oświadczyła, że on, dowódca, z honorem przeszedł przez pierwszą próbę i zostaje przyjęty do stowarzyszenia Wedrowców. Piętnastego dnia ze statku macierzystego przybyła szalupa awaryjna i atmosfera została rozładowana. Ci dwaj, którzy odeszli na pustynię, zostali szczęśliwie odnalezieni, zdrowi na umyśle, nikt nie uciepiał. Ich świadectwa były zgodne w najdrobniejszych szczegółach. Na przykład wszyscy kosmonauci absolutnie identycznie odtwarzali akcent automatu, który jakoby nadawał tragiczny komunikat. A subiektywnie odbierali to, co się stało jak realistyczne, niesłychanie sugestywne przedstawienie teatralne, w którym mimo swojej woli wystąpili w charakterze

aktorów. Głęboka mentoskopia potwierdziła ich subiektywne wrażenia i nawet potwierdziła, że w najgłębszej warstwie podświadomości żaden z nich nie miał wątpliwości, że po prostu uczestniczy w spektaklu.

O ile się orientuje, moi koledzy z pozostałych sektorów potraktowali ten informat jak zwyczajne, nieinteresujące NW, nie wyjaśnione Nadzwyczajne Wydarzenie, jakich mnóstwo trafia się na Peryferiach. Wszyscy są cali i zdrowi. Dalsze wyjaśnienie okoliczności NW nie wydaje się konieczne, zresztą od samego początku nie było konieczne. Chętnych do wyjaśnienia zagadki jakos nie było. Rejon NW ewakuowano. NW przyjęto do wiadomości. Ad acta.

Alę ja przecież byłem uczniem świętej pamięci Sikorskiego! Kiedy jeszcze żył, często spierałem się z nim w myśli i w rzeczywistości na temat niebezpieczeństw grożących ludzkości z zewnątrz. Ale z pewnością jego tezą trudno mi było dyskutować, zresztą wcale tego nie chciałem. „Jesteśmy pracownikami KOMKONU-2. Wolno nam zyskać opinie obskurantów, mistyków, zabobonnych kretyńców. Jednego nam tylko nie wolno – nie doceniać niebezpieczeństwa. I jeśli w naszym domu zapachniało nagle siarką – po prostu musimy założyć, że gdzieś niedaleko pojawił się rogaty diabeł i przedsięwziąć odpowiednie środki, aż do zorganizowania produkcji wody święconej w skali przemysłowej włącznie”. I jak tylko usłyszałem, że jakas istota w bielei wieszczcy w imieniu Wedrowców, poczułem zapach siarki i ożywiłem się jak stary, bojowy kon na dźwięk trąby.

Odpowiedniami kanałami rozesłałem odpowiednie pytania. Stwierdziłem bez szczególnego zdziwienia, że w słowniku instrukcji, rozporządzeń i planów perspektywicznych naszego KOMKONU-2 nieobecne jest słowo „Wedrowiec”. Odbyłem audiencje w naszych najwyższych instancjach i już zupełnie bez żadnego zdziwienia upewniłem się, że w opinii naszych najważniejszych decydentów problem progresorskiej działalności Wedrowców wobec ludzkości właściwie nie istnieje, został zdjęty z porządku dziennego jako dawno przeżyta choroba wieku dziecięcego. Tragedia Lwa Abalkina i Rudolfa Sikorskiego jakimś niepojętym sposobem jakby na zawsze uwolniła Wedrowców od podejrzeń.

Jedynym człowiekiem, u którego mój niepokój wywołał coś w rodzaju współczucia, okazał się Alos-Sidorow, prezydent mojego sektora i mój bezpośredni zwierzchnik. Osobiscie wyraził zgodę i potwierdził podpisem zaproponowany przeze mnie temat – „Wizyta starszej pani”. Zezwolił także, abym zorganizował specjalną grupę dla opracowania tego tematu. Mówiąc wprost, dał mi carte blanche w całej tej sprawie.

Zacząłem od tego, że zebrałem opinie ekspertów, najkompetentniejszych specjalistów w dziedzinie ksenopsychologii. Moim celem było zbudowanie modelu (najbardziej prawdopodobnego) działalności progresorskiej Wedrowców wobec ziemskiej ludzkości. Pominię szczegóły – wszystkie zebrane materiały posłałem znanemu historykowi nauki i erudyce Izaakowi Brombergowi. Teraz nawet nie pamiętam już, dlaczego to zrobiłem, przecież w tym czasie Bromberg od dawna nie zajmował się już ksenologią. Chodziło prawdopodobnie o to, że większość specjalistów, do których się zwracałem ze swoimi pytaniami, po prostu nie traktowała mnie poważnie (syndrom Sikorskiego!), a Bromberg, jak wszyscy doskonale wiedzieli, „zawsze miał w zapasie parę słów” i to na dowolny temat.

Tak czy inaczej Izaak Bromberg przysłał mi swoją odpowiedź, znaną obecnie wśród specjalistów jako „Memorandum Bromberga”.

Od tego memorandum wszystko się zaczęło.

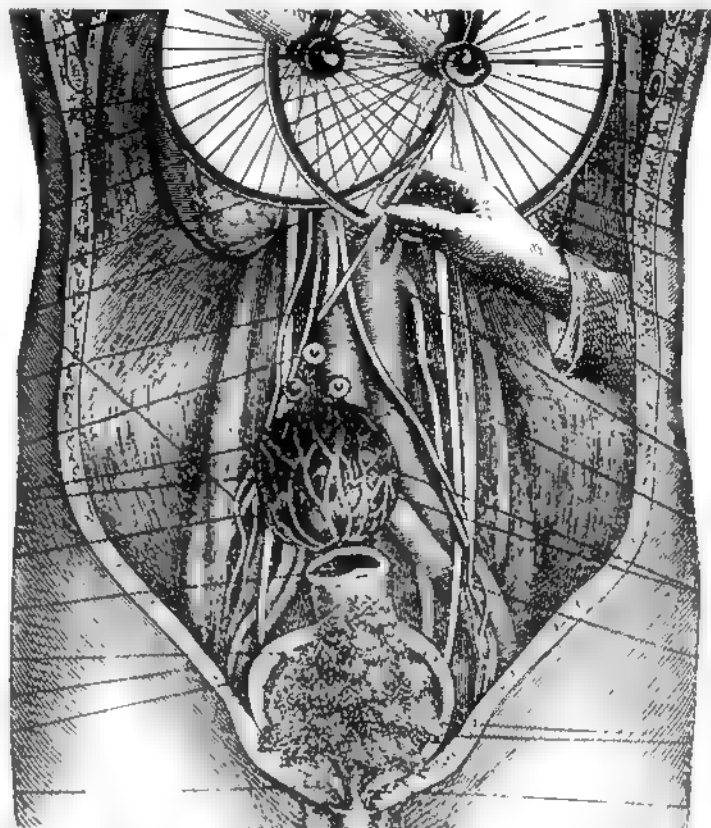
Ja również od niego zacząłem.
(koniec Wprowadzenia)

DOKUMENT 1

KOMKON-2
sektor Ural-Połnoc
Maksym Kammerer
do rąk własnych, służbowe.

Data: 3 czerwca 94 roku

Autor: Izaak Bromberg, starszy konsultant KOMKONU-1, doktor nauk historycznych, laureat Nagrody Herodota (63, 69 i 72 rok), profesor, laureat Małej Nagrody Jana Amosa Komenskigo (57 rok), doktor ksenopsychologii, doktor socjopatologii, członek rzeczywisty Akademii Socjologii (Europa), członek ko-



- Dlatego, że przylazły te zwierzęta. Wyszły z lasu... albo z rzeki. Wszyscy się przestraszyli nie wiadomo dlaczego, zaczęli biegać... Ja spałem, mama mnie obudziła.

A ty się nie przestraszyłeś?

Wruszyłem ramionami.

No, ja też się przestraszyłem na początku... ze snu... Wszyscy wrzeszczą, wszyscy krzyczą, wszyscy biegają, nic nie można zrozumieć.

A potem?

- Przecież mówię – wsiedliśmy w glider i odlecieliśmy.

- Widziałeś te zwierzęta?

Chłopiec nagle się roześmiał.

- Oczywiście, że widziałem... jedno weszło prosto przez okno, takie rogate, tylko że rogi nie były twarde, ale jak u ślimaka... bardzo zabawne.

- To znaczy, że ty sam się nie przestraszyłeś?

- Nie, przecież mówię – oczywiście, że się przestraszyłem, co będę kłamał. Mama wbiegła taka biała, bałem się, że jakies nieszczescie... myślałem, z tatą coś się stało...

- Jasne, jasne. Ale czy przestraszyłeś się tych zwierząt?

Kir odpowiedział z irytacją:

- A dlaczego miałem się ich bać? Przecież one są dobre, śmieszne... takie miękkie, jedwabiste, jak mangusty, tylko sierści nie mają. A że takie duże, no to co? Tygrys też jest duży, no i może dlatego mam

Zresztą Tojwo interesowała raczej reakcja przyjaciela Ernsta, Lwa Tolstowa, pracownika Fleminga, specjalisty w dziedzinie konstruowania i uruchamiania sztucznych organizmów. A reakcja specjalisty była następująca: najpierw kompletne niezrozumienie, spontaniczne mruganie oczami i niepewny uśmiech człowieka podejrzewającego, że ktoś robi z niego balona i to w dość głupi sposób, następnie fraszobliwie zmarszczone brwi, spojrzenie puste, jakby zwrócone do wewnątrz, zatroskane ruchy dolnej szczęki. I pod koniec wybuch zawodowego oburzenia. Czy panowie rozumiecie o czym mówicie? Czy macie chociaż najmniejsze pojęcie o temacie? Czy w ogóle kiedykolwiek widzieliście sztuczny organizm? Ach, tylko na kronice? A więc dowiedźcie się, że nie ma i nie może być sztucznych stworzeń, które byłyby zdolne wlaźć przez okna do czyjejkolwiek sypialni. Przede wszystkim są powolne i niezgrabne, a jeśli już w ogóle się poruszają, to nie idą do ludzi, tylko od ludzi, uciekają, ponieważ naturalne biopole jest dla nich przeciwwskazane, nawet biopole domowego kota... Dalej, co to znaczy „mniej więcej wartości krowy”? Czy próbowaliście chociaż w przybliżeniu obliczyć, jaka energia potrzebna jest embrioforowi, żeby rozrosnąć się do takiej masy, powiedzmy, nawet w ciągu godziny? Przecież tutaj kamień na kamieniu by się nie ostał, nie mówiąc już o krowach, wyglądałoby to po prostu jak wybuch.

Czy dopuszcza możliwość uruchomienia tu embrioforów nieznanego mu rodzaju?
W żadnym wypadku. Takie embriofory po prostu nie istnieją.
Wierzę, że tu się stało, jego zdaniem?
Lew Tolstow nie rozumiał, co tu się stało. Musi się rozejrzeć, żeby dojść do jakichś wniosków.
Tojwo zostawił go, żeby się rozejrzył, a sam z Basilem poszedł do klubu z zamiarem przegryzienia czegoś.

Zjedli po kanapce z zimnym miesem i Tojwo zaczął parzyć kawę. I wtedy,
- W-w-w-w! - wykrzyknął Basile z nabitymi ustami.
Poiknął z wysiłkiem i patrząc obok Tojwo, ryknął świeżym głosem:
- Stop maszyna! Dokąd się wybierasz, synku?
Tojwo odwrócił się. To był chłopak mniej więcej dwunastoletni, w szortach i kurcie, o odstających uszach, opalonej twarzy. Donosny okrzyk Basila zatrzymał go tuż przy wyjściu z pawilonu.

- Do domu - odpowiedział z wyzwaniem.
- Chodź no tu do mnie, proszę! - powiedział Basile.
Chłopiec podszedł i przystanął z rękami na plecach.
- Mieszkasz tu? - chytrze zapytał Basile.
- Mieszkaliśmy - odparł chłopiec - pod szóstką. Teraz już nie będziemy tu mieszkać.
- Kto - my? - zapytał Tojwo.
- Ja, mama i ojciec. To znaczy byliśmy tu na letnisku, a mieszkamy w Pietrozawodsku.
- A gdzie mama i tata?
- Śpią. W domu.
- Śpią - powtórzył Tojwo. - Jak się nazywasz?
- Kir.
- A twoi rodzice wiedzą, że tu jesteś?

Kir przestąpił z nogi na nogę, wyraźnie skrepowany, i powiedział:
- Wrocilem tu tylko na chwilę. Muszę zabrać galere, cały miesiąc się męczyłem.
- Galere... - powtórzył Tojwo, wpatrując się w Kirę.
Twarz chłopca nie wyrażała nic poza cierpliwą nudą. Widac było, że obchodzi go tylko jedno - chce jak najszybciej zabrać swoją galere i wrócić do domu, zanim rodzice się obudzą.
- Kiedy stąd wyjechaliscie?
- Dzisiejszej nocy. Wszyscy stąd wyjeżdżali i my też. A o galerze zapomnieliśmy.
- Dlaczego wyjechaliscie?

- Była panika. Pan nie wie? Co się tu działo! Mama się przestraszyła, a ojciec powiedział: „Wiedcie co, wynosimy się stąd, wracamy do domu”. Wsiadliśmy w glider i odlecieliśmy... To ja już pojde, dobrze? A może nie wolno?

- Poczekaj chwilę. Dlaczego była ta panika, jak myślisz?

respondent Laboratorium (Akademii Umiejętności) Wielkiej Tagory, magister realizacji abstrakcji Percevala.

Temat: „Wizyta starszej pani”.

Treść: roboczy model progresorskiej działalności Wedrowców wobec ziemskiej ludzkości.

Kammerer,

bardzo proszę, aby nie uważał pan tego urzędowego „pisma przewodniego”, w które zaopatrzyłem swój elaborat, za starczy sarkazm. W ten sposób chciałem po prostu podkreślić, że elaborat, chociaż jest ściśle osobisty, nosi zarazem absolutnie oficjalny charakter. Forme „załącznika” do waszych raportów-meldunków zapamiętałem jeszcze z tych czasów, kiedy rzucał mi je na stół w charakterze argumentów (dosyć żalostnych) nasz nieszczesny Sikorski.

Moja opinia o waszej organizacji nie zmieniła się ani trochę, zresztą nigdy jej nie ukrywałem i niewątpliwie jest ona panu dobrze znana. Jednakże materiały, które był pan uprzejmy mi udostępnić, przestudiowałem z ogromnym zaciekawieniem. Jestem za nie niezmiernie wdzięczny. Chciałbym pana zapewnić, że w tej konkretnej dziedzinie pańskiej pracy ma pan w mojej osobie najgorętszego sojusznika i pomocnika.

Nie wiem, czy to przypadek, ale pański „Zestaw modeli” otrzymałem właśnie w momencie, kiedy sam zamierzałem przystąpić do zreasumowania moich wieloletnich przemyśleń o naturze Wedrowców i o ich nieuniknionym zderzeniu z cywilizacją Ziemi. Zresztą według mojego najgłębszego przekonania, przypadki nie istnieją. Najwidoczniej problem dojrzał.

Nie mam ani czasu, ani ochoty zajmować się drobniagową krytyką waszego dokumentu. Nie mogę jednak nie odnotować, że modele „Osmiornica” i „Konkwistador” wywołały u mnie atak niepowstrzymanego śmiechu z powodu ich anegdotycznego prymitywizmu, a model „Nowe powietrze”, chociaż momentami sprawia wrażenie niezupełnie banalnej konstrukcji, pozbawiony jest jakichkolwiek poważnych argumentów. Osiem modeli? Osiemnastu autorów, wśród których błyszczą takie gwiazdy jak Karibanow, Jasuda, Mikicz! Do diabła, można było się spodziewać czegoś oryginalniejszego! Jak pan tam sobie chce, Kammerer, ale nieodparcie powstaje przypuszczenie, że nie potrafił pan przekonać tych arcyministrów, aby poważnie potraktowali pański „niepokój z powodu naszej wspólnej niewiedzy na temat problemu”. Pańscy respondenci po prostu napisali, co im ślina na język przyniosła.

A teraz ja składam na piedestale pańskiej uwagi krótki w istocie rzeczy przyczynek do mojej przyszłej książki, którą zamierzam nazwać „Monokosm”, szczyt czy może pierwszy krok? Uwagi o ewolucji ewolucji”. I znowu - nie mam ani czasu, ani ochoty na uzasadnianie swoich podstawowych tez szczegółowymi argumentami. Mogę tylko zapewnić pana, że każda z tych hipotez może być już dzisiaj uzasadniona w najbardziej wyrzepujący sposób, więc jeśli będzie pan miał do mnie jakieś pytania, chętnie na nie odpowiem. (Przy okazji - nie mogę się powstrzymać od uwagi, że pańska prośba o moją konsultację była być może pierwszym i jedynym jak na razie społecznie użytecznym aktem działalności pańskiej organizacji od początku jej istnienia).

A więc - MONOKOSM.

Wszelki Rozum, czy to technologiczny, czy rousseauistyczny, czy nawet heroniczny - w procesie ewolucji pierwszej generacji przechodzi drogę od stanu maksymalnego rozproszenia (dzikost, wzajemna agresja, ubóstwo emocji, nieufność) do stanu maksymalnego zjednoczenia przy zachowaniu własnej indywidualności (życzliwość, znaczna kultura współżycia, altruizm, lekceważenie tego, co osiągnięte). Procesem tym kierują prawa biologiczne, biospołeczne i specyficznie społeczne. Sam proces jest już dobrze poznany i jest dla nas interesujący tylko o tyle, o ile stawia nas przed pytaniem - a co dalej? Zostawiając na boku romantyczne trele teorii pionowego postępu, możemy stwierdzić, że dla Rozumu istnieją tylko dwie realne, wykluczające się wzajemnie możliwości. Albo zastopowanie, samouspokojenie, zamknięcie w sobie, utrata zainteresowania światem fizycznym, albo wejście na drogę ewolucji drugiego rzędu, na drogę ewolucji planowanej i kierowanej, na drogę do Monokosmu.

Syntezą Rozumów jest nieunikniona. I ofiarowuje nam nieprzeliczone mnóstwo nowych płaszczyzn percepcji świata, a to doprowadzi do niezmiernego zwiększenia ilości, a co najważniejsze jakości dostępnej i możliwej do przerobienia informacji, co z kolei doprowadza do zmniejszenia ilości cierpienia do minimum i zwiększenia sumy radości do maksimum. Pojęcie „dom” rozszerza się do granic

Wszelshwiata. (Zapewne z tego powodu pojawiło się to nieodpowiedzialne i powierzchowne pojęcie - Wedrowcy). Powstaje nowy metabolizm i jako jego skutek życie i zdrowie praktycznie stają się wieczne. Wiek jednostki staje się porównywalny z wiekiem obiektów kosmicznych - przy pełnym braku akumulacji zmęczenia psychicznego. Jednostka Monokosmu nie potrzebuje już twórców. Sama dla siebie jest tworcą i konsumentem kultury. Z kropli wody zdolna jest nie tylko odtworzyć kształt oceanu, ale i cały świat zamieszkujących go istot, w tym również rozumnych. I potrafi to wszystko, trapiąca nieprzerwanym, nienasyconym sensorycznym głodem.

Każda nowa jednostka rodzi się jako produkt synkretycznej sztuki - tworzą ją i fizjologowie, i genetycy, i inżynierowie, i psychologowie, i estetycy, i pedagodzy, i filozofowie Monokosmu. Proces ten trwa niewątpliwie kilkadziesiąt ziemskich lat i oczywiście jest najbardziej, pasjonującym i najzaszczytniejszym rodzajem pracy Wedrowców. Współczesna ludzkość nie zna analogu do tego gatunku sztuki, jeśli nie liczyć tak rzadkich w historii przypadków Wielkiej Miłości.

STWARZAJ NIE BURZAJ! - oto hasło Monokosmu

Monokosm nie może uważać swojej drogi rozwoju, swęgo *modus vivendi*, za jedynie słuszny. Bo i rozpacz wywołują u niego obrazy rozprzeżenia Rozumów, które nie dojrzały jeszcze do zespolenia z nim. Monokosm musi czekać aż Rozum w ramach ewolucji pierwszego rzędu rozwinie się do stadium ogólnoplanetaryjnego socjum. Ponieważ dopiero wówczas można zaczynać ingerencję w biostrukturę w celu przygotowania nośnika Rozumu do przejścia w monokosmiczny organizm Wedrowców. Gdyż z ingerencji Wedrowców w losy zdeintegrowanych cywilizacji nie może wynikać nic dobrego.

Sytuacja dwuznaczna - Progresorzy Ziemi starają się w ostatecznym rachunku przyspieszyć historyczny proces powstania na zacofanych planetach doskonałszych społecznych struktur. W ten sposób jakby przygotowują nowe rezerwy materiału dla przyszłych prac Monokosmu.

Obecnie znamy trzy zadowolone z istniejącego stanu rzeczy cywilizacje.

Leonidanie. Cywilizacja nadzwyczaj stara (liczy nie mniej niż trzysta tysięcy lat, cokolwiek by mówił nieboszczyk Pak Chini). To przykład „powolnej” cywilizacji, która zastygła w jedności z naturą.

Tagorianie. Cywilizacja nacechowana hipertrofią przezorności. Trzy czwarte wszystkich mocy skierowały na studiowanie szkodliwych skutków, jakie mogą wynikać z danego odkrycia, wynalazku, nowego procesu technologicznego i tak dalej. Ta cywilizacja wydaje się nam dziwna tylko dlatego, że nie jesteśmy w stanie zrozumieć, jak pasjonujące jest zapobieganie szkodliwym skutkom, jakiego ogromu intelektualnej i emocjonalnej satysfakcji to dostarcza. W rezultacie mają wyłącznie publiczny transport, lotnictwo nie istnieje, za to wspaniale rozwinęła się łączność przewodowa.

Trzecia cywilizacja - to nasza cywilizacja i teraz rozumiemy bez trudu, dlaczego Wedrowcy muszą się wmieszać przede wszystkim właśnie w nasze życie. My **JESTEŚMY W RUCHU**. A ponieważ jesteśmy w ruchu, możemy się pomylić w wyborze kierunku.

Teraz już nikt nie pamięta „ciągników”, którzy z fantastycznym entuzjazmem próbowali forsować postęp na Tagorze i Leonidzie. Teraz wszyscy rozumieją, że ciągnięcie w górę tak doskonałych w swoim rodzaju cywilizacji to zajęcie równie bezmyślne i pozbawione jakichkolwiek perspektyw, jak próby przyspieszenia wzrostu drzewa, powiedzmy debu, za pomocą szarpania go za gałęzie. Wedrowcy to nie „ciągniki”, nie stawiają i nie mogą stawiać przed sobą takiego zadania, jak forsowanie postępu. Ich celem jest poszukiwanie, wyselekcjonowanie, przygotowanie do integracji i wreszcie integracja z Monokosmem dojrzałych do tego jednostek. Nie wiem i bardzo tego żałuję, według jakiej zasady Wedrowcy dokonują wyboru, ponieważ, chcemy tego czy nie chcemy, jeżeli mówić wprost, bez owijania w bawełnę, bez pseudonaukowej terminologii, to sprawa ma się jak następuje

Po pierwsze - wejście ludzkości na drogę ewolucji drugiego stopnia praktycznie oznacza przekształcenie *homo sapiens* w Wedrowca.

Po drugie - najprawdopodobniej nie każdy *homo sapiens* nadaje się do takiego przekształcenia.

Reasumując:

- ludzkość zostanie podzielona na dwie nierówne części;
- ludzkość zostanie podzielona na dwie nierówne części według nieznanych nam parametrów;
- ludzkość zostanie podzielona na dwie nierówne części według nieznanych nam parametrów, przy czym mniejsza część forsownie i na zawsze przescignie wiekszą;

MAŁA PESZA. 6 MAJA 99 ROKU. 6 GODZINA RANO.

5 maja około 11 wieczór w letniskowym osiedlu Mała Pesza (trzynastu domków, osiemnastu mieszkańców) powstała panika. Przyczyną paniki było pojawienie się w osiedlu pewnej (nieznanej) liczby quasibiologicznych istot o nadzwyczaj odpychającym, a nawet przerażającym wyglądzie. Istoty te ruszyły na osiedle z willi nr 7 w dziewięciu wyraźnie określonych kierunkach, które można określić na podstawie pomietej trawy, połamanych krzaków, a także plam wyschniętego sluzu na liściach, płytach okładzin, zewnętrznych ścianach domów i na parapetach. Wszystkie dziewięć tras kończy się wewnątrz pomieszczeń mieszkalnych, to znaczy w willach nr 1, 4, 10 (na werandach), 2, 3, 9, 12 (w salonach), 6, 11 i 13 (w sypialniach). Wille nr 4 i 9, jak można przypuszczać, są nie zamieszkałe...

Jeżeli chodzi o willę nr 7, z której zaczęło się najście, to wyraźnie ktoś tam mieszkał i jedno tylko pozostawało do wyjaśnienia - kim był ten człowiek. Głupim zartownisłem czy nieodpowiedzialnym fałtłapą? Czy naumyślnie wypuścił embrioformy, czy nie zauważył, kiedy same wylażyły? Jesli przegapił, to czy przez zbrodnicze niedbalstwo, czy z braku elementarnych kwalifikacji?

Jednak dwie rzeczy jakby tu nie pasowały. Tojwo nie znalazł żadnych śladów po otoczkach embrioform. To po pierwsze. A po drugie początkowo w żaden sposób nie udawało mu się ustalić danych personalnych mieszkańca domku nr 7. Albo mieszkańców.

Na szczęście nasza zamieszkała Ziemia w zasadzie urządzona jest dosyć sprawiedliwie. Na placu nagle rozległy się gromkie głosy i po chwili wyjaśniło się, że poszukiwany mieszkaniec zjawił się w centrum wydarzeń we własnej osobie i na dodatek nie sam, tylko z gościem.

Był to krep, jakby odlany z żelaza mężczyzna w połowym kombinezonie i z brezentowym workiem, z którego dołatywały dziwne szeleszczące i skrzypiące dźwięki. Gość zaś żywo przypominał Tojwo starożytnego, dobrego Duremara świeżo wydobytego ze stawu ciotki Tortilli - wysoki, długowłosy, długonogi, chudy, w nieokreślonej chlamidzie oblepionej wysychającym mulem. Natychmiast okazało się, że żelazny lokator nazywa się Ernst Jurgen, że pracuje jako operator-ortomistrz na Tytanie, na Ziemi jest na urlopie... co roku dwa miesiące urlopu spędza na Ziemi, miesiąc w zimie, miesiąc w lecie, i w lecie zawsze tutaj w Peszy, w tym właśnie domku... Jakże znowu potwory? Kogo pan właściwie ma na myśli, młody człowieku? Jakże potwory mogą być w Małej Peszy, niech się pan zastanowi, nie macie w służbie awaryjnej nic lepszego do roboty, czy co?

Za to Duremar, przeciwnie, okazał się istotą całkowicie ziemską, prawie tuhyłcem. Nazywał się Tołstów Lew Nikolajewicz. Ale co innego było w nim interesujące. Okazało się, że mieszka na stałe i pracuje załadowie czterdziestu kilometrów stąd, w Dolnej Peszy, gdzie, jak się okazuje, już od kilku lat działa filia firmy znanego nam dobrze Fleminga!

Dodatkowo jeszcze się okazało, że Ernst Jurgen i jego dawny przyjaciel Lowa są wybrednymi smakoszami. Corocznie spotykają się tu, w Małej Peszy, ponieważ mniej więcej pięć kilometrów dalej z biegiem rzeki, wpada do Peszy małeńki strumyk, w którym żyją jakieś kraboraki. Właśnie dlatego on, Ernst Jurgen, spędza swój urlop w Małej Peszy, właśnie dlatego razem ze swoim przyjacielem Lową Tołstowem wczoraj wczesnym wieczorem wybrali się łodzią na połow kraboraków i właśnie dlatego Ernst Jurgen razem ze swoim przyjacielem Lową byłoby bardzo wdzięczni służbie awaryjnej, gdyby w obecnej chwili dała im spokój, gdyż kraboraki (Ernst Jurgen potrząsnął ciężkim workiem, z którego dochodziły dziwaczne dźwięki) bywają tylko jednej świeżości, dokładnie mówiąc, wyłącznie pierwszej...

Ten zabawny, hałasliwy mężczyzna w żaden sposób nie mógł wyobrazić sobie, że na Ziemi, nie tam u nich na Tytanie, nie na Pandorze, nie gdzieś tam na Jajle, a na Ziemi! w Małej Peszy! mogło wydarzyć się coś, co wywołało strach i panikę. Bardzo interesujący typ zawodowego zdobywcy kosmosu! Przecież widzi, że osiedle jest puste, widzi przed sobą funkcjonariusza służby awaryjnej, przedstawiciela KOM-KONU-2, widzi, nie neguje ich autorytetu, ale to, co się stało, próbuje wyjaśnić na wszelkie sposoby, byle tylko nie przyznać się, że na jego cieplej, ojczyźnie Ziemi może się okazać coś nie w porządku...

Następnie, kiedy wreszcie udało się go przekonać, że stało się to, co się stało, obraził się - urażony jak dziecko, wyjął wargi i posadził sobie, wlokąc po ziemi worek z drogocennymi kraborakami, usiadł bokiem na swoim ganku, tyłem do wszystkich, nie życząc sobie nikogo widzieć, nie życząc sobie nikogo słyszeć, wzruszając od czasu do czasu ramionami i porykując „Ładnie odpocząłem... Raz do roku człowiek przyjeżdża i prosi... Żeby coś podobnego...!”

- Coś niecoś. Potwory rzeczywiście tu były, ale tak naprawdę nie są niebezpieczne. Mogą bardzo przstraszyć i nic więcej.

- Chce pan powiedzieć, że one były sztuczne?

Na to wygląda

Ale w jakim celu? Kto?

- Bedziemy to wyjaśniać - powiedział Tojwo.

- Wy bedziecie wyjaśniać, a one tymczasem jeszcze kogoś. nastraszą.

Anatolij Siergiejewicz wziął swój płaszcz z balustrady, chwile stał wpatrzony w swoje futrzane buty. Wydawało się, że za moment usiądzie i zacznie je gwałtownie zdzierać z nog. Ale zapewne nawet ich nie widział

- Mówi pan, mogą tylko przstraszyć - wyredził, nie podnosząc oczu. - Gdyby tylko - przstraszyć! Jone, wie pan, mogą złamać człowieka!

Szybko spojrzał na Tojwo, odwrócił oczy i nie odwracając się więcej, zaczął schodzić po stopniach, potem dalej po zmietej trawie, przez zdewastowany żywopłot, na ukos przez plac, przygarbiony, bezcenny w długich futrzanych butach polarnika i wesółkiej jaskrawej koszulce, poszedł wciąż przyspieszając kroku w kierunku żółtego pawilonu klubu, ale w połowie drogi gwałtownie skręcił w lewo, wskoczył w glider, który stał przed sąsiednią willą i świecą wbił się w bładogranatowe niebo

Była godzina szósta rano.

To moje pierwsze doświadczenie rekonstrukcji. Bardzo się starałem. Moja praca komplikował fakt, że nigdy nie byłem w Małej Peszy, jednakże miałem do swojej dyspozycji dostatecznie dużo kasety wideo nagranych przez Tojwo Głumowa, ludzi ze służby awaryjnej i ekipę Fleminga. Tak że w każdym razie za dokładność topografii ręce. Również uważam za możliwe ręczyć za autentyczność dialogów. Poza wszystkim chciałbym również pokazać, jak wyglądało wtedy typowe dochodzenie. Wypadek. Służba awaryjna. Wyjazd inspektora wydziału NW. Pierwsze wrażenia (najczęściej słuszne) - czyjaś nieostrość albo głupi żart. I narastające rozczarowanie, znowu nie to, znowu pudło, najlepiej byłoby machnąć na wszystko ręką, wrócić do domu, wypaść się. Zresztą tego w mojej rekonstrukcji nie ma. Jest gdzieś między wierszami.

Teraz kilka słów o Flemingu.

To nazwisko kilkakrotnie pojawi się w moich pamiętnikach, ale spieszę uprzedzić, że człowiek ten nie miał żadnego związku z Wielką Iluminacją. W tamtych czasach nazwisko Aleksandra Jonatana Fleminga było bardzo dobrze znane w KOMKONIE-2. Był najwybitniejszym specjalistą w dziedzinie konstruowania sztucznych organizmów. W swoim instytucie w Sydney, a także w licznych filiach tego instytutu z nieopisaną pracowitością i zuchwałością wysmażał nieprzebrane mnóstwo najdziwniejszych istot, na których stworzenie MATCE Naturze nie starczyło fantazji i umiejętności. Jego współpracownicy w swoim zapale nieustannie łamali obowiązujące prawa i ograniczenia Rady Światowej w dziedzinie pogranicznych eksperymentów. Przy całym naszym mimowolnym, czysto ludzkim podziwem dla geniuszu Fleminga, jednocześnie nie cierpieliśmy go za jego bezpardonową bezczelność, zupełny brak sumienia i absolutnie nie pasującą do tego przebiegłość. Dzisiaj każdy uczeń wie, co to biokompleksy Flenunga albo, powiedzmy, żywe studnie Fleminga. Ale w tamtych czasach jego popularność miała charakter raczej skandalizujący.

Dla mojego przekazu jest ważne, że jedna z filii instytutu Fleminga znajdowała się właśnie przy ujściu rzeki Peszy, w naukowym osiedlu w Dolnej Peszy, zaledwie czterdzieści kilometrów od Małej Peszy. I kiedy mój Tojwo dowiedział się o tym, o ile go dobrze rozumiałem, nie mógł nie nadstawić uszu i nie powiedzieć sobie w myśli: „Aha, już wiem, czyja to robota!”

I jeszcze jedno. Kraboraki, o którym będzie mowa poniżej, to jeden z najpożyteczniejszych twórców Fleminga, który po raz pierwszy pojawił się na świecie, kiedy Aleksander Jonatan był jeszcze młodym pracownikiem rybnej farmy nad jeziorem Onega. Te kraboraki okazały się stworzeniami niezwyklejmi jeśli chodzi o ich właściwości smakowe, ale na całej Północy nie wiadomo dlaczego zaaklimatyzowały się tylko w małych strumykach, dopływach Peszy.

*

- ludzkość zostanie podzielona na dwie nierówne części według nieznanych nam parametrów, jej mniejsza część forsownie i na zawsze przescignie większą, a dokona tego wola oraz sztuka supercywilizacji zdecydowanie nam obcej.

Drogi Kammerer! Na początek w charakterze socjopsychologicznego ćwiczenia proponuję panu analizie tej nie pozbawionej nowych aspektów sytuacji

Teraz, kiedy zasady progresorskiej działalności Monokosmu stały się dla pana mniej więcej jasne, z całą pewnością lepiej niż ja potrafi pan opracować główne kierunki kontrstrategii i taktyki, pozwalającej ujawnić sposoby działania Wedrowców. Jasne jest, że poszukiwaniom, wyselekcjonowaniu i przygotowaniu do zintegrowania dojrzałych do tego jednostek nie mogą nie towarzyszyć zjawiska i wydarzenia łatwe do uchwycenia przez uważnych obserwatorów. Można na przykład oczekiwać powstawania masowych idiosynkrazji, nowych prądów religijnych - głównie mesjanistycznych, pojawienia się ludzi o niezwyklej zdolnościach, nie wyjaśnionych zniknięć, nagłych, jakby za dotknięciem różdżki czaro-dziejskiej, wybuchów nowych, niezwyklej talentów u niektórych ludzi itd. Jeżeli chodzi o moje rekomendacje, to nalegałbym, aby nie spuszczał pan oka z Tagorian i Głowanów akredytowanych na Ziemi - ich wrażliwość na wszystko co obce i nieznanne jest znacznie wyższa od naszej. (W związku z tym należy także obserwować zachowanie ziemskich zwierząt, szczególnie stadnych, a także posiadających zaczątki intelektu)

Rozumie się, w strefie pńskiej uwagi powinna znaleźć się nie tylko Ziemia, ale i Peryferie, a w pierwszej kolejności najmłodsze Peryferie.

Życzę powodzenia, pński Izaak Bromberg

(koniec Dokumentu 1)

DOKUMENT 2

Do Prezydenta sektora „Ural-Północ”

Data: 13 czerwca 94 roku

Autor: Maksym Kammerer, naczelnik wydziału NW

Temat: 008 „Wizyta starszej pani”

Treść: śmierć Izaaka Bromberga

Prezencie,

Profesor Izaak Bromberg zmarł nagle, w sanatorium „Staroleka” rano 11 czerwca br.

W jego prywatnym archiwum nie znaleziono żadnych notatek na temat modelu „Monokosm” i w ogóle żadnych notatek na temat Wedrowców. Nadal prowadzimy poszukiwania.

Załączam podpisane przez lekarza świadectwo zgonu.

Maksym Kammerer

(koniec Dokumentu 2)

Dokładnie w tej kolejności przeczytał te dokumenty młody stażysta Tojwo Głumow na samym początku 95-ego roku i oczywiście nie mogły nie wywrzeć one na nim określonego wrażenia, nie mogły nie spowodować zupełnie konkretnych skojarzeń, tym bardziej że umacniały jego najgorsze przewidywania. Nasiona padły na żyzną glebę. Tojwo niezwłocznie odszukał świadectwo zgonu i nie znalazłszy w nim dokładnie niczego, co mogłoby potwierdzić jego podejrzenia, jak się wydawało tak oczywiste, zażądał spotkania ze mną.

Dobrze pamiętam ten ranek - szary, śnieżny, z prawdziwą zamiecią za oknami gabinetu. Być może właśnie na skutek kontrastu, dlatego że ciałem byłem tu, na Uralu, w zimie, i moje oczy bezmyślnie śledziły strumyczki topniejącego śniegu spływające po szybach, oczyma zaś duszy widziałem tropikalną noc nad ciepłym oceanem i obnażone martwe ciało, które kołysze się w fosforyzującej pianie, liżącej łagodny, piaszczysty brzeg. Przed chwilą otrzymałem właśnie z Ośrodka informację o trzecim śmiertelnym wypadku na wyspie Matuku.

W tym właśnie momencie stanął przede mną Tojwo Głumow, więc odpedziłem widziadło i poprosiłem chłopca, żeby usiadł i mówił.

Bez żadnego wstępu zapytał mnie, czy śledztwo w sprawie śmierci doktora Bromberga zostało zamknięte.

Z niejakim zdziwieniem odpowiedziałem, że właściwie nie było żadnego śledztwa, podobnie jak nie było żadnych szczególnych okoliczności w fakcie śmierci półtorawiekowego starca.

W jakim razie gdzieśś notatki doktora Bromberga na temat „Monokosmu”?

Wyjaśniłem, że takie notatki najprawdopodobniej w ogóle nigdy nie istniały. List doktora Bromberga, jak można przypuszczać, jest najpewniej improwizacją. Doktor Bromberg był wspaniałym improwizatorem.

Czy wobec tego należy rozumieć, że list doktora Bromberga i świadectwo zgonu, które Maksym Kammerer wysłał do Prezydenta, znalazły się obok siebie czystym przypadkiem?

Patrzyłem na niego, na jego wąskie wargi, bardzo kategorycznie zacisnięte, na jego wypukłe czoło wysunięte do przodu z kosmykiem białych włosów i było dla mnie absolutnie oczywiste, co chciałby ode mnie teraz usłyszeć. „Tak, Tojwo, mój chłopcze - chciał usłyszeć - myślę dokładnie to samo, co ty. Bromberg domyślał się wielu rzeczy, więc Wedrowcy usunęli go z drogi, a bezcenne notatki ukradli”. Ale nie podobnego naturalnie nie myślałem i nie podobnego naturalnie Tojwo nie powiedziałem. Dlaczego dokumenty znalazły się obok siebie, sam nie wiedziałem. Prawdopodobnie rzeczywiście przypadkowo. Tak też mu to wyjaśniłem.

Wtedy zapytał mnie, czy teoria Bromberga została praktycznie opracowana.

Odpowiedziałem, że ten problem jest właśnie dyskutowany. Wszystkie osiem modeli, które zaproponowali eksperci, miało mnóstwo słabych stron. Jeżeli zaś chodzi o hipotezy Bromberga, to okoliczności nie bardzo sprzyjały, aby traktować je poważnie.

Wtedy Tojwo zebrał się na odwagę i zapytał mnie wprost, czy ja, Maksym Kammerer, naczelnik wydziału, zamierzam zająć się opracowaniem hipotez Bromberga. I w tym właśnie momencie miałem wreszcie możliwość usatysfakcjonować Tojwo. Usłyszał ode mnie dokładnie to, co chciał usłyszeć.

Tak, mój chłopcze - powiedziałem mu, - Właśnie po to wzięłem cię do mojego wydziału.

Wyszedł uszczęśliwiony. Ani on, ani ja nie podejrzewaliśmy wówczas, że w tej właśnie chwili zrobił swój pierwszy krok do Wielkiej Iluminacji.

Jestem psychologiem-praktykiem. Kiedy idę do czynienia z jakimkolwiek człowiekiem, bez fałszywej skromności mogę powiedzieć, że w każdym momencie dokładnie orientuję się w stanie jego ducha, widzę kierunek jego myśli i całkiem nieźle mogę przewidzieć jego zachowanie. Jednakże gdyby poproszono mnie, żebym wyjaśnił w jaki sposób to robie, albo co gorsza kazano mi narysować, sformułować słownie, jaki obraz powstaje w mojej świadomości, znalazłbym się w niezmiernie kłopotliwej sytuacji. Jak każdy psycholog-praktyk musiałbym uciec się do analogii z dziedziny sztuki albo literatury. Powołałbym się na bohaterów Szekspira albo Dostojewskiego albo Strugowa, albo Michaiła Anioła, albo Johannaesa Surda.

Tak więc Tojwo Głumow przypominał mi Meksykanina Riviere. Mam na myśli znane opowiadanie Jacka Londona. Dwudziesty wiek. A może nawet dziewiętnasty, nie pamiętam dokładnie.

Z zawodu Tojwo Głumow był Progresorem. Słyszałem od specjalistów, że mogły się śląc Progresorem najwyższej klasy. Progresorem asem. Miał wszelkie dane po temu. Wspaniale panował nad sobą, umiał zachować zimną krew, miał też niezwykle refleks, a był także urodzonym aktorem i mistrzem impersonacji. I przepracował jako Progresor nieco ponad trzy lata, a potem bez jakichkolwiek widocznych przyczyn podał się do dymisji i wrócił na Ziemię. Jak tylko zakończył okres aklimatyzacji, zadał odpowiednie pytania WMI i bez szczególnego wysiłku dowiedział się, że jedyną organizacją na naszej planecie, która może mieć związek z jego nowymi zamierzeniami jest KOMKON-2.

Pojawił się przede mną w grudniu 94-ego roku przepelniony lodowatą gotowością odpowiadania na wciąż od nowa i od nowa zadawane pytania, dlaczego on, Tojwo, tak obiecujący, idealnie zdrowy, wszechstronnie zachęcany, rzuca nagle swoją pracę, swoich nauczycieli, swoich kolegów, dezorganizuje szczegółowo opracowane plany, burzy pokładane w nim nadzieje. O nic podobnego, rzecz jasna, nie zamierzałem go pytać. W ogóle nie interesowało mnie, dlaczego nie ma ochoty nadal być Progresorem. Interesowało mnie, dlaczego zapragnął zostać Kontra-progresorem, jeśli można tak to określić.

Zapamiętałem jego odpowiedź. Że odczuwa niechęć do samej idei Progresorstwa. Jeśli wolno, nie

wo uznał za stosowne dać mu chwilę wytchnienia. Zatrzymał się jakieś pięćdziesiąt kroków od żywopłotu, jakoby po to, żeby raz jeszcze rozejrzeć się po okolicy i zaczął zadawać pytania. A czy był ktoś w tym domku po prawej? Ach, tam było ciemno? A po lewej? Kobieta... Tak, tak, pamiętam, już pan mówił. Tylko jedna kobieta i nikt więcej? A czy nie było tu w pobliżu glidera?

Tojwo zadawał pytania, Anatolij Siergiejewicz odpowiadał, a Tojwo kiwał głową z bardzo poważną miną, z całej siły starając się pokazać, jak istotne dla dochodzenia jest to wszystko, co właśnie słyszy. I stopniowo Anatolij Siergiejewicz zebrał się w sobie, rozluźnił wewnętrznie, tak że na werandę weszli prawie jak koleżdy.

Na werandzie panował nieporządek. Stoł stał ukosem, jedno krzesło było przewrócone, cukiernica potoczyła się w kąt, znacząc swoją drogę pasmem cukru. Tojwo dotknął czajniczka na herbatę - był jeszcze gorący. Kąłem oka spojrział na Anatolija Siergiejewicza, który znowu pobił i zacisnął szczękę. Patrzył na parę sandałów, sieroco przytulonych do siebie pod daleko stojącym krzesłem. Widocznie były to jego sandały. Były zapięte i wydawało się niepojęte, jak udało się wyrwać z nich stopy. Zresztą żadnych zacieków ani na nich, ani pod nimi, ani w ogóle gdziekolwiek obok, Tojwo nie zauważył.

- Zdaje się, że tu nikt nie uznaje domowych cyberów - powiedział Tojwo rzeczowym tonem, żeby sprowadzić Anatolija Siergiejewicza ze świata przeżytego koszmaru w świat codziennego bytu.

- Tak... - wymamrotał Anatolij Siergiejewicz. - To znaczy... Zresztą kto ich dzisiaj uznaje?... Widzi pan - moje sandały...

- Widzę - powiedział Tojwo obojętnie - Czy wszystkie okienne ramy były podniesione tak jak teraz?

- Nie pamiętam. Ta była podniesiona, tedy wyskoczyłem.

- Rozumiem - powiedział Tojwo i spojrział na ogródek.

Tak, tu były ślady. Śladów było dużo - zgniecione i połamane krzaki, zdewastowany klomb, trawa pod balustradą werandy wyglądała tak, jakby się po niej tarzało stado koni. Jeżeli były tu jakieś zwierzęta, to zwierzęta wyjątkowo niezgrabne, zwaliste, nie skradały się do domu, tylko sunęły jak czołgi. Z placu, przez krzaki, po przekątnej i przez otwarte okno prosto do pokoiów...

Tojwo wszedł na werandę i pchnął drzwi do domu. Tam żadnego nieporządku nie było. A mówiąc ściślej, żadnego takiego nieporządku, który mogłyby zrobić ciężkie, niezgrabne cielska.

Kanapa. Trzy fotele. Nie widac stolika. Należy przypuszczać, że jest tu tylko jeden wbudowany pulpit, w poręczach foteli pana domu. Serwis - systemu „polikryształ” - w pozostałych fotelach i w kanapie. Na przeciwległej ścianie pejzaz Lewitana, starsowiecka chromofotograficzna kopia ze wzruszającym troj kątem w lewym dolnym rogu, żeby nie daj Boże, jakiś znawca nie pomyślał, że to oryginał. A na ścianie po lewej stronie - rysunek piórkiem w drewnianej, ręcznie robionej ramie, gniewna kobieca twarz. Bardzo piękna zresztą...

Przy dokładniejszych oględzinach Tojwo zauważył na podłodze ślady zelówek - widocznie ktoś ze służby awaryjnej. Przeszedł ostrożnie przez salon do sypialni. Ślady prowadziły tylko w jednym kierunku, tamten człowiek wyszedł oknem sypialni. No i podłogę w salonie pokrywała cieniutka warstwa brązowego pyłu. I nie tylko podłogę. Siedzenia foteli. Parapety. A na ścianach tego pyłu nie było.

Tojwo wrócił na werandę. Anatolij Siergiejewicz siedział na słopniach ganku. Polarną doche zrzucił, a o futrzanych butach najwidoczniej zapomniał i dlatego wyglądał dosyć idiotycznie. Do swoich sandałów nawet się nie dotknął, nadal stały pod krzesłem. Żadnych zacieków w ich pobliżu nie było, ale i same sandały, i podłoga obok - wszystko było przypudrowane tym samym brązowym pyłem.

- No i co słychać? - zapytał Tojwo jeszcze od progu.

Anatolij Siergiejewicz pomimo to wzdrygnął się i gwałtownie odwrócił.

- Nic... powoli przychodzi do siebie...

- I bardzo dobrze. Niech pan bierze swój płaszcz i może pan wracać do domu. Czy może woli pan zaczekać na Jaryginów?

- Właściwie nie wiem - powiedział niezdecydowanie Anatolij Siergiejewicz.

- Jak pan sobie życzy - powiedział Tojwo. - W każdym razie żadnego niebezpieczeństwa tu nie ma i nie będzie.

- Coś pan z tego rozumiał? - zapytał Anatolij Siergiejewicz wstając.



YANS,
TY PRZEWI-
DZIAŁES,
ŻE ON...

TAK, NIE ZACISNAŁEM
WIEŻA... NIE MOŻNA
NIKOMU UPAC... NIKOMU...
CAŁY ŚWIAT JEST GOTOWY
KLAMAC, DONOSIC
I SPRZEDAWAC...



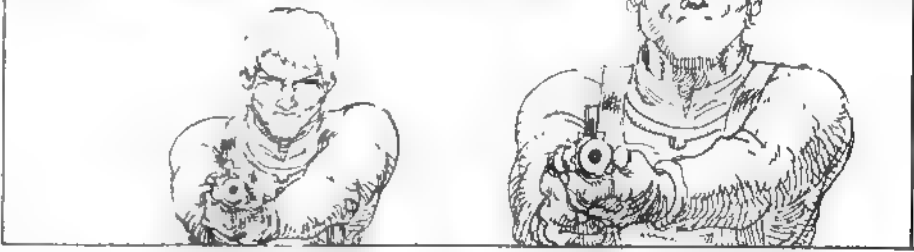
BYĆ MOŻE
ZGINIEMY,
NAJDRÓŻSZY...
ALE RAZEM.

TAK,
RAZEM! TY I JA...
I NIKT NAM NIE PRZE-
SZKODZI WYBRAC
NASZĄ ŚMIERĆ!



TYLKO W KTÓRA
STRONĘ PÓDZIEMY?
NIEBEZPIECZEŃSTWO
WOKÓŁ, A MY NIE
ZNAMY TYCH
BAGIEN...

PRZED SIEBIE.

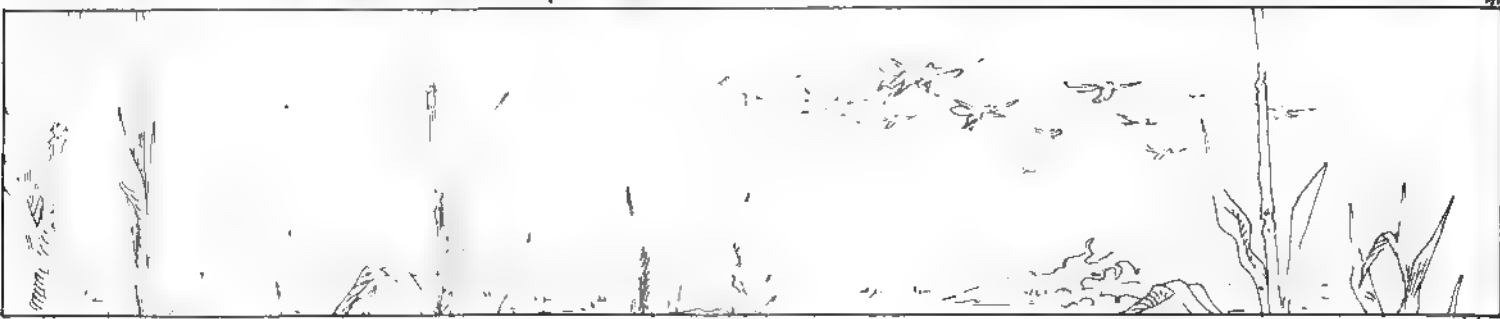
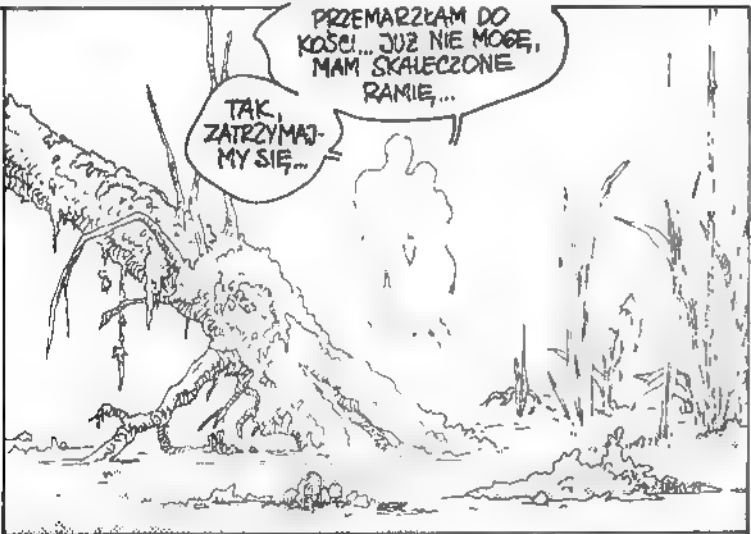
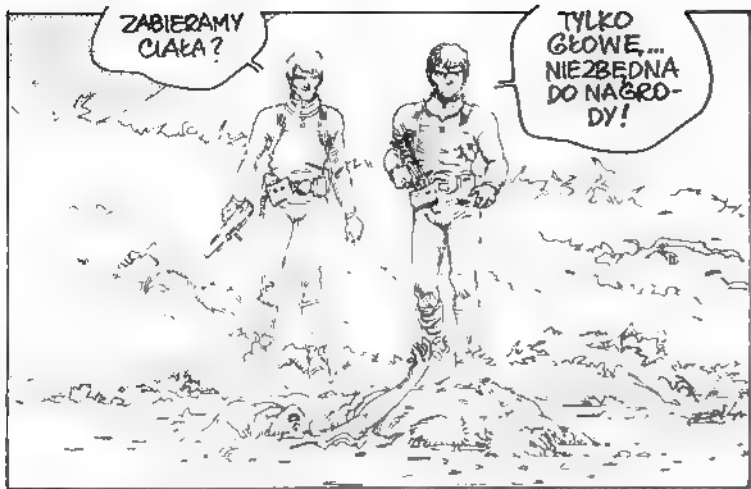


ONI NAS...

WOLE,
TAK...
PRZYTUŁ
MNIĘ.



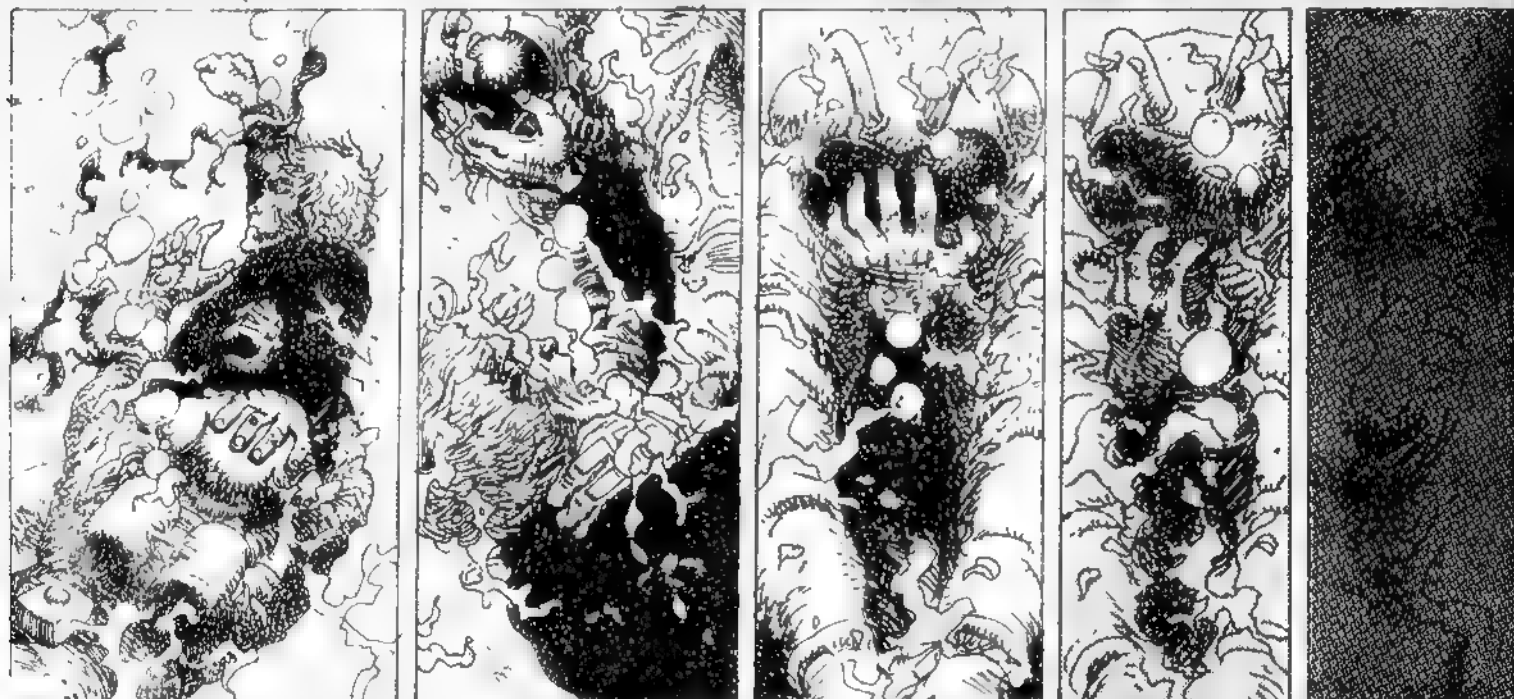
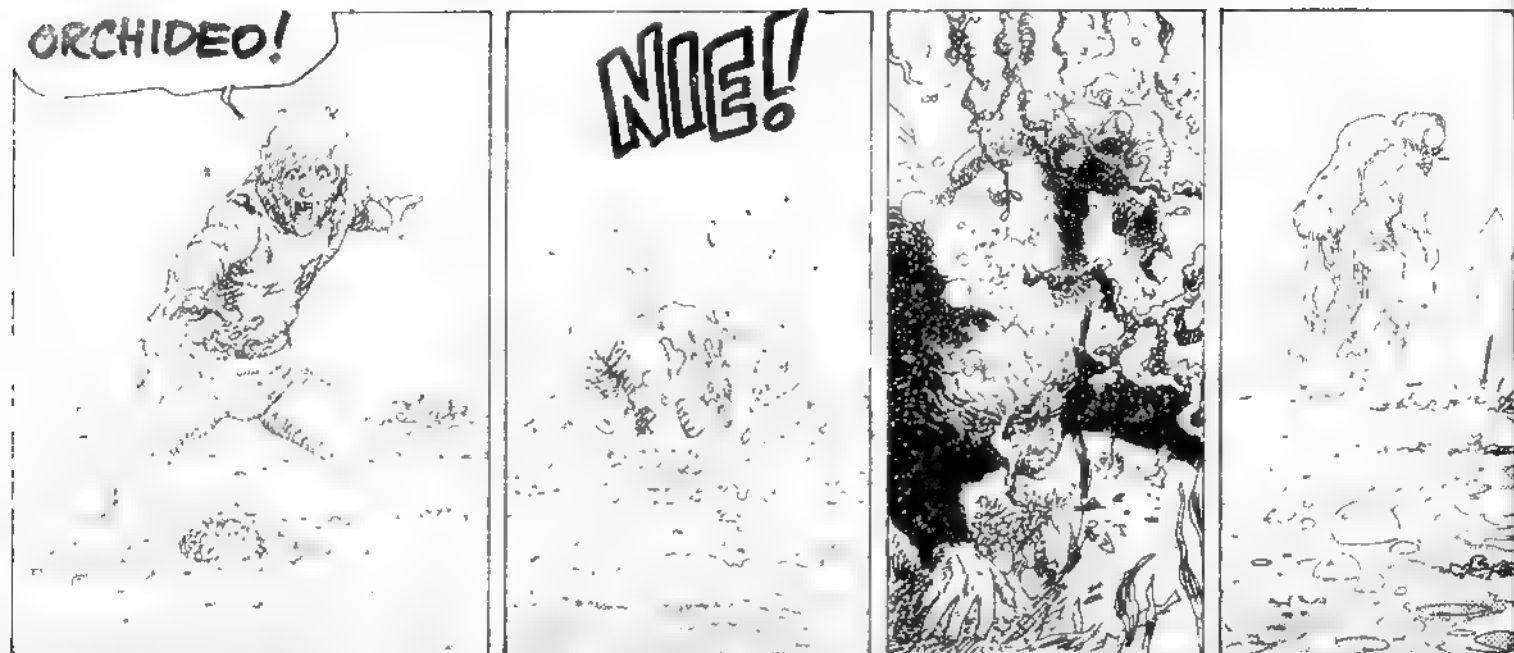
YANS – WIĘZIEN WIECZNOŚCI





ORCHIDEO!

NIE!



chwile niezbędnego wytchnienia i powolutku wraca do siebie. I kiedy już wrócił, przede wszystkim, jak tego należało oczekiwać, ogarnia go pałacy wstyd. Dociera do niego, że w panice uciekł jak ostatni chorzy o takich chorzach do tej chwili najwyżej zdarzało mu się czytać w historycznych powieściach. Przypomina sobie, że opuścił Eli i co najmniej jeszcze jedną kobietę, którą zauważył w sąsiedniej willi. Przypomina sobie dziecięce głosy nad rzeką i rozumie teraz, że te dzieci również opuścił. Ogarnia go rozpaczliwa potrzeba działania, ale – charakterystyczne – potrzeba ta rodzi się bynajmniej nie od razu, a po drugie, kiedy już się zrodziła, dosyć długo współistnieje z nie dającym się opanować przerażeniem na samą tylko myśl o tym, że trzeba wrócić tam, na werandę, znaleźć się w polu widzenia tych koszmarnych, ciekających oczu, w pobliżu obrzydliwych, galaretowatych ciałek...

Grupa hałaśliwych glaciologów, która z trzaskającego mrozu wpadła do klubu, zastała Anatolija Siergiejewicza na żalostnym załamywaniu rąk – wciąż jeszcze nie mógł się na nie zdecydować. Glaciologowie wysłuchali jego opowieści ze szczerym współczuciem i natychmiast postanowili wrócić razem z nim na straszną werandę. Jednakże wtedy okazało się, że Anatolij Siergiejewicz nie tylko nie zna zero-indeksu osiedla, ale na dodatek zapomniał, jak się samo osiedle nazywa. Mogł tylko powiedzieć, że to gdzieś niedaleko od Morza Barentsa, na brzegu niewielkiej rzeki w strefie polarnej kosowół. Wtedy glaciologowie spiesźnie przyodziali Anatolija Siergiejewicza odpowiednio do miejscowego klimatu i przez wyjąca zamiec powlekli go do sztabu osiedla na przelaj, przez potworne zaspy, w towarzystwie gigantycznych psów, przypominających dzięki zwierzęta... I oto w sztabie przed pulpitem WMI kłosem z polarników przyszła do głowy bardzo rozsądna myśl, że to nie żadne zarty. Te potwory niewątpliwie albo uciekły z jakiegoś zwierzęca, albo – aż strach pomyśleć – z jakiegoś laboratorium, zajmującego się konstruowaniem biomechanizmów. W każdym wypadku, chłopcy, nie ma co się tu zajmować improwizacją, trzeba zawiadomić służbę awaryjną.

I zawiadomili Centralną Awaryjną. W Centralnej Awaryjnej podziękowali i powiedzieli, że przyjmują do wiadomości. Po pół godzinie dyżurny Awaryjnej sam zadzwonił do sztabu, powiedział, że informacja została potwierdzona i poprosił Anatolija Siergiejewicza. Anatolij Siergiejewicz w najbardziej ogólnych zarysach opisał, co się z nim działo i jak doszło do tego, że znalazł się na wybrzeżu Antarktydy. Dyżurny uspokoił go również w tym sensie, że nikt nie ucierpiał, mąż i żona Jaryginowie są cali i zdrowi, i że rano prawdopodobnie do Małej Peszy można będzie wrócić, a teraz on, Anatolij Siergiejewicz, powinien wziąć coś na uspokojenie i położyć się, żeby odpocząć.

I Anatolij Siergiejewicz wziął coś na uspokojenie, i na miejscu, w sztabie, położył się na kanapie, ale nie spał nawet godziny, kiedy znowu zobaczył ciekające oczy nad balustradą werandy, usłyszał historyczny śmiech Eli i obudził się od nieznosnego wstydu.

– Nie – powiedział Anatolij Siergiejewicz – oni mnie nie zatrzymywali. Widocznie rozumieli mój stan... Nigdy nie przypuszczałem, że może mi się wydarzyć coś podobnego. Oczywiście nie jestem Zwiadowcą ani Progresorem... ale i mnie zdarzały się w życiu trudne sytuacje, i zawsze zachowywałem się zupełnie przyzwoicie... Nie rozumiem, co się ze mną stało. Próbuje to wyjaśnić sam ze sobą i nic tego nie wychodzi... Jakby coś na mnie naszło... – nagle zaczęły mu latać oczy. – Teraz też rozmawiam z wami, a w środku jestem niby złodowaciły... Może myśmisi czy czymś zatruli?

– Czy zdaniem pana nie mogła to być halucynacja? – zapytał Tojwo.
Anatolij Siergiejewicz skulił się jakby z zimna i spojrzał w kierunku domku Jaryginów.
– N-nie wiem... – powiedział. – Nie, nie mam zdania na ten temat.
– Dobrze, chodźmy zobaczyć – zaproponował Tojwo.
– Mam iść z wami? – zapytał Basile.
– Niekoniecznie – powiedział Tojwo. – Ja jeszcze długo będę tu laził tam i z powrotem. A ty trzymaj twierdzą.
– A jeńców bracie? – zapytał rzeczowo Basile.
– Koniecznie – powiedział Tojwo. – Jeńcy są mi potrzebni. Wszyscy, którzy cokolwiek widzieli na własne oczy.

I Tojwo z Anatolijem Siergiejewiczem poszli przez plac. Anatolij Siergiejewicz wyglądał zdecydowanie i poważnie, ale im bardziej zbliżali się do domu, tym większe napięcie malowało się na jego twarzy, wyraźniej zaciskały się szczęki, a dolną wargę przygryził tak, jakby starał się opanować silny ból. I Toj-

bedzie zagłębiać się w szczegóły. Po prostu on, Progresor, ma negatywny stosunek do Progresorstwa. I tam (pokazał kciukiem za siebie) przyszła mu do głowy bardzo banalna myśl. W czasie kiedy on, polrząsając pantalonami i wymachując szpadą, szlifuje bruki placów w Arkanarze, tu (idźnał wskazującym palcem sobie pod nogi) jakiś spryciarz w modnym płaszczku koloru tęczy i z melawizorem przez ramię przechadza się po ulicach Swierdłowska. O ile on, Tojwo Głumow, się orientuje, ta prosta myśl niewielu ludziom przychodzi do głowy, a jeżeli nawet przychodzi, to w kretynsko humorystycznej lub romantycznej formie. Zaznamu, Tojwo, myśl ta nie daje spokoju – zadnym bogom nie wolno zerwać na wtrącanie się w nasze sprawy, bogowie nie mają czego szukać na Ziemi, ponieważ „jaski bogów – to wiatr, który napętnia nasze zagle, lecz może także zrobić nawalnicę”. (Później z wielkim trudem odnalazłem ten cytat – to z Verblibena)

Było widac gołym okiem, że mam przed sobą katolika, znacznie bardziej katolickiego niż papież, to znaczy niż ja. I bez dalszych rozmów wzięłem go do siebie i od razu posadziłem nad tematem. Wziewa starsze, pani

Okazał się znakomitym pracownikiem. Był energiczny, pełen inicjatywy, nie wiedział co to zmęczenie. I a to bardzo rzadkie w jego wieku – nie załamywał go niepowodzenia. Nie istniały dla niego negatywne rezultaty. Więcej – negatywne rezultaty badań cieszyły go w równym stopniu, co i bardzo rzadkie pozytywne. Jakby z góry nastawiał się na to, że za jego życia nie uda się wykryć nic określonego i umiał czerpać zadowolenie z samej (czestokroć dosyć nudnej) procedury analizowania minimalnie podejrzanych NW. Ciekawe, że moi starzy pracownicy – Grisza Serosowin, Sandro Mibewari, Andrusza Kikin i inni – jakby podciągnęli się przy Tojwo, przestali się obijać, stali się mniej ironiczni i znacznie bardziej rzeczowi. Nie dlatego, by brali z niego przykład, o tym nie mogło być mowy, był dla nich zbyt młody, zbyt zielony, ale jakby zaszli ich swoją powagą, umiejętnością koncentracji, najbardziej zaś, jak przypuszczam, zdumiewała ich ta ciężka nienawiść do przedmiotu badania, nienawiść, której można się było domysleć w nim i której oni sami byli dokładnie pozbawieni. Kiedyś przypadkowo wspomniałem, przy Griszce Serosowinie o Meksykaninie Rivierre i dość szybko wykryłem, że wszyscy oni odszukanii i przeczytali owo opowiadanie Jacka Londona.

Jak i Riviera, Tojwo nie miał przyjaciół. Otaczali go wierni i niezawodni koledzy, on sam był wiernym i niezawodnym partnerem w dowolnym przedsięwzięciu, ale przyjaciół jakos nie zdobył do końca. Jak sądzę dlatego, że zbyt trudno było być jego przyjacielem – nigdy nie był z siebie zadowolony i dlatego nigdy i w niczym nie pobił swemu ołoczeniu. Była w nim bezlitosna koncentracja na jednej sprawie, jaką widywałem tylko u wybitnych uczonych i twórców. O jakiej przyjaźni można tu mówić...

Ale jednego przyjaciela jednak miał. Mam na myśli jego żonę, Asię Stasową, czyli Anastazję Piotrownę. Kiedy poznałem ją, była to uroczą, malenka kobietka, cała jak żywe srebro, cięta jak osa i w najwyższym stopniu skłonna do wypowiedzania pochopnych opinii i nieopatrznych sądów. Dlatego atmosfera w ich domu była zawsze podobna do atmosfery pola bitwy i było bardzo przyjemnie obserwować (z boku) ich wybuchające co chwila słowne batalie.

Było to tym bardziej zdumiewające widowisko, że normalnie, to znaczy w miejscu pracy, Tojwo sprawiał wrażenie człowieka raczej flegmatycznego i mało mownego. Jakby go coś hamowało, jakby nieustannie obmyślał coś niezwykle ważnego. Ale nie przy Asi. Tylko nie przy Asi. Przy niej był Demostenesem, Cyceonem, apostołem Pawłem, prorokował, układał aforyzmy, i niech mnie diabli wezmą, nawet ironizował! Trudno sobie nawet wyobrazić, do jakiego stopnia ci dwaj ludzie byli różni – milczący i powolny Tojwo-Głumow-Przy-Pracy i ożywiony, gadatliwy, filozofujący, nieustannie błądzący i żarliwie walczący w obronie swoich błędów Tojwo-Głumow-W-Domu. W domu nawet jadł ze smakiem. Nawet kaprysił z powodu jedzenia. Asia była degustatorką-gastronomem i zawsze gotowała sama. Tak było przyjęte w domu jej matki, tak było przyjęte w domu jej babki. Ta tradycja, która zachwycała Tojwo Głumowa w domu Stasowych, sięgała korzeniami niepamiętnych czasów, kiedy nie istniała jeszcze molekularna gastronomia i zwyczajny kotlet trzeba było przygotowywać za pomocą skomplikowanych i nie bardzo apetycznych procesów...

A poza tym Tojwo miał jeszcze mame. Codziennie, czy był, czy nie był zajęty, gdziekolwiek przebywał, zawsze znajdował chwilę, żeby się z nią połączyć przez wideokanal i zamienić chociażby kilka słów. Nazywali to „kontrolnym dzwonkiem”. Wiele lat temu poznałem Maję Głumową, ale okoliczności

towarzyszące temu były tak smutne, że już nie spotkaliśmy się nigdy później. Nie z mojej winy. Mówiąc krótko, miała o mnie jak najgorsze zdanie i Tojwo o tym wiedział. Nigdy ze mną o matce nie rozmawiał. Ale o mnie rozmawiał z nią niejednokrotnie – dowiedziałem się o tym znacznie później...

To rozdwojenie niewątpliwie musiało mu ciążyć. Nie sądzę, żeby Maja Głumowa mówiła mu o mnie źle. I już jest zupełnie nieprawdopodobne, żeby opowiedziała synowi straszną historię śmierci Lwa Abalkina. Najpewniej, kiedy Tojwo zaczynał opowiadać o swoim bezpośrednim przełożonym, Maja po prostu uchylała się od podjęcia tematu. Ale tego wystarczyło aż za dużo.

Przecież dla Tojwo nie byłem zwyczajnym zwierzchnikiem. Przecież w istocie rzeczy byłem jego jedynym zwolennikiem, jedynym człowiekiem w całym bezkresnym KOMKONIE-2, który absolutnie poważnie, bez żadnej taryfy ulgowej traktował problem, którym Tojwo był opanowany bez reszty. Oprócz tego Tojwo odnosił się do mnie z niezwykłym pietizmem. Jego szefem był legendarny Mak Sym. Tojwo jeszcze nie było na świecie, kiedy Mak Sym wysadzał w powietrze wieże radiacyjne na planecie Saraksz, walczył z faszystami... Nieprzescigniony Biały Hetman! Organizator akcji „Wirus”, po której zakończeniu sam Superprezydent nadał mu przez przywilej Big Bug. To wo jeszcze chodził do szkoły, kiedy Big Bug przeniknął do Wyspiarskiego Imperium, do samej Stolicy... pierwszy z Ziemi i nawiasem mówiąc ostatni... Oczywiście wszystko to były wyczyny Progresora, ale przecież powiedziane jest. Progresora może pokonać jedynie Progresor! A Tojwo był gorącym wyznawcą tej własnie prostej idei.

I jeszcze jedno. Tojwo nie miał pojęcia, w jaki sposób będzie działać, kiedy wreszcie ingerencja Wedrowców w nasze ziemskie sprawy zostanie wykryta i udowodniona ponad wszelką wątpliwość. Żadne analogie historyczne dotyczące wielowiekowej działalności ziemskich Progresorów nie mogły być tu przydatne. Dla irukaskiego herцога zdemaskowany Progresor-Ziemianin był demonem lub praktykującym czarownikiem. Dla kontrwywiadowcy Imperium Wyspiarskiego tenże Progresor był zreczynym szpiegiem z Kontynentu. A czym jest zdemaskowany Progresor-Wedrowiec z punktu widzenia pracownika KOMKONU-2?

Zdemaskowanego czarownika należało spalić; nieźle byłoby również umieścić go w kamiennym lochu i zmusić do robienia ziela z własnego gówna. Sprytnego szpiega z Kontynentu należało zwerbować, albo zlikwidować. A jak należało postąpić ze zdemaskowanym Wedrowcem?

Tojwo nie znalazł odpowiedzi na te i podobne im pytania. I nikt z jego znajomych nie zniósł na nie odpowiedzi. Większość z nich same pytania uznawała za nietaktowne. „Co robisz, jeśli w srubę twojej motorówki wpadła się broda wodnika? Rozplatywać? Odcinać bez najmniejszej litości? Łapać wodnika za kark?” Ze mną Tojwo na te tematy nigdy nie rozmawiał. A nie rozmawiał dlatego, że – jak mi się wydaje – na początek przekonał sam siebie, że Big Bug, legendarny Biały Hetman, chytry Mak Sym dawno już wszystko przemyślał, przeanalizował wszystkie możliwe warianty, sporządził szczegółowe opracowanie i zatwierdził je na samej górze.

Nie rozczarowywałem go. Oczywiście do czasu.

Muszę powiedzieć, że Tojwo Głumow w ogóle był człowiekiem skłonny do apriorycznych sądów. (Zresztą jak mogło być inaczej przy jego fanatyzmie). Na przykład w żaden sposób nie chciał uznać związku swojej „Wizyty starszej pani” z od dawna rozpracowywanym u nas tematem „Rip Van Winkle”. Przypadki nagłych i absolutnie nie wyjaśnionych zaginionych ludzi w siedemdziesiątych – osiemdziesiątych latach i równie nagłych i nie wyjaśnionych ich powrotów były jedynym punktem „Memorandum Bromberga”, który Tojwo kategorycznie odrzucał i w ogóle odmawiał wzięcia pod uwagę. „To jakaś pomyłka – twierdził. – Albo zrozumieliśmy go opacznie. Po co to potrzebne Wedrowcom, żeby ludzie nagle gdzieś znikali?” I to w sytuacji, kiedy „Memorandum Bromberga” stało się jego katechizmem, programem jego pracy, pracy na całe życie... Najwidoczniej nie mógł i nie chciał przyznać, że Wedrowcy posiadają moc niemal nadnaturalną. Przyznanie czegoś takiego uczyniłoby jego pracę bezwartościową. No bo rzeczywiście, jaki może mieć sens śledzenie, poszukiwanie i łowienie istoty, która w każdej chwili zdolna jest rozsypać się w powietrzu i następnie zmontować w innym punkcie?

Albo przy całej swojej skłonności do apriorycznych sądów, nigdy nie próbował walczyć ze stwierdzeniem faktami. Pamiętam jak Tojwo, jeszcze całkiem zielony neofita, przekonał mnie, abysmy się włączyli w dochodzenie w sprawie tragedii na wyspie Matuku.

Zajmował się tym rzecz jasna sektor „Oceania”, w którym o żadnych Wedrowcach nikt nawet nie

– Stop, stop – dobrodusznie przerwał mu Basile i ruszył przed siebie, wystawiając dlonie. – Przepraszam, ale nie wolno tu wchodzić. Służba awaryjna.

Niemniej jednak nieznanomy przekroczył próg i natychmiast przystanął.

– Właściwie ja na nic nie pretenduję – powiedział i odkasznął. – Ale okoliczności... Proszę mi powiedzieć, czy Grigorij i Ela już wrócili?

Wyglądał dosyć niezwykle. Miał na sobie futrzaną doche, której połę rozchyłały się tak, że można było zobaczyć bogato wyszywane futrzane buty, jak również jaskrawą letnią siatkową koszulkę, jaką najchętniej nosili wtedy mieszkańcy ziem stepowych. Tak na oko mógł mieć 40-50 lat, twarz prostodusza i sympatyczna, tylko jakby zbyt blada – może ze strachu, może z zazenowania.

– Nie, nie – odpowiedział Basile, nacierając na niego z bliska – Nikt nie wrócił, trwa dochodzenie nikogo nie wpuszczamy...

– Poczekaj, Basile – powiedział Tojwo. – Kim są Grigorij i Ela? – zapytał nieznanomego.

– Zdaje się, że znowu trafiłem nie tam, gdzie chciałem... – odezwał się z jakąś powściągliwością nawet rozpaczą i spojrzał przez ramie, tam, gdzie w głębi pawilonu połyskiwały polerowane powierzchnie kabiny zero-T. – Przepraszam, to jest... m-m-m... O Boże, znowu zapomniałem... Mała Pesza? Czy tam nie?

– To jest Mała Pesza – powiedział Tojwo.

– No to w takim razie musi pan go znać... Grigorij Jarygin... Jeśli dobrze zrozumiałem, spędza tu każdą chwilę... – i nagle zawołał z radością pokazując palcem. – O, w tamtej willi! Tam na werandzie wisi mój płaszcz!

Wszystko z miejsca się wyjaśniło. Nieznajomy okazał się świadkiem. Nazywał się Anatolij Siergiejewicz Krylenko, był zootechnikiem i rzeczywiście pracował w stepach – w agrolskim kombinacie rolnym Wczoraj, na corocznej wystawie nowości w Archangielsku, najzupełniej przypadkowo wpadł na swego szkolnego przyjaciela Grigorija Jarygina, którego nie widział prawie od dziesięciu lat. Oczywiście Jarygin zaciągnął go do siebie, to znaczy tutaj, do tej... o, do diabła, znowu wyleciało... no, do tej Małej Peszy. Spędzili wspaniały wieczór we trojkę – on, Jarygin i żona Jarygina, Ela, pływali łożdżką, spacerowali po lesie, mniej więcej około dziesiątej wrócili do domu, do tej tam willi, zjedli kolację i usiedli na werandzie, żeby wypić herbatę. Było zupełnie jasno, że rzeczki dobiegały dziecięce głosy, było ciepło i zdumiewająco pachniały polarne truskawki. A potem Anatolij Siergiejewicz Krylenko nagle zobaczył oczy.

W tej najważniejszej części swojej opowieści Anatolij Siergiejewicz stał się, mówiąc łagodnie, dosyć niewyraźny. Tak jakby nadaremnie próbował opowiedzieć jakiś koszmarny, poplątany sen.

Oczy patrzyły z ogródka... zbliżały się, ale cały czas nie ruszały się z ogródka... Dwoje ogromnych oczu, powodujących mdłości... Bez przerwy coś po nich spływało... A z boku po lewej stronie było jeszcze trzecie... a może trzy? I coś zwał się, zwał się, zwał się przez balustradę werandy, podpływało już pod nogi... I do tego absolutnie nie można było się ruszyć. Grigorij gdzieś przepadł, nie widac nigdzie Grigorija. Ela jest gdzieś blisko, ale też jej nie widac, tylko słyszeć, jak histerycznie krzyczy... a może się śmieje... W tym momencie gwałtownie otwarły się drzwi do pokoju. Pokój po pas wypełniały galarety i wleki, drzające cielska, a oczy tych cielsk były tam, na zewnątrz, w ogródku.

Anatolij Siergiejewicz rozumiał, że zaczyna się to, co najstraszniejsze. Wyszarpnął nogi z przyklejonych do podłogi sandałów, przeskoczył przez stół, wypadł do lasu i kiedy obiegł dom dookoła... Nie, nie, nie obiegł domu, wybiegł do lasu, ale nie wiadomo dlaczego znalazł się na placu. Biegł, gdzie oczy poniosą nagle zauważył pawilon klubu i w otwartych drzwiach błysnęła lilowa iskra zero-T, rozumiał, że jest uratowany. Jak bomba wpadł do kabiny, na chybił trafił zaczął naciskać klawisze, aż wreszcie automat się włączył...

W tym momencie tragedia się skończyła, a rozpoczęła komedia. Zero-T wyrzucił Anatolija Siergiejewicza w osiedlu Roosevelt na wyspie Piotra Pierwszego. Ta wyspa leży na Morzu Bellinghausena, ten metr wskazuje czterdzieści dziewięć stopni poniżej zera, szybkość wiatru 18 metrów na sekundę osiedle z powodu panującej tam własnie zimy jest prawie puste.

Zresztą w klubie polarników automatyka była sprawna, ciepło, przytulnie, a w barze, jak wspaniale, świecą naczynia z płynami do rozjasniania ciemności polarnych nocy. Anatolij Siergiejewicz w swojej siatkowej koszulce i w szortach, jeszcze mokry od herbaty i straszliwych przeżyć, otrzymał,

Jasne - powiedział Basile i obejrzał się na pawilon. Tak właśnie myślałem. Rozumiesz, oni w panice prawie rozwalili swoją zero-kabinę.

To znaczy, że nikt z nich do tej pory nie wrócił?

Nikt.

- I nic więcej się nie działo?

Nic. Nasi zakonczyli oględziny półtorej godziny temu, nie znaleźli nic istotnego i wrócili przeprowadzać analizy. Mnie zostawili, żeby nie wpuszczał i przez ten cały czas reperowałem zero-kabinę.

Zreperowałeś?

Raczej tak.

Domki w Małej Peszy były stare, zbudowane w ubiegłym stuleciu, utylitarna architektura, naturyzowana organika, jadowicie odbłaskowe kołory - skutek starości. Wokół każdego domku - gęste zarosła czarnej porzeczki, bzu, polarnych truskawek, a od razu za półkołem domów las, żółte pnie gigantycznych sosen, szarozielone we mgle iglaste korony, a nad nim już dosyć wysoko - szkarłatny dysk słońca na północnym wschodzie...

Jakie analizy? - zapytał Tojwo.

No, znaleźliśmy tu sporo śladów... To paskudztwo wylazło najwidoczniej z tej tam willi i rozpełzło się na wszystkie strony. Basile zaczął pokazywać rekami. - Na krzakach, na trawie, gdzieś tam na werandach został wyschnięty śluz, jakieś łuski, grudki czegoś takiego...

A co widziałeś na własne oczy?

- Nic. Kiedy przylecieliśmy, wszystko wyglądało dokładnie jak teraz, tylko mgła jeszcze wisiała nad rzeką.

- To znaczy, że świadków nie ma?

- Najpierw myśleliśmy, że uciekli wszyscy co do jednego. Ale później okazało się, że nie. O, w tamtym domku, ostatnim, na samym brzegu, świetnie sobie żyje dosyć sędziwa osoba, która nie miała najmniejszego zamiaru uciekać...

- Dlaczego? - zapytał Tojwo.

- Nie mam pojęcia! - odpowiedział Basile, unosząc brwi i rozkładając ręce. - Wyobrażasz sobie? Dookoła panika, wszyscy latają jak opętani, drzwi zero-kabiny wyrwali z korzeniami, a ta jak gdyby nigdy nic... Potem my przyłatujemy, rozwijamy szyki bojowe, szable do boju, bagnety na bron i wtedy ona wychodzi na ganek i surowym głosem prosi nas o zachowanie ciszy, ponieważ swoimi wrzaskami przeszkadzamy jej spać!

- A czy rzeczywiście była panika? - zapytał Tojwo.

- I to jeszcze jaka - powiedział Basile, ostrzegawczo unosząc dłoń. - Było tu osiemnastu osób, kiedy się to wszystko zaczęło. Dziewięć z nich zginęło na gliderach. Pięć uciekło przez kabinę. A trzej oszalełych ze strachu popędzili do lasu, tam zabił ich, tak że odnaleźliśmy ich z najwyższym trudem. Możesz nie mieć żadnych wątpliwości, była panika, była... Była panika, były jakieś potwory i nawet ślady zostały. Ale dlaczego staruszka się nie przestraszyła, tego nie wiemy. W ogóle jest jakaś dziwna, ta staruszka. Słyszałem na własne uszy, jak oświadczyła naszemu dowódcy: „Trochę późno przylecieliście, gołębiczki. Nic im już nie pomożecie. Wszystkie zginęły...”

Tojwo zapytał:

- Co ona miała na myśli?

- Nie wiem - odparł Basile z niezadowolaniem. - Przecież mówię, dziwna jakaś staruszka.

Tojwo spojrzął na jadowicie różową willę, zawierającą dziwną staruszkę. Ogródek wokół domu był wyraźnie znacznie bardziej zadbane. Obok stał glider.

- Nie radzę jej niepokoić - powiedział Basile. - Lepiej niech się sama obudzi, może wtedy...

W tym momencie Tojwo wydało się, że za jego plecami coś się rusza i gwałtownie się odwrócił. Zza drzwi klubu wзираła biała twarz o szeroko otwartych, przerażonych oczach. Przez kilka sekund nieznajomy milczał, następnie jego bezkrwiste wargi poruszyły się i człowiek powiedział ochryplym głosem:

- Wyjątkowo głupia historia, prawda?

chciał słyszeć. Ale sprawa była unikalna, pozbawiona jakichkolwiek precedensów w przeszłości (mam szczerą nadzieję, że w przyszłości nie podobnego już nigdy się nie wydarzy), więc przyjęło nas obu bez słowa sprzeciwu.

Na wyspie Matuku od niepamiętnych czasów sterczał starodawny, na wpół rozwalony radioteleskop. Kto go zbudował i po co, nie udało się nigdy ustalić.

Wyspę uważano za bezudną, odwiedzali ją tylko nieliczne grupy delfinów oraz przypadkowe pary, które szukały pereł w przejrzystych zatoczkach na potoczonym wybrzeżu. Jednakże jak dosyć szybko stało się wiadome, właśnie tam w ciągu ostatnich kilku lat zamieszkała na stałe zdublowana rodzina Głowanów. (Obecne pokolenie może już nie pamięta, co to za jedni. Przypominam: to rasa rozumnych kynoidów z planety Saraksz, która na pewien okres nawiązała bardzo bliskie kontakty z Ziemią. Te wielkogłowe, mówiące psy towarzyszyły nam w wędrowkach po Kosmosie i miały nawet na naszej planecie coś w rodzaju przedstawicielstwa dyplomatycznego. Mniej więcej trzydzieści lat temu odeszły i dalszych kontaktów z nami już nie nawiązały).

Na południu wyspy była okrągła wulkaniczna zatoka. Nieopisanie brudna, jej brzegi zarosły jakąś obrzydliwą, cuchnącą pianą. Prawdopodobnie paskudztwo to było pochodzenia organicznego, dlatego że przyciągało nieprzebrane ślady morskich pław. Poza tym wody zatoki były martwe. Nawet wodorosty rozmnażały się w nich nad wyraz niechętnie.

I na tej wyspie miały miejsce zaborstwa. Ludzie zabijali się nawzajem i było to do takiego stopnia straszne, że nikt nie miał odwagi i to w ciągu kilku miesięcy - poinformować o tym środkami masowego przekazu.

Dosć szybko wyjaśniło się, że wina, a ściślej przyczyna wszystkiego, kryje się w szczególnych właściwościach gigantycznego syluryjskiego mieczaka, prehistorycznego, monstrualnego głowonoga, który jakiś czas temu osiedlił się na dnie zatoki. Prawdopodobnie zepchnął go jakiś tajfun. Biopole tego potwora, od czasu do czasu wypływającego na powierzchnię, wywierało depresyjny wpływ na wysoko rozwiniętą psychikę. W szczególności u człowieka powodowało katastroficzne obniżenie poziomu motywacji - pod wpływem tego biopola człowiek stawał się aspołeczny, mógł zabić kolegę, który niechcący wrzucił do wody jego koszułę. I zabijał.

A więc Tojwo Głumow wbił sobie do głowy, że ten mieczak to właśnie owa przepowiedziana przez Bromberga jednostka Monokosmu w procesie powstawania. Trzeba przyznać, że na samym początku, kiedy faktów jeszcze w ogóle nie było, te pomysły wyglądały dosyć przekonująco (jesli w ogóle można mówić o logice konstrukcji, zbudowanej na fantastycznych przesłankach). I trzeba było widzieć, jak krok za krokiem cofał się pod naporem nowych danych, które codziennie zdobywali wstrząśnięci trzęsioną specjalści od głowonogów oraz paleontolodzy...

Doblił Tojwo pewien student biolog, który wygrzebał w Tokio japoński manuskrypt z trzynastego wieku, zawierający opis tego, czy też może identycznego monstrum (cytuje według swego dziennika): „We Wschodnich morzach widuje się katapumondako w kolorze purpury o nieprzebranej mnogości długich cienkich rąk, wysuwa się z okrągłej muszli wielkości trzydziestu stóp z ostrzami i grzebieniami, czy jakby gnijące, cały obrosnięty polipami. Kiedy wypływa, leży na wodzie płaski, na podobieństwo wyspy, rozsiewając wokół smród, wydzielając białą materię, by przywabiać ptaki i ryby. Kiedy się gromadzą, łapie je rekami bez żadnego wyboru i pożywia się nimi. W nocy księżycowe leży kołysząc się na falach, wlepiając oczy w nieboskon, rozmyśla o głębinach wód, które go zrodziły. Rozmyślanie te są tak posępne, że porażają ludzi i stają się ludzie podobni tygrysom”.

Pamiętam, że kiedy Tojwo to przeczytał, milczał przez kilka minut pogrążony w głębokiej zadumie, następnie westchnął jak mu się wydawało - z ulgą i powiedział: „Tak. To nie to. I bardzo dobrze, byłoby, zbyt obrzydliwe”. Według jego wyobrażeń Monokosm powinien być istotą wystarczająco wstrętną, ale może jednak nie do tego stopnia.

Monokosm w postaci syluryjskiej osmiornicy nie pasował do jego wyobrażeń. (Dokładnie tak, jak - co chciałbym przy okazji zaznaczyć - nie pasował ten mieczak do żadnych wyobrażeń specjalistów, ze swoim jadowitym biopolem, ze swoim rozsuwanym pancerzem, ze swoim wiekiem, przewyższającym czterysta milionów lat).

W ten sposób pierwsza poważna sprawa, do której zabrał się Tojwo Głumow, skończyła się na

niczym. Podobnych niewypałów miał później jeszcze niemało i wreszcie w połowie 98-ego roku poprosił mnie o pozwolenie zajęcia się opracowaniem materiałów dotyczących masowych fobii. Zgodziłem się.

DOKUMENT 3

RAPORT - MELDUNEK

Nr 011 99

KOMKON-2

Ural-Połnoc

Data: 20 marca 99 roku

Autor: Tojwo Głumow, inspektor

Temat: 009 „Wizyta starszej pani”

Treść: kosmofobie, syndrom pingwina

Analizując przypadki powstawania kosmicznych fobii w ciągu ostatnich lat, doszedłem do wniosku, że w związku z tematem 009 mogą być dla nas interesujące materiały dotyczące tzw. syndromu pingwina

Bibliografia:

Asmodeusz Moebius, referat na XIV konferencji kosmopsychologów, Ryga 84;

Asmodeusz Moebius, „Syndrom pingwina”, PKP („Problemy kosmicznej psychologii”) 42, 84;

Asmodeusz Moebius, „Ponownie o etiologii syndromu pingwina”, PKP 44, 85.

Dane biograficzne:

Moebius Asmodeusz Mateusz, doktor medycyny, członek korespondent Akademii Nauk Medycznych Europy, dyrektor filii Światowego Instytutu Kosmicznej Psychopatologii (Wiedni). Urodzony w Innsbrucku 24.06.36. Wykształcenie: wydział psychopatologii (Sorbona), Drugi Instytut Medycyny Kosmicznej (Moskwa). Wyższe kursy bezprzerywowej akwautyki (Honolulu). Podstawowe dziedziny zainteresowań naukowych, nie związane z wykonywanym zawodem: kosmo- i akwafobie. Od 81 do 91 zastępca przewodniczącego Głównej Komisji Lekarskiej Zarządu Floty Kosmicznej. Obecnie uznany powszechnie za założyciela i czołowego reprezentanta szkoły tzw. polimorficznej kosmopsychopatologii.

7 października 84-ego roku na konferencji kosmopsychologów w Rydze doktor Asmodeusz Moebius wygłosił referat o nowym rodzaju kosmofobii, którą nazwał „syndromem pingwina”. Fobia ta jest rodzajem niegroźnej dewiacji, objawiającej się natrętnymi koszmarami, które nawiedzają chorych w czasie snu. Wystarczy, żeby chory zasnął, by natychmiast poczuł się zawieszony w kosmicznej pustce, absolutnie bezradny i bezsilny, samotny, przez wszystkich zapomniany, zdany na łaskę bezdusznych i nieprzewidywalnych mocy. Odczuwa fizycznie okropną duszność, wie, że jego ciało przenika na wskroś unicestwiająco, twarde promieniowanie, czuje jak zanikają i mięknią jego kości, jak kipi i zaczyna wyparowywać mózg, ogarnia go nieprawdopodobnie intensywne uczucie rozpacz i wtedy chory się budzi.

Doktor Moebius nie uznał tej choroby za niebezpieczną, ponieważ po pierwsze – nie towarzyszyły jej żadne uszkodzenia psychiki albo somy, a po drugie – bardzo łatwo poddawała się ambulatoryjnej psychoterapii. „Syndrom pingwina” zwrócił uwagę doktora Moebiusa przede wszystkim dlatego, że był jakościowo nowym zjawiskiem, do tej pory nigdy i przez nikogo nie opisanym. Zaskakujące było, że choroba atakowała ludzi bez względu na płeć, wiek czy zawód, ale nie mniej zaskakujące było i to, że nie wykryto żadnego związku syndromu z indeksem genetycznym pacjentów.

Doktor Moebius, zainteresowany etiologią zjawiska, poddał zebrany materiał (około tysiąca dwustu przypadków) wielostronnej analizie według osiemnastu parametrów i z satysfakcją wykrył, że w siedemdziesięciu osmiu procentach przypadków syndrom powstawał u ludzi, którzy odbywali dalekie kosmiczne podróże na statkach typu „Widmo-17 – pingwin”. „Oczekiwałem czegoś podobnego” – oświadczył doktor Moebius. – O ile pamiętam, to nie pierwszy przypadek, kiedy konstruktorzy oferują nam niedostatecznie atestowaną aparaturę. Właśnie dlatego nazwałem odkryty przeze mnie syndrom nazwą statku i niechaj posłuży to jako memento.

Konferencja w Rydze, na podstawie referatu doktora Moebiusa, podjęła decyzję o czasowym zakazie eksploatacji statków typu „Widmo-17 pingwin” do czasu pełnego usunięcia wad powodujących fobie.

informacje o wizycie Szamana w Instytucie Dziwaków, nareszcie doznałem ośnienia i zapomniałem o zmywaniu jakichkolwiek głów.

Moja sytuacja była okropna, ponieważ nie miałem z kim porozmawiać. Po pierwsze nie miałem żadnych propozycji. A po drugie nie wiedziałem, z kim jeszcze mogę rozmawiać, a z kim już mi nie wolno. Znacznie później wypytywałem swoich pracowników, czy moje zachowanie w te straszne (dla mnie) kwietniowe dni 99-ego roku nie wydało im się cokolwiek dziwne. Sandro był wtedy zajęty tematem „Rip Van Winkle”, sam znajdował się w stanie absolutnego oszołomienia i dlatego nic nie zauważył. Grisza Serosowin twierdził, że byłem wtedy szczególnie skłonny do przemilczenia i na każdą jego inicjatywę odpowiadałem zagadkowym uśmiechem. A Kikin jak to Kikin – dla niego już wtedy było „wszystko jasne”. Zas Tojwo Głumowa moje ówczesne zachowanie niewątpliwie musiało doprowadzać do szału. I doprowadzało. Tylko że ja naprawdę nie wiedziałem, co mam zrobić! Ganiałem swoich pracowników jednego po drugim do Instytutu Dziwaków, za każdym razem czekałem, co z tego wyniknie – nigdy nic nie wynikało, więc goniłem tam następnego i znowu czekałem.

W tym samym czasie Gorbowski umierał u siebie w Krasławie.

W tym samym czasie Ałos-Sidorow czekał, aż go znowu położą do szpitala i nie było żadnej pewności, że kiedyś jeszcze z niego wyjdzie.

W tym samym czasie Dania Łogowienko pierwszy raz po wieloletniej przerwie wprosił się do mnie na herbatę i przez cały wieczór wspominał jakieś nieistotne głupstwa z dawnych lat.

W tym czasie nie podjąłem jeszcze żadnej decyzji.

I wtedy wybuchła ta historia w Małej Peszy.

Noce, z piątego na szósty maja, wyrwała mnie z łóżka służba awaryjna. W Małej Peszy – nad rzeką Peszą, która wpada do Zatoki Czeskiej Morza Barentsa – pojawiły się jakieś potwory, które spowodowały wybuch paniki wśród mieszkańców osiedla. Grupa awaryjna w drodze, śledztwo trwa.

Zgodnie z obowiązującą pragmatyką byłem zobowiązany wysłać na miejsce wypadku któregoś ze swoich inspektorów. Posłałem Tojwo.

Niestety raport-meldunek inspektora Głumowa o wydarzeniach i jego działalności w Małej Peszy zaginął. Mnie w każdym razie nie udało się go odnaleźć. Tymczasem bardzo chciałbym pokazać, w jaki sposób Tojwo prowadził dochodzenie i to pokazać możliwie szczegółowo, dlatego więc będę musiał uciec się do rekonstrukcji wydarzeń, opartej na mojej pamięci i na rozmowach z uczestnikami tych wydarzeń.

Nie trudno zauważyć, że proponowana rekonstrukcja (jak również wszystkie następne) zawiera oprócz niewątpliwych, potwierdzonych faktów również pewne opisy, metafory, epitety, dialogi i inne elementy literatury pięknej. Bo jednak chciałbym, aby czytelnik zobaczył przed sobą żywego Tojwo, takiego jakim go pamiętam. A same dokumenty do tego nie wystarczą. Zresztą, jeżeli się chce, można traktować moje rekonstrukcje jako szczególnego rodzaju zeznania świadka.

★

MAŁA PESZA. 6 MAJA 99 ROKU. WCZESNE RANO.

Z góry osiedle Mała Pesza wyglądało tak, jak powinno wyglądać takie osiedle o godzinie czwartej rano. Sennie. Spokojnie. Pusto. Około dziesięciu różnobarwnych dachów połkolem, placzyk zarosnięty trawą, kilka gliderów stojących tu i ówdzie na skarpie nad rzeką. Rzeką wydawała się nieruchoma, bardzo zimna i nieczysta, strzępy białawej mgły wisiały nad siłownią po przeciwną stronę.

Na ganku klubu stał człowiek z głową zadartą do góry i siedział wzrokiem glider. Jego twarz wydała się Tojwo znajoma i nie było w tym nic dziwnego. Tojwo znał wielu ze służby awaryjnej, mniej więcej co drugiego.

Posadził maszynę obok ganku i wyskoczył na wilgotną trawę. Ranek był tu zimny. Człowiek na ganku miał na sobie ogromną puchatą kurtkę z mnóstwem specjalnych kieszeni, z gniazdkami do najróżniejszych butli, regulatorów, gaśnic oraz innych przedmiotów koniecznych w czasie pełnienia służby.

Dzień dobry – powiedział Tojwo. Bazyli, jeśli się nie myle?

Witaj, Głumow – odparł tamten, wyciągając rękę. – Zgadza się. Basiu. Dlaczego tak długo?

Tojwo wyjaśnił mu, że zero-T tu, w Małej Peszy, nie wiadomo dlaczego nie przyjmuje, że wyrzuciło go w Dolnej Peszy, że musiał wziąć tam glider i lecieć dodatkowe czterdzieści minut ponad rzeką.

Styczeń 82. Powstaje grupa inicjatywna WEPI (nazywana tak według inicjałów założycieli), łącząca lekarzy, psychologów, socjologów, filozofów i prawników. To właśnie grupa WEPI rozpoczęła i doprowadziła do końca walkę o przyjęcie Poprawki.

Luty 82 Pierwszy miting przeciwników fukamizacji przed gmachem Światowej Rady.

Czerwiec 82 Formalne ukonstytuowanie się opozycji wobec „Ustawy” wśród członków Komisji Ochrony Macierzyństwa i Małego Dziecka.

Dalsza chronologia wydarzeń moim zdaniem nie jest już interesująca. Czas (trzy i pół roku) potrzebny Światowej Radzie na wszechstronne przestudiowanie zagadnienia i przyjęcie Poprawki jest czasem dość typowym. Za to nietypowa wydaje mi się proporcja między ogromną liczbą zwolenników Poprawki i liczbą ekspertów. Przeważnie masowi zwolennicy nowego prawa – to minimum dziesięć milionów ludzi – eksperci zaś reprezentujący ich interesy (prawnicy, socjologowie, specjaliści w danej dziedzinie) – zaledwie kilkadziesiąt osób. W naszym przypadku masowi zwolennicy Poprawki (kobiety odmawiające zgody ich mężom, krewnym, przyjaciółom, sympatykom; osoby popierające ruch z przyczyn religijnych i filozoficznych) właściwie nigdy nie byli naprawdę masowi. Liczba uczestników ruchu nigdy nie przekroczyła pół miliona. Jeżeli zaś chodzi o specjalistów, to jedna tylko grupa WEPI w chwili przyjęcia Poprawki liczyła 536 specjalistów.

5. Po przyjęciu Poprawki odmowy nadal trwały, chociaż zmniejszyła się ich liczba i to znacznie. Ale co najważniejsze – w ciągu całego 85 roku zmienił się charakter epidemii. Ścisłej mówiąc, nie można już teraz tego zjawiska nazwać epidemią. Jakby istniały prawidłowości („lancuchy odmowy”, koncentracja w określonych punktach geograficznych), wszystkie znikły. Teraz każdy przypadek odmowy nosi absolutnie przypadkowy, jednostkowy charakter, przy czym uzasadnienia typu A i B w okole znikły, przeważa powoływanie się na Poprawkę. Z tego widocznie powodu, faktów odmowy nie uważa się za przejaw fukamifobii. Ciekawe, że wiele kobiet, które w swoim czasie kategorycznie nie zgadzały się na fukamizację, a także aktywnie uczestniczyły w ruchu zwolenników Poprawki, obecnie całkowicie utraciły zainteresowanie tym problemem i przy porodzie nawet nie wykorzystują prawa odwołania się do Poprawki. Z kobiet, które nie wyraziły zgody na fukamizację w latach 81–85, przy następnych porodach nadal nie zgadzało się zaledwie 12%. Trzecia odmowa fukamizacji zdarza się niezmiennie rzadko, w ciągu piętnastu lat zarejestrowano kilka przypadków.

6. Uważam za konieczne szczególne zwrócenie uwagi na dwie okoliczności:

A) Prawie zupełne zniknięcie fukamifobii po przyjęciu Poprawki wyjaśnia się zwykle dobrze znanymi czynnikami natury psychosocjologicznej. Współczesny człowiek akceptuje tylko te ograniczenia i obowiązki, które wypływają z moralno-etycznych zasad rządzących społecznością. Każde inne ograniczenie, czy też zobowiązanie innego rodzaju, człowiek odbiera z uczuciem (nieuświadomionej) wrogości i (instynktownego) wewnętrznego sprzeciwu. Wobec tego naturalne jest, że zwalczający przymus fukamizacji, człowiek traci powód do wrogości i zaczyna traktować fukamizację neutralnie, jak każdy zwykły zabieg medyczny.

Zgadzać się w całości z przytoczonymi wyżej argumentami, niemniej jednak podkreślam możliwość innej interpretacji, interesującej z punktu widzenia tematu 009. Konkretnie: cała zreferowana przez mnie historia pojawienia się i zniknięcia fukamifobii daje się znakomicie wytłumaczyć jako rezultat ukierunkowanego i precyzyjnie obliczonego działania obcej i rozumnej woli.

B) Epidemia fukamifobii dokładnie zbiega się w czasie z pojawieniem się „syndromu pingwina” (patrz mój raport-meldunek nr 011/89).

Sapienti sat
(koniec Dokumentu 4)

Tojwo Głumow

Teraz już mogę stwierdzić z całkowitą pewnością, że właśnie ten konkretny raport-meldunek spowodował w mojej świadomości jakby zrzućnięcie petających ją więzów, co w ostatecznym rezultacie doprowadziło mnie do Wielkiej Iluminacji. I przy tym, chociaż brzmi to teraz dosyć zabawnie, ten zwrot zaczął się od mimowolnej irytacji, którą wywołały u mnie niedwuznaczne i dość prostackie aluzje Tojwo do jakoby złowieszczej roli „wertykalistów” w historii Poprawki. W oryginale raporcie ten akapit jest upstrzony grubymi, czerwonymi podkreśleniami – świetnie pamiętam, że zamierzając samotnie zmyć Tojwo głowę za to, że do takiego stopnia puścił wodze swojej fantazji. Ale wtedy właśnie dotarły do mnie

1. Stwierdziłem, że typ „Widmo-17-pingwin” został poddany wyjątkowo starannemu przeglądowi, w czasie którego nie wykryto żadnych istotnych konstruktorskich niedociągnięć, a więc bezpośrednia przyczyna powstania „syndromu pingwina” nadal ukryta jest we mgle niejasności (Zresztą, chcąc sprowadzić ryzyko do zera, Zarząd Floty Kosmicznej wycofał „pingwina” z linii pasażerskich i zalecił przystosowanie go do pilotów automatycznych). Przypadki „syndromu pingwina” zaczęły gwałtownie maleć i o ile wiem, ostatni był zarejestrowany trzynastą lat temu.

Jednak nadal nie byłam zadowolona. Niepokoiło mnie to 22 procent badanych, których związki ze statkami typu „Widmo-17-pingwin” pozostawały niejasne. Z tych 22 procent (według danych doktora Moebiusa) 7 procent nigdy nie widziało „pingwina” na oczy, a pozostałe 15 procent nie mogło na ten temat powiedzieć nic rozsądnego; albo nie pamiętało, albo nigdy nie interesowało ich typy statków, na których wychodzili w kosmos.

Rzecz jasna, znaczenie statystyki w hipotezie o związku „pingwinów” z powstawaniem fobii nie ulega żadnej kwestii. Jednak 22% to wcale nie mało. Ponownie podałem materiały Moebiusa wielopłaszczyznowej analizie według dwudziestu dodatkowych parametrów, przy czym parametry te wybierałem, przynajmniej najzupełniej przypadkowo, ponieważ nie miałem w zapasie żadnej, nawet najskromniejszej, hipotezy. Parametry były na przykład takie: daty startów z dokładnością do miesiąca, miejsce urodzenia z dokładnością do regionu, hobby z dokładnością do klasy... i tak dalej...

Jednakże sprawa okazała się nad wyraz prosta i tylko odwieczne przywiązanie ludzkości do przekonania o izotropowości Wszechświata nie pozwoliło doktorowi Moebiusowi zauważyć tego, co mnie udało się dostrzec. Stwierdziłem co następuje: „syndrom pingwina” atakował ludzi latających trasami kosmicznymi na Saule, na Redute i na Kasandre. Inaczej mówiąc przez podprzestrzenny sektor przejścia 41 02.

„Widmo-17-pingwin” nie był niczemu winien. Po prostu znakomitą większość statków w tym czasie (początek lat sześćdziesiątych) bezpośrednio z doków kierowano na trasę Ziemia – Kasandra – Zefir i Ziemia – Radula – EN 2105. 80% statków na tych trasach stanowiły wówczas „pingwiny”. W ten sposób stała się jasna 78% doktorowi Moebiusa. Co zaś dotyczy pozostałych 22% chorych, to 20 latała tą trasą na statkach innego typu, a reszta, czyli 2%, nie latała nigdy i nigdzie, ale to nie odgrywa już żadnej roli.

2. Dane doktora Moebiusa są z całą pewnością niepełne. Wykorzystując zebrane przez niego historie choroby, a także dane archiwów Zarządu Floty Kosmicznej, stwierdziłem, że w interesującym nas okresie wymienioną trasą podróżowało 4512 osób w obie strony, spośród których 183 ludzi wielokrotnie (przede wszystkim członkowie załóg). Ponad dwie trzecie tej grupy nigdy nie znalazło się w polu widzenia doktora Moebiusa. Nasuwa się wniosek, że albo okazali się odporni na „syndrom pingwina”, albo z nieznanym nam przyczyną nie uznali za konieczne zwracać się do lekarza. W związku z tym wydało mi się nadzwyczaj ważne ustalenie:

– czy byli wśród członków tej grupy ludzie, którzy okazali się odporni na syndrom;

– jeśli tacy byli, stwierdzić, czy nie da się ustalić przyczyn tej odporności albo chociażby bio-socjopsychologicznych parametrów, według których osoby te różnią się od podatnych na chorobę.

Z tymi pytaniami zwróciłem się do doktora Moebiusa. Odpowiedział mi, że ten problem nigdy go nie interesował, ale intuicyjnie skłonny był przypuszczać, że istnienie tego rodzaju parametrów jest bardzo mało prawdopodobne. W odpowiedzi na moją prośbę zgodził się zlecić zbadanie tego problemu jednemu ze swych laborantów, ostrzegając mnie, że na rezultaty przyjdzie czekać co najmniej dwa, trzy miesiące.

Aby nie tracić czasu, rozpocząłem poszukiwania w archiwach Centrum Medycznego Zarządu Floty Kosmicznej i spróbowałem przeanalizować dane dotyczące wszystkich 124 pilotów, którzy regularnie lataли interesującą nas trasą, w interesującym nas czasie.

Elementarna analiza dowiodła, że w każdym razie dla pilotów prawdopodobieństwo zachorowania na „syndrom pingwina” wynosi mniej więcej 1/3 i NIE ZALEŻY od liczby rejsów na „niebezpiecznej” trasie. Tak więc wydaje się bardzo możliwe, że: a) dwie trzecie ludzi jest odpornych na „syndrom pingwina” i b) człowiek pozbawiony odporności ma szanse zachorować z prawdopodobieństwem bliskim 1. Właśnie dlatego kwestia odróżnienia człowieka uodpornionego od nieodpornego wydaje się szczególnie interesująca.

3. Uważam za konieczne dosłowne przytoczenie uwag doktora Moebiusa zawartych w przypisach do jego artykułu »Raz jeszcze o etiologii „syndromu pingwina“«. Doktor Moebius pisze:

„Otrzymałem interesującą informację od kolegi Kriwoklykowa (krymska filia Drugiego Instytutu Medycyny Kosmicznej). Po publikacji mojego referatu na ryską konferencję napisał do mnie, że od wielu miesięcy sni mu się sny, których fabuła jest niezwykle podobna do koszmarów dreczących chorych dotkniętych „syndromem pingwina“ – wydaje mu się, że jest zawieszony w przestrzeni kosmicznej daleko od gwiazd i planet, nie czuje swojego ciała, ale widzi je, podobnie jak nieprzeliczone obiekty kosmiczne, zarówno fantastyczne, jak i realne. Ale w odróżnieniu od innych chorych nie odczuwa przy tym żadnych negatywnych emocji. Przeciwnie, przeżycia te wydają mu się interesujące i przyjemne. Ma wrażenie, że jest samodzielnym ciałem niebieskim, które porusza się po wybranej przez siebie trajektorii. Sam ten ruch daje mu zadowolenie, ponieważ zmierza do określonego celu, obiecującego mnóstwo ciekawych przeżyć. Widok konstelacji gwiazdnych wywołuje u niego uczucie niepojętego zachwytu itd. Przyszło mi do głowy, że w osobie kolegi Kriwoklykowa mamy do czynienia z przypadkiem pewnej inwersji „syndromu pingwina“, która w świetle zreferowanych przeze mnie w artykule wyników badań może być niezmiernie interesująca teoretycznie. Jednakże rozczarowałem się – okazało się, że kolega Kriwoklykow nigdy nie podróżował na gwiazdolotach typu „Widmo-17-pingwin“. Niezależnie od tego wciąż mam nadzieję, że inwersja „syndromu pingwina“ jednak realnie istnieje jako zjawisko psychiczne i będę wdzięczny każdemu lekarzowi, który zechce nadesłać mi jakiegokolwiek nowe dane dotyczące tego tematu“.

Informacja:

Kriwoklykow Iwan Georgiewicz, lekarz psychiatra bazy „Lemboy“ (EN 2105), w interesującym nas okresie niejednokrotnie przebywał trasę Ziemia – Reduta – EN 2105 na gwiazdolotach różnych typów. Zgodnie z danymi WMI Kriwoklykow w chwili obecnej znajduje się w bazie „Lemboy“.

W czasie mojej rozmowy z doktorem Moebiusiem dowiedziałem się, że w ostatnich latach stwierdził „pozytywną“ inwersję „syndromu pingwina“ jeszcze u dwóch ludzi. Odmówił podania ich nazwisk ze względu na obowiązujące go zasady etyki lekarskiej.

Nie podejmuję się komentowania zjawiska inwersji „syndromu pingwina“ w szczególności, jednakże wydaje mi się oczywiste, że nosiciele tej inwersji powinno być więcej niż jest to nam wiadome obecnie.

Tojwo Głumow

(koniec Dokumentu 3)

Dokument nr 3 przytoczyłem tu nie tylko dlatego, że był to jeden z najbardziej obiecujących raportów złożonych przez Tojwo Głumowa. Czytając go wciąż od nowa, poczułem, że – jak mi się wydaje – po raz pierwszy wpadliśmy na prawdziwy trop, chociaż wtedy nawet mi do głowy nie przyszło, że od niego rozpoczęły się łańcuch wydarzeń, które odegrały decydującą rolę w moim związku z Wielką Iluminacją.

21 marca przeczytałem meldunek Tojwo o „syndromie pingwina“.

25 marca Szaman urządził swoją demonstrację w Instytucie Dziwaków (dowiedziałem się o tym dopiero w kilka lat później).

A 27 marca Tojwo przedstawił mi raport-meldunek w sprawie fukamifobii.

DOKUMENT 4

RAPORT-MELDUNEK

nr 013.99

KOMKON-2
Ural-Północ

Data. 26 marca 99 roku

Autor. Tojwo Głumow, inspektor

Temat. 009 „Wizyt starych pani“

Treść fukamifobii: historia poprawki do „Prawa o obowiązkowej bioblokadzie“

Analizując wypały powstawania masowych fobii w ciągu ostatnich stu lat, doszedłem do wniosku, że w ramach tematu 009 mogą być dla nas interesujące wydarzenia, które poprzedzały przyjęcie 2.02.85 roku przez Światową Radę znanej poprawki do „Prawa o bioblokadzie“.

Należy wziąć pod uwagę:

1. Bioblokada czyli Procedura Tokijska jest systematycznie stosowana na Ziemi i na Peryferiach przez

dodać nieuniknione stresy fizyczne, nieuniknione neurotyczne zjawiska. Wszystko to, mówiąc z grubszą, stanowi grunt sprzyjający powstawaniu fobii. Jednakże wyciąganie wniosku, że tego rodzaju spekulacjami można cokolwiek wyjaśnić w tej zdumiewającej historii? To byłoby przedwczesne. Zdecydowanie przedwczesne i niepoważne.

Pytanie: Czy istnieje jakies różnice między kobietami, które nie zgodziły się na szczepienie, a innymi? Fizjologiczne, psychiczne... Czy przeprowadzano badania tego rodzaju?

Odpowiedź. Mnóstwo. I nic konkretnego nie udało się stwierdzić. Ja osobście zawsze uważałem i uważam do dzisiaj, że fukamifobia to fobia uniwersalna, jak na przykład fobia na zero-przejscia. Tylko że fobia na zero-przejscia jest zjawiskiem bardzo rozpowszechnionym, lek przed pierwszym zero-przejsciem odczuwa praktycznie każdy człowiek niezależnie od pici i zawodu, później ten lek mija bez śladu... fukamifobia zaś jest zjawiskiem bardzo rzadkim, na szczęście. Mówię „na szczęście“, ponieważ do tej pory nie umiemy fukamifobii leczyć.

Pytanie. Jeśli pana dobrze zrozumiałem, profesorze, nie znamy ani jednej konkretnej przyczyny wywołującej fukamifobię?

Odpowiedź. Potwierdzonej przyczyny nie znamy. Istnieje natomiast mnóstwo, dziesiątki hipotez.

Pytanie: Na przykład?

Odpowiedź: Na przykład propaganda przeciwników fukamizacji. Na wrażliwą naturę, do tego jeszcze w ciąży, tego rodzaju propaganda mogła wywrzeć określony wpływ. Albo, powiedzmy, hipertrofia instynktu macierzyńskiego, instynktowna potrzeba uchronienia swojego dziecka od jakichkolwiek zewnętrznych czynników, chociażby nawet pożytecznych... Chce pan zaprzeczyć? Nie trzeba. Zupełnie się z panem zgadzam. Te wszystkie hipotezy w najlepszym wypadku wyjaśniają tylko nadzwyczaj wąski zestaw faktów. Jeszcze nikomu nie udało się wyjaśnić zjawiska „lancucha odmowy“ ani geograficznych osobliwości zjawiska... i absolutnie nikt nie rozumie, dlaczego to wszystko zaczęło się akurat na wiosnę 81 roku i to nie tylko na Ziemi, ale i bardzo daleko od Ziemi...

Pytanie: A dlaczego to się skończyło w 85 roku, to można wyjaśnić?

Odpowiedź: A wie pan, że można. Niech pan sobie wyobrazi, że sam fakt przyjęcia Poprawki mógł odegrać wystarczającą rolę w wygaśnięciu epidemii. Oczywiście, nadal zostaje wiele niejasności, ale to są szczegóły.

Pytanie. Czy nie sądzi pan, że epidemia mogła powstać w wyniku jakichś nieostrożnych eksperymentów?

Odpowiedź. Teoretycznie jest to możliwe. W swoim czasie sprawdzaliśmy i tę hipotezę. Żadnych eksperymentów, które mogłyby spowodować masowe fobie na Ziemi się nie przeprowadza. Poza tym, niech pan nie zapomina, że fukamifobia powstała jednocześnie i poza granicami Ziemi...

Pytanie: A jakiego rodzaju eksperymenty mogłyby wywołać fobie?

Odpowiedź: Zapewne wyraziłem się niebyle precyzyjnie. Mogę wyliczyć cały szereg, jeśli tak można powiedzieć, technicznych sposobów za pomocą których u pana, u zdrowego człowieka, można wywołać jakąś tam fobie. Proszę zwrócić uwagę – właśnie JAKĄS TAM. Na przykład będę pana nasświetlać przy określonym reżymie koncentratem Neutrino i wywołam u pana fobie. Ale jaka to będzie fobia? Lek próżni? Lek wysokości? Lek leku? Tego nie mogę z góry przewidzieć. A o tym, żeby wywołać u człowieka taką specyficzną fobie jak fukamifobia, lek przed fukamizacją – nie, o tym nie może być mowy. Może tylko w połączeniu z hipnozą? Ale jak to zrealizować praktycznie? Nie, nie, to jest niepoważne.

4. Przy całej swojej geograficznej (i kosmograficznej) specyfice, przypadki fukamifobii pozostały jednak zjawiskiem nadzwyczaj rzadkim w praktyce lekarskiej i same z siebie raczej nie doprowadziłyby do zmian w prawodawstwie. Jednakże epidemia fukamifobii bardzo szybko z problemu medycznego stała się problemem o charakterze społecznym.

Sierpień 81. Pierwsze zarejestrowane protesty ojców, noszące jeszcze prywatny charakter (skargi do miejscowych i regionalnych instytucji medycznych, pojedyncze listy do miejscowych Rad.)

Październik 81. Pierwsza zbiorowa petycja 124 ojców i dwóch lekarzy położników do Komisji Ochrony Macierzyństwa i Małego Dziecka przy Radzie Światowej.

Grudzień 81. Na XVII Światowym Kongresie Stowarzyszenia Położników po raz pierwszy występują przeciwko fukamizacji grupy lekarzy i psychologów.

szczęśliwym wypadku. Rodząca B. (pierwszy porod) nawet niczego nie próbowała uzasadniać, a najniższe próby przekonania jej powodowały histerię. „Nie chce i koniec!” powtarzała. Rodząca C. (trzeci porod, protestowała po raz pierwszy) zachowywała się bardzo rozsądnie i spokojnie, i uzasadniała swoją decyzję niechęcią do decydowania o losie dziecka bez jego wiedzy i zgody. „Jak urodnie, niech samo decyduje” – oświadczyła.

(Cytuję te uzasadnienia dlatego, że są bardzo typowe. Z pewnymi wariacjami argumentacja powtarzała się w 85% przypadków. W literaturze przedmiotu przyjęta jest następująca klasyfikacja. Odmowa zgody typu A – w pełni racjonalna, ale uzasadnienie w zasadzie nie do sprawdzenia, 25%. Odmowa typu B – fobia w czystej formie, zachowanie historyczne, irracjonalne, 65%. Odmowa typu C – argumenty natury etycznej, 10%. Typ R (rzadki) – nadzwyczaj różnorodny w formie i treści odwoływanie się do przyczyn natury religijnej, związki z egzotycznymi systemami filozoficznymi itd., około 5%.

18 kwietnia w tym samym szpitalu, nie wyraziły zgody jeszcze dwie kobiety, podobne odmowy zarejestrowano na innych oddziałach położniczych regionu. Pod koniec miesiąca tego rodzaju przypadki liczono już w setki i rejestrowano je we wszystkich zakątkach naszego globu, a 5 maja przyszła pierwsza wiadomość o odmowie już poza granicami Ziemi (Mars, Wielki Syrt). Epidemia, wybuchając i opadając, trwała do 85 roku, tak że w momencie przyjęcia Poprawki liczba kobiet odmawiających zgody na szczepienie wyniosła około 50 000 (0,1% wszystkich rodzących).

Rozwój epidemii pod kątem fenomenologii zbadany został bardzo dokładnie i z wysokim stopniem wiarygodności, jednakże pomimo to nie udało się znaleźć przekonującego wyjaśnienia.

Stwierdzono na przykład, że epidemia miała jakby dwa geograficzne ośrodki – jeden w Afryce równikowej i drugi na północno-wschodniej Syberii. Narzuca się analogia z prawdopodobnymi ośrodkami powstania człowieka, ale analogia ta, rzecz jasna, niczego nie wyjaśnia.

Drugi przykład. Odmowy były zawsze indywidualne, jednakże w granicach każdego oddziału położniczego kolejna odmowa jakby powodowała następną. Stąd określenie „łańcuch odmów z N ogniw”. Liczba N mogła być bardzo znaczna – na oddziale położniczym kliniki w Howeko „łańcuch odmowy” zaczął się 11.09.85 roku i trwał do 21.09, wciągając wszystkie rodzące, które były przyjęte do szpitala, tak że ostateczna długość „łańcucha” wyniosła 19 kobiet.

W niektórych szpitalach epidemia wybuchła i wygasła wielokrotnie. Na przykład w Bernie, w Pałacu Niemowlęcia powracała dwanaście razy.

Pomimo wszystkiego, co zostało powiedziane, w znakomitej większości szpitali na Ziemi nikt o odmowach nawet nie słyszał. Podobnie rzecz się miała w większości pozaziemskich kolonii. Jednakże w tych miejscowościach, w których wybuchła epidemia (Wielki Syrt, baza Saula, Kurort), rozwijała się według tych samych prawidłowości co na Ziemi.

5. Na temat przyczyn powstania fukamifobii istnieje dość obszerna literatura. Zaznajomiłem się z najbardziej istotnymi pozycjami, które zarekomendował mi profesor Deruyod z Centrum Psychologii w Lhassie. Jestem zbyt słabo przygotowany, aby sporządzić kompetentny przegląd tych prac, ale wydaje mi się, na ile mogę sądzić, że nie istnieje jakkolwiek spójna teoria dotycząca fukamifobii. Dlatego ograniczę się do przytoczenia fragmentu mojej rozmowy z profesorem Deruyodem.

Pytanie. Czy uważa pan za możliwe, aby fobia powstała u człowieka zdrowego i zadowolonego z siebie?

Odpowiedz. Szczerze mówiąc uważam to za niemożliwe. Fobia u zdrowego człowieka powstaje zawsze jako skutek przeciążenia psychicznego bądź fizycznego. Jest raczej wątpliwe, czy taki człowiek może być zadowolony z siebie. Inna rzecz, że człowiek, szczególnie w naszych burzliwych czasach, nie zawsze zdaje sobie sprawę z tego, że przechodzi kryzys... Subiektywnie może uważać, że jest absolutnie w porządku, może być zadowolony i pojawienie się fobii z punktu widzenia dyletanta może wydawać się niepojęte...

Pytanie. Czy dotyczy to również fukamifobii?

Odpowiedz. Wie pan, ciąża z pewnego punktu widzenia do dziś jeszcze okryta jest tajemnicą... Wystarczy powiedzieć, że dopiero bardzo niedawno zrozumieliśmy, że psychika ciężarnej kobiety jest psychiką binarną, wynikiem diabelnie skomplikowanego oddziaływania ukształtowanej już psychiki dorosłego człowieka i antenatalnej psychiki płodu, o której dzisiaj praktycznie nie wiemy nic... A jeżeli

około 150 lat. Bioblokada jest terminem nienaukowym, używanym na ogół przez dziennikarzy. Lekarze specjaliści nazywają ten zabieg fukamizacją na cześć siostr Natalii i Hosiko Fukami, które po raz pierwszy uzasadniły teoretycznie i zastosowały ten zabieg w praktyce. Celem fukamizacji jest podwyższenie naturalnego poziomu zdolności adaptacyjnej organizmu ludzkiego do zewnętrznych warunków (biadaptacji). W swojej klasycznej formie fukamizację stosuje się wyłącznie wobec noworodków, zaczynając od ostatniego okresu rozwoju płodu. O ile udało mi się stwierdzić, zabieg ten podzielony jest na dwa etapy.

Wprowadzenie surowicy (kultura „bakterii życia”) o kilka rzędów wielkości zwiększa odporność organizmu na wszelkie znane infekcje wirusowe, bakteryjne, zarodnikowe, a także na wszelkie trucizny organiczne. (I to jest właściwa bioblokada).

Odhamowywanie podwzgorza mikrofalami wielokrotnie podwyższa zdolność organizmu do przystosowywania się do takich fizycznych czynników środowiska zewnętrznego jak twarde promieniowanie, szkodliwy skład atmosfery, wysokie temperatury. Poza tym wielokrotnie wzrasta regeneracyjna zdolność organizmu, zwłaszcza jeżeli chodzi o uszkodzone organy wewnętrzne, zwiększa się zakres widma świetlnego, które odbiera siatkówka, wzmacnia się podatność na psychoterapię itd.

Pełny tekst instrukcji dotyczącej fukamizacji przytaczam poniżej.

2. Fukamizację stosowano do 85 roku jako zabieg obowiązkowy zgodnie z prawem „O obowiązkowej bioblokadzie”. W 82 roku pod obrady Światowej Rady wniesiono projekt poprawki przewidującej zniesienie obowiązku fukamizacji dla noworodków urodzonych na Ziemi. Poprawka przewidywała zmianę fukamizacji na tak zwaną szczepionkę dojrzałości, przeznaczoną dla osób, które ukończyły szesnaste lat. W 85 roku Rada Światowa (większością zaletwie 12 głosów) przyjęła poprawkę do „Ustawy o obowiązkowej bioblokadzie”. Zgodnie z tą poprawką obowiązek fukamizacji został zniesiony, jej stosowanie zależy wyłącznie od zgody rodziców. Osoby, które nie przeszły fukamizacji w wieku niemowlęcym, otrzymały prawo, w myśl którego mogły się następnie nie zgodzić na „szczepionkę dojrzałości”, jednakże w takim wypadku traciły one możliwość pracy w zawodach związanych ze znacznymi fizycznymi i psychicznymi obciążeniami. Według danych WMI, w chwili obecnej żyje na Ziemi około miliona nastolatków, które nie przeszły fukamizacji i około dwudziestu tysięcy osób, które nie zgodziły się na „szczepionkę dojrzałości”.

INSTRUKCJA

w sprawie przeprowadzenia etapowej antenatalnej i postnatalnej fukamizacji noworodka

1. Ustalić ściśle termin początku akcji porodowej metodą całkowitej parzystej. Zalecane metody diagnozowania: radioimmunologiczny analizator NIMB, zestaw FDH-4 i FDH-8.

2. Nie później niż 18 godzin przed pierwszymi skurczami macicy określić objętość płodu i objętość wód płodowych ODDZIELNIE.

Uwaga: poprawkę Lazarewicza stosować OBOWIĄZKOWO! Obliczenia przeprowadzać WYŁĄCZNIE według normografów Instytutu Bioadaptacji, biorąc pod uwagę różnice rasowe.

3. Ustalić niezbędną dawkę surowicy UNBLAF. Pełną, słabłą i trwałą immunizację na białkowe czynniki i związki organiczne białkopodobne oraz struktury gantoidalne otrzymujemy przy dawce 6.8094 gamma-molów na gram tkanki limfoidalnej.

Uwaga: A) Przy większej objętości mniejszej niż 3.5 dawkę zwiększa się o 16%;

B) Przy ciężkiej wielorakiej łącznej dawce surowicy musi być zmniejszona o 8% na każdy płód (bliźnięta – 8%, trójczajki – 16% itd.).

4. Na sześć godzin przed pierwszymi skurczami poprzez przednią ścianę brzucha w jamę owodni wprowadzić za pomocą zero-iniektora obliczoną dawkę surowicy UNBLAF. Wprowadzać surowicę od strony przeciwnej niż plecy płodu.

5. 15 minut po urodzeniu wykonać scyntyografię grasicy noworodka. Przy indeksie grasicy mniejszym niż 3.8 wprowadzić dodatkowo przez pepowinę 2.6750 gamma-molów surowicy UNBLAF-II.

6. W razie podwyższenia temperatury NATYCHMIAST umieścić noworodka w sterylnym inkubatorze. Pierwsze karmienie piersią dopuszczalne jest dopiero po 12 godzinach normalnej temperatury.

7. 72 godziny po urodzeniu przeprowadza się odhamowanie adaptacyjnych stref podwzgorza. Topo-

graficzne określenie stref oblicza się według programu BINAR-I. Objętość stref podwzgórza powinna odpowiadać:

- I strefa - 36-42 neurony
- II strefa - 178-194 neurony
- III strefa - 125-139 neuronów
- IV strefa - 460-510 neuronów
- V strefa - 460-510 neuronów

Uwaga: przy przeprowadzaniu pomiarów należy upewnić się o całkowitym zaabsorbowaniu porodowej hematomy.

Otrzymane dane należy wprowadzić do BIO-IMPULSU.

RĘCZNA KOREKTA IMPULSU JEST KATEGORYCZNIE ZAKAZANA!

8. Umieścić noworodka w operacyjnej komorze BIO-IMPULSU. Przy umieszczaniu główki SPĘCJALNIE UWAGAĆ, żeby odchylenie według skali „stereotaks” wynosiło nie więcej niż 0,0014

9. Odhamowywanie adaptacyjnych stref podwzgórza mikrofalami przeprowadza się w paradoksalnej fazie snu, co odpowiada 1,8-2,1 mw rytmu alfa encefalogramu.

10. Wszystkie obliczenia muszą być OBOWIĄZKOWO odnotowane w karcie informacyjnej noworodka

Jeżeli chodzi o istotę wydarzeń, które poprzedzały w 85-ym roku przyjęcie poprawki do „Ustawy o bioblokadzie” ustaliłem co następuje:

1. W ciągu stu pięćdziesięciu lat praktykowania fukamizacji nie odnotowano ani jednego przypadku, w którym fukamizacja zaszkodziłaby dziecku. Dlatego nie ma nic zaskakującego w stwierdzeniu, że do wiosny 81 roku brak zgody matek na fukamizację należał do niezmiernie rzadkich wyjątków. Zdecydowana większość lekarzy, z którymi się konsultowałem, do wyżej wymienionej daty w ogóle nie słyszała nigdy o takich przypadkach. Zas wystąpienia przeciwko fukamizacji o charakterze teoretycznym oraz propagandowym zdarzały się często. Oto najbardziej charakterystyczne publikacje w naszym stuleciu

Ch. Debouque „Skonstruować człowieka?” Lyon, 32.

Pośmiertne wydanie osfatniej książki wybitnego (zapomnianego dzisiaj) antyeugenika. Druga część książki jest w całości poświęcona krytyce fukamizacji, określonej jako „bezpardonowe, a zarazem podstępne wtargnięcie w naturalny stan żywego organizmu”. Podkreśla nieodwracalny charakter zmian, spowodowanych przez fukamizację (tj. nigdy i nikomu nie udało się ponownie zahamować odhamowanego podwzgórza) ale główny nacisk kładzie się na tę okoliczność, że ów typowo eugeniczny zabieg, poparty autorytetem ogólnoswiatowego prawa, od bardzo wielu już lat stanowi szkodliwy precedens dla przeprowadzania nowych eksperymentów eugenicznych.

K. Pumiwur „Reader - prawa i obowiązki” Bangkok, 15.

Autor, wiceprezydent Światowego Stowarzyszenia Readerów, jest zwolennikiem maksymalnie aktywnego uczestnictwa we wszystkich działaniach ludzkości. Występuje przeciwko fukamizacji, opierając się na osobiście zebranych danych statystycznych. Twierdzi, że fukamizacja wpływa negatywnie na powstawanie u człowieka reader-potencjału i chociaż relatywnie ilość readerów nie uległa zmniejszeniu w epoce fukamizacji, jednakże w tym okresie nie pojawił się ani jeden reader, którego moc dałaby się porównać z mocą tych, którzy działali pod koniec 21-ego i na początku 22-ego wieku. Wzywa do zmiany dekretu o przymusowej fukamizacji, na początek chociażby dla dzieci i wnuków readerów (Wszystkie materiały zawarte w książce zestarzały się beznadziejnie - w trzydziestych latach pojawiła się cała plejada readerów o niebywałej mocy - Aleksander Solemba, Peter Dzmomny i inni).

August Ksesys „Kamień obrazu” Ateny, 37

Znany teoretyk i misjonarz neofilizmu poświęcił swoją broszurę gwałtownej krytyce fukamizacji, zresztą krytyce raczej poetyckiej niż racjonalnej. W ramach pojęć neofilizmu, jako oryginalnej wulgaryzacji teorii lakowtza, Wszechświat jest kontenerem nookosmosu, do którego po śmierci wpływa mentalno-emocjonalny kod osoby ludzkiej. Jak można sądzić, Ksesys nie ma pojęcia o fukamizacji, wyobraża ją sobie jako coś w rodzaju apendektomii i namietnie wzywa do wyrzeczenia się brutalnego zabiegu, który okalecza i deformatuje mentalno-emocjonalny kod. (Według danych WMI po przyjęciu poprawki ani jeden z członków kongregacji neofilistów nie zgodził się na fukamizację swoich dzieci).

J. Tosywill „Człowiek zuchwały”. Birmingham, 51.

Ta monografia reprezentuje dosyć typowy przykład całej biblioteki książek i broszur poświęconych propagandzie likwidacji postępu technicznego. Dla wszystkich tego rodzaju publikacji charakterystyczna jest apologia spetryfikowanych cywilizacji w rodzaju cywilizacji Tagory albo biocywilizacji Leonica. Autorzy twierdzą, że postęp techniczny na Ziemi spełnił już swój cel. Ekspansja człowieka w Kosmosie, potraktowana jest jako swego rodzaju społeczna rozrzutność, w perspektywie prowadząca do okrutnego rozczarowania. Człowiek Rozumny przekształca się w człowieka Zuchwałego, który w pogoni za ilością racjonalnej i emocjonalnej informacji traci jej jakość. (Należy przy tym rozumieć, że informacja w psychokosmosie ma nieporównywalnie większą wartość niż informacja o Zewnętrznym Kosmosie, w najszerszym sensie tego słowa). Fukamizacja okazuje ludzkości niedzwiedzią przysługę, właśnie tym, że sprzyja wyrodzeniu się Człowieka Rozumnego w Człowieka Zuchwałego, rozszerzając i faktycznie nie stymulując jego ekspansjonistyczne Instynkty. Autorzy tych książek proponują, aby na początek odstąpić chociażby od odhamowywania podwzgórza.

K. Oksowiju „Ruch pionowy”. Kalkuta, 61.

K. Oksowiju - kryptonim uczonego albo też grupy uczonych, którzy sformułowali i wprowadzili do obiegu znaną teorię tak zwanego pionowego postępu ludzkości. Pseudonimów nie udało mi się rozszyfrować. Mam podstawy przypuszczać, że K. Oksowiju to albo przewodniczący KOMKONU-1, Generalny Kosmow, albo ktoś z jego zwolenników z Akademii Społecznego Prognozowania. Książka, o której mowa, jest pierwszą monografią „Wertykalistów”. Rozdział szósty poświęcony jest szczegółowej analizie wszystkich aspektów fukamizacji - biologicznych, społecznych i etycznych - z punktu widzenia teorii pionowego postępu. Podstawowe niebezpieczeństwo fukamizacji autor upatruje w możliwości jej niekontrolowanego wpływu na genotyp. Na potwierdzenie tych obaw autor przytacza po raz pierwszy (to ile udało mi się stwierdzić) dużo danych o wielu przypadkach dziedziczenia cech organizmu posiadającego fukamizację. Omówiono ponad sto przypadków, w których embrioni jeszcze w łonie matki produkowali przeciwciała, charakterystyczne dla skutków działania surowicy UNBLAF i ponad dwadzieścia przypadków noworodków, które dziedzicznie miały już odhamowane podwzgórze. Ponadto zarejestrowano ponad trzydzieści przypadków przekazywania tych cech w trzecim pokoleniu. Autor podkreśla, że chociaż zjawiska te nie stanowią bezpośredniego niebezpieczeństwa dla zdecydowanej większości ludzi, niemniej są jaskrawą ilustracją faktu, że fukamizacja wcale nie jest tak dokładnie zbadana, jak twierdzą jej zwolennicy. Nie sposób nie zauważyć, że materiał został zebrany z niezwykłą starannością i podany niezmiernie sugestywnie. Na przykład kilka efektownych akapitów poświęconych jest tak zwanym alergikom G, dla których odhamowywanie podwzgórza jest przeciwwskazane. G - alergia jest niezwykle rzadkim stanem organizmu, który to stan można bardzo łatwo stwierdzić u płodu jeszcze w łonie matki i dlatego nie stanowi żadnego niebezpieczeństwa - takiego noworodka po prostu nie poddaje się drugiemu etapowi fukamizacji. Jeśli zaś odhamowanie podwzgórza będzie G-alergikowi przekazane jako cecha dziedziczna, medycyna okaże się bezsilna i przyjdzie na świat człowiek nieuleczalnie chory. K. Oksowiju udało się wykryć jeden taki przypadek i nie szczędzi czarnej farby przy jego omawianiu. Jeszcze bardziej apokaliptyczny obraz maluje autor opisując świat przyszłości, w którym ludzkość pod wpływem fukamizacji rozpada się na dwa genotypy. Monografie te wydawano wielokrotnie i odegrała ona najwidoczniej nieposlednią rolę w dyskusji nad Poprawką. Interesujący natomiast jest fakt, że ostatnie wydanie książki (Los Angeles 99) nie zawiera ani słowa o fukamizacji. Można to zrozumieć tylko w taki sposób, że autor jest w pełni usatysfakcjonowany przyjęciem Poprawki i los 99,9. % ludzkości, która w dalszym ciągu poddaje swoje dzieci fukamizacji absolutnie go nie interesuje.

Uwaga kończąc ten rozdział, uważam za konieczne podkreślić, że wybór materiałów przeprowadzałem według zasady oryginalności zawartych w nich koncepcji kierując się moim osobistym punktem widzenia. Z góry przepraszam, jeśli niezbyt wysoki poziom mojej erudycji wywoła niezadowolenie.

2. Najwidoczniej pierwsza odmowa poddania dziecka fukamizacji, która pociągnęła za sobą całą epidemię, została zarejestrowana w izbie porodowej osiedla K'sawa (Afryka równikowa). 17.04.81 roku wszystkie trzy rodzaje, które zostały przyjęte w ciągu doby, zupełnie niezależnie od siebie, w różnej formie, ale absolutnie kategorycznie zabroniły personelowi szpitalnemu dokonywania fukamizacji. Rodząca A. (pierwszy poród) motywowała swój zakaz życzeniem męża, który niedawno zginął w nie-



Miroslaw
P. Jabłoński

CZAS

WODNIKA

I Od kilku dni panował ciężki upał. Powietrze stało w miejscu i Hoover ze zbolalą miną snuł się od rana po domu nie wiedząc, co porządzić. Wmawiał sobie, że jego stan jest wynikiem pogody, ale to nie była prawda. Także z powodu urlopu czuł się podle. Inspektor nie znosił urlopów i nie potrafił na to poradzić. Nie wykształcił w sobie umiejętności spędzania wolnego czasu, co teraz mściło się na nim okrutnie. Inspektor Edwin Hoover umiał tylko pracować, a z kolei charakter pracy nie przysparzał mu ani przyjaciół, ani kolegów. Oczywiście, nie licząc kolegów z pracy, ale na ich towarzystwo nie miał najmniejszej ochoty.

Hoover nie założył rodziny. Uznał, że charakter jego pracy nie pozwala na posiadanie żony i dzieci. Przyjaciółki miewał rzadko. Seks – zdaniem Hoovera – był śmieszny, a uprawianie go poniżające, toteż jego dziewczyny szybko rezygnowały z uczynienia go otwartym i spontanicznym. W końcu Hoover doszedł do wniosku, że akt kupna i sprzedaży czyni miłość fizyczna mniej śmieszną i mniej poniżającą. Jedyną w ogóle możliwą do przyjęcia i uczciwą. Kupując był pewny, że jego godność w tej transakcji nie tylko nie ucierpi, ale nawet nie uczestniczy, jak podczas zakupów w marketach.

Dopracowawszy się tej filozofii, Hoover poczuł się niemal szczęśliwy. Najgorszy problem został rozwiązany. Inspektor pracował cały tydzień, weekend spędzał w wiadomy sposób i wszystko to funkcjonowało do czasu, gdy wreszcie kazano mu wykorzystać zaległe urlopy. To był cios. Urlopów uzbierało się tyle, że Hoover mógł się obawiać, iż na urlopie doczeka emerytury. Chodził po domu i nudził się, bo nie wykształcił w sobie żadnych zainteresowań poza zawodowymi. Nie polował, niczego nie kolekcjonował, nie uprawiał sportów poza strzelaniem do tarczy i walką wręcz. Przemysliwał nad tym, że przecież ciągle zdarzają się odwołania inspektorów z urlopów. Cała literatura sensacyjna jest takimi przypadkami wprost naszpikowana! Dlaczego więc jego nie wzywają? Czy mają dość ludzi? Na pewno nie, ale zawzięli się, by wreszcie można było zamknąć statystykę firmy.

Wyszedł przed dom. Parne powietrze niemal go ogleczyło. Odetchnął raz i drugi czując, że prawie się dusi. Powoli przychodził do siebie po wyjściu z klimatyzowanego wnętrza. Stał chwilę przy drzwiach nasłuchując zbawczego dzwonka holofonu, a nie usłyszawszy go powlókł się na basen. Na brzegu długo myślał, czy warto skoczyć do ciepłej jak zupa wody. Ostatecznie ruszył do nastawni, by włączyć urządzenie wytwarzające fale. Wrócił, stanął na słupku i właśnie przysmykał się do skoku, gdy usłyszał stłumiony terkot. Chęć się zatrzymać, wykonał niezgrabny krok w powietrzu i runął do wody. Wściekłymi wymachami rąk wydobył się na powierzchnię, chwycił się brzegu basenu i wykastując wodę podciągnął się w górę. Pognął do domu. Drzwi nie zdążyły się przed nim całkowicie otworzyć, w otworze pojawił się

poturbowany. Przed ociekającym wodą Hooverem zmateriałizował się Szef Inspektoratu, Kenzo Akado. Hoover zamierzał zasalutować, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie i niezdarnie odgarnął mokre włosy z czoła.

- Witaj, chłopcze – powiedział Akado poprawiając się w swoim skórzanym fotelu.

Towarzyszyło temu znajome skrzypienie i Hoover dopiero teraz poczuł się jak w domu. Akado był stary, stwy, pomarszczony jak zleżale jabłko i sympatyczny jak gnóm.

- Witam pana – powiedział grzecznie Hoover, a w duszy narastał mu radosny niepokój.

Przepraszam, że cie niepokoję podczas wypoczynku – Akado przeleciał wzrokiem po stojącym w kałuży wody inspektorze – ale zaszyły pewne sprawy...

Hoover wypuścił ze świstem powietrze przez zaciśnięte usta

...które zmusiły mnie do tego. Nadeszła prośba o wysłanie jakiegos inspektora w dość odległe miejsce, na Ampis. Wiesz gdzie to jest?

Hooverowi było to obojętne. Ważne jest co innego – jest zadanie, jest praca, jest przydział.

- Nie mam pojęcia – powiedział nad miarę radośnie. Akado spojrzał nan badawczo.

Hoover postanowił ograniczyć swój entuzjazm. Szef włożył palec za ściśnięty krawatem kołnierzyk koszuli i odkleił go z ugią od szyi

- Upał – stwierdził Hoover bez sensu.

Ampis to zapadły kąt – powiedział Akado z westchnieniem, jakby to była jego wina. - Nie ma tam żadnych zakładów superhigh-tech, nie ma bogactw, w ogóle niczego. Poza tym daleko od głównych szlaków komunikacyjnych, stu procentowe zachmurzenie, prawie ciągłe opady, niska kultura materialna. Planeta żyje z deszczu w przenośni i dosłownie. Hodują tam koprate, która wymaga wilgoci. Tak to w skrócie wygląda. Oczywiście, jest tam kosmoport, stolica, a w niej gubernator, ale jak to działa w praktyce, nie mam pojęcia.

Hoover też nie miał pojęcia, ale w tej chwili był tylko ciekaw, po co ma lecieć. Akado nie kwapił się z wyjaśnieniami. Śnął pod nosem bawiąc się – tak przypuszczał Hoover – niecierpliwością inspektora. Szef miał swoje słabości, które jako szefowi właśnie należało mu wybaczyć. W końcu Hoover nie wytrzymał

- Proszę powiedzieć, co się tam dzieje, na tej Ampis?

Akado posapał jeszcze chwilę. Potem westchnął, skrzywił się i wytarł czoło chusteczką.

- Przeklety upał – powiedział i zamilkł.

Hoover przestąpił z nogi na nogę nie odważając się ponowić pytania.

- Wprost nie wiem, co ci powiedzieć, chłopcze – Akado schował chusteczkę do kieszeni. - Nie mam pojęcia, co się tam stało. Dostaliśmy pełną ozdobników prośbę o przysłanie kogos kompetentnego, ponieważ słuchaj...

ważnie, „na planecie dzieje się coś dziwnego, co może być niebezpieczne dla całej Federacji”. Koniec cytatu.

- Nic więcej?

Podpis. R. R. Rolison, gubernator. I jeszcze jego sekretarz o dziwnym nazwisku.

- Kiedy mam lecieć?

Akado zafrasował się.

- Nic pilnego, nic pilnego - wyrzucił z siebie pośpiesznie. - Jeżeli chcesz jeszcze wypocząć...

- Pan wie, że nie chcę! zdenerwował się Hoover. - Za dwie godziny będę u pana!

- Nic pilnego - powtórzył Akado z rezygnacją i pewnym rozlęgnięciem, a potem zebrał się w sobie, jakby podjął ważną decyzję. - Jest jeszcze jedna sprawa. Chodzi o to, że dobrze by było, gdybyś to potraktował jako sprawę prywatną. Nieoficjalne śledztwo, rozumiesz?

Hoover nie rozumiał.

- To proste! - zapalił się Akado. - Jesteś przecież na urlopie! Nic nie stoi na przeszkodzie, żebyś pojechał zwiedzić Ampis, piękną, deszczową planetę. A przy okazji dowiesz się tego i owego. Na miejscu będziesz działał, jak się to mówi, z otwartą przyłbicą, ale tu u mnie nie dostaniesz żadnego zlecenia, żadnych diet, rozkazu wyjazdu, nic! Masz do wykorzystania dwa lata urlopu i oficjalnie nie wolno mi cie nigdzie wysyłać, nawet gdyby cały Rząd Federacji został porwany. Jasne?

Inspektor skinął głową i Akado zniknął.

★

Hoover nawet nie pofatygował się do Inspektoratu. Nie było takiej potrzeby. Udać się na wycieczkę pracownik nie ma podstaw do pobierania sprzętu, zaliczki ani tasm pamięciowych. Pracownik na urlopie jest wolny i niezależny. Taka sytuacja meczyła Hoovera, który nie lubił żadnych niejasności. Ale jednocześnie wiedział, że upieranie się nic nie da. Zadzwoił do „Space Travel Center” by zapytać o połączenia z Ampis. Bezpośrednich linii nie było. Za to następnego dnia odlatywał w tamte okolice próżniowiec pasażerski. Jeszcze dwie przesiadki i będzie mógł się rozkoszować deszczami do woli.

Następnego dnia Hoover stawiał się na kosmodromie z pustymi rękoma. Wędrujące w powietrzu holonapisy zaprowadziły go do statku. W kabinie próżniowca rozgłosił się nadzwyczaj szybko, właściwie proz paczki papierosów (którą położył na stoliku) i paska bankowego (którego nie wyjmował), nie miał nic do wypakowania. W czasie podróży nic więcej nie było mu potrzebne. Koszt posiłków wliczony był w cenę biletu, rozrywki zaś oprócz alkoholu i panienek - bezpłatnie. Hoover przestudiował dokładnie wszystkie propozycje, na czas podróży rezerwując sobie rudowłosa Grace. Innych zmarłańców nie miał, bo miejsca na dwóch kolejnych statkach, mających zawieźć go do celu, zamówił wcześniej.

I Transportowiec przebił grubą powłokę granatowych od wilgoci chmur i osiadł na środku smagłego deszczem pola startowego. Hoovera opuśczone starą windą na ziemię i pozostawiono własnemu losowi. Dotkliwość deszczu odczuł natychmiast. To nie był zwykły deszcz, ale raczej bombardowanie ogromnych, oleistych kropli, z których jedna tylko mogła zalać całą twarz. Osiepięty Hoover obracał się w całkowitej ciemności, nie wiedząc, w którą stronę się udać. Każda wydawała się jednakowo zła. Najmniejsze światelko nie zdradzało obecności ludzi. Klnąc pod nosem ruszył na chybił trafił przed siebie i potykając się w ciemności brnął uparcie naprzód. W końcu wydało mu się, że widzi przed sobą jakiś ogień. Nie dowierzając sobie stanął, wytarł twarz i osłaniając ją od spadających kropli złożonymi dłońmi, wpatrywał się w mrok. Światelko było. Hoover z nową nadzieją ruszył w jego kierunku i z zadowoleniem stwierdził, że zbliża się ono nadspodziewanie szybko. Po chwili przystanął znowu, bo od zwiększającego się światła doszło go mechaniczne dudnienie. W następnym momencie dwie przeraźliwie jasne lampy przemknęły obok inspektora i pojazd ochlapawszy go błotnistą mazią zatrzymał się kawalek dalej z piskiem hamulców. Hoover zgarnął błoto z twarzy tylko po to, by ujrzeć spełnienie marzeń i najgorszych obaw jednocześnie: miał przed sobą spowity parą i spaliniami samochód! Z wrażenia nie ruszał się z miejsca, więc pojazd jęcząc tajemniczymi wewnętrznymi mechanizmami podjechał do niego tyłem. Błysnęło czerwienią i samochód znieruchomiał.

Szyba w drzwiach opadła nieco i przez wąską szczelinę doleciał męski głos.

- Inspektor Hoover? Niech pan siada.

Drzwiczki wozu odskoczyły i zdrewniały inspektor znalazł się w suchym i ciepłym wnętrzu. Rozbłysło światło. Hoover dostrzegł długiego i szczupłego mężczyznę z wysoką łysiną czołową na wąskiej, ptasiej głowie. Kierowca ubrany był w faldzistą, szeleszczącą szatę z opuszczonym na plecy kapturem. Czując jak strużki wody płyną po jego plecach i spływając z tydek gromadzą się w butach, Hoover pozazdrościł obcemu praktycznego stroju.

- Nieco pan przemóć, prawda? Ale u nas to normalne, przyzwyczaił się pan.

- Słaba pociecha - odezwał się inspektor. - Przysłał pana gubernator?

Obcy uruchomił silnik i pojazd ruszył przed siebie rozchlapując kałuże.

- Tak. Zabiorę pana do rezydencji, tam dostanie pan wszystko, czego potrzeba, by żyć tutaj.

Zapadło milczenie. Hoover szczełakał zębami, a kierowca wpatrywał się uważnie w drogę wydobywaną z mroku światłami reflektorów.

- Jestem Scopolicky. John Scopolicky. Sekretarz gubernatora.

Hoover skinął głową. Poza tym cały dygotał. Scopolicky obserwował go spod oka.

- Zimno panu? Ogrzewanie jest włączone.

- Czemu... czemu jeździ pan czymś takim? - wystękał inspektor uważając, by nie przygryźć sobie języka.

Kierowca roześmiał się.

- Wiedziałem, że pan o to zapyta. Nawet założyłem się sam ze sobą, jak szybko to się stanie. I wygrałem!

- A na co pan postawił? - zaciekawił się Hoover.

Tak naprawdę, to umierał z zimna i było mu wszystko jedno.

- Ze stanie się to przed przyjazdem do rezydencji. Odpowiem panu, ale myślę, że już sam pan to pojął. Tutaj nie da się latać, jest ciągle ciemno i ciągle pada. Na całej planecie żyje tylko kilkanaście tysięcy ludzi, więc nie opłaca się wprowadzać komputerowego systemu sterowania ślizgo- czy blyskolotów. To za drogie, a poza tym większość ludzi mieszka w stolicy. Ci co żyją dalej, wybrali takie rozwiązanie właśnie dlatego, by być z dala. Sprowadziliśmy więc samochody, to zupełnie wystarcza, a w naszych warunkach jest bezpieczniej niż śmigłowce czy awionetki.

- Jak można tu żyć? - spytał odruchowo Hoover, zanim naprawdę ugryzł się w język.

Pomyślał, że mógł tym pytaniem obrazić Scopolicky'ego. Tamten nie poczuł się jednak urażony. Musiał sobie zdawać sprawę, w jak dziwnych warunkach mieszka. Wzruszył ramionami.

- Już dojeżdżamy, ale zdążę opowiedzieć panu skróconą historię Ampis. Od jej odkrycia, do chwili przybycia pierwszego osadnika minęło sto lat, a i ten pierwszy nie zagrzeł tu miejsca. To był jakiś szaleniec, który umyślił sobie, że z tutejszego deszczu będzie pedził bimber. Ale tego co wyprodukował nie chciał pić nawet on sam, a ten facet niczym nie gardził.

- Nawet on sam - powtórzył bezmyślnie Hoover.

- W końcu bimbrownik zwinął interes. Nastąpiła kilkuletnia przerwa, aż nagle pojawiło się kilka rodzin, które zwabione zostały możliwością uprawy kopraty, rośliny wymagającej ciemności, ogromnej ilości wilgoci i będącej podstawowym składnikiem wszystkich leków odmładzających. Niewiele jest miejsc w znanym nam wszechświecie nadających się do uprawy tej rośliny. To był rzeczywiście dobry interes, bo wszędzie indziej trzeba było kopracie stwarzać nakładem wielkich środków warunki, które tutaj były za darmo.

- Tylko że teraz ludziom trzeba było stworzyć warunki, które wszędzie są za darmo - uzupełnił Hoover.

Dreszcze i szczełkanie zębami minęły, i czuł się na siłach do podjęcia rozmowy. Scopolicky skinął głową.

- Tak. Rząd obiecał uruchomienie regularnej linii promowej na End, a stamtąd można wszędzie dalej, jeżeli tylko są pieniądze. A forsa była, znaleźli się tacy, co myśleli, że mieszkać będą na sąsiedniej planecie, a na Ampis będą latać tylko do pracy. Ale linii promowej jak nie było, tak nie ma, ludzi zaś nieco przybyło. Trochę się urodziło, i tak powstało Rainy City, Deszczowe Miasto. Nikt o nas

nie dbał, sami je zbudowaliśmy, wyposazylismy, stworzyliśmy władze, a nawet mianowaliśmy gubernatora, bo wiadomo było, że i tak nikt przy zdrowych zmysłach nie przyleci tu rządzić, a „zesłanców” nie chcieliśmy. Wszelkie władze i urzędy funkcjonują jak w całej Federacji i nasz gubernator został przez nią zatwierdzony. Prawde powiedziawszy, nie byliśmy Federacji do niczego potrzebni, ani ona nam. Jedyny kontakt, to wysyłka kopraty i przywóz magnetycznych sejfów odwrotną pocztą.

- A teraz? Co się stało teraz, że zwróciście się do Rządu?

- Już dojeżdżamy - powiedział Scopolicky - najlepiej będzie, jak wyjaśni panu to sam gubernator.

III Pałac gubernatora był bardzo jasno oświetlony jak na stosunki panujące na planecie. Hoover zdążył się już do nich przyzwyczaić, więc musiał zmrużyć oczy, gdy samochód wlecił się na podjazd. Wsiadł i stojąc pod daszkiem przypominającym muszlę, czekał na swego przewodnika. Siedziba gubernatora przypominała swą architekturą budowlę wieku kolonialnego. Być może była nawet wierną kopią posiadłości jakiegoś wicekrola.

- Niech pan wejdzie - rzekł podchodząc Scopolicky. - Tutaj wszystko jest otwarte, a etykieta nad wyraz swobodna. Niech pan tylko nie pluje na podłogę i wszystko będzie w porządku. Zresztą teraz zaprowadzę pana do apartamentu, musi się pan przebrać, wysuszyć. Spokammy się na kolacji, przyjdę po pana.

- Tylko że ja nie mam w co się przebrać. W podróży wystarczył mi pasek bankowy, kupowałem jednorazówki.

- W szafie znajdzie pan wszystko, co potrzeba - uspokoił go Scopolicky, otwierając przed inspektorem drzwi apartamentu. - Niech pan się czuje, jak u siebie w domu.

Hoover został sam. Przez chwilę stał na środku pokoju i oglądał wnętrza godne najwybredniejszego sybaryty. Białe, złociste meble, ciężkie, aksamitne obicia i zasłony, lustra i mnóstwo dziwnych przedmiotów niewiadomego przeznaczenia. Za to nigdzie najprymitywniejszego nawet odbiornika holo. Tylko zwykły telefon, który inspektor i tak z trudem rozpoznał. Był zamaskowany w porcelanowej figurce psa. Hoover odelchnął, jasne że tutaj pta-hoo-delic go nie dopadnie. Choc, kto wie ta straszna muzyka może byłaby w stanie przegnać nawet ampisanskie deszcze.

Zajrzał do szafy. Była pełna ubrań, garniturów, swetrow, kurtek, na półkach koszule, bielizna, na drążku krawaty, a w osobnej przegrodzie kilka kombinezonów takich, w jaki ubrany był Scopolicky. Widac podejmowano tu gości hołdujących najrozmaitszym modom. Kombinezony były w różnych kolorach, i Hoover wybrał dla siebie granatowy ze złotymi lampasami i naramiennikami. Do tego wysokie buty. Dorzucił do tego bieliznę i tak wykwapowany poszedł się wykapać. W przeciwnieństwie do obfitości wody na zewnątrz, ta ujarzmiona w rury nie chciała płynąć obficie i nad wyraz smętnie sączyła się z prysznicowego sitka. Hoover zaintrygowany tym spędził nieco czasu, usiłując organoleptycznie dociec jej właściwości. Nie stwierdził nic ponad to, czego dowiedział się młoknąc na płycie kosmodromu - że woda jest oleista, przezroczysta, bez zapachu, za to ma dziwny mdławcy i zarazem cierpki smak, przypominający sok owoców brungo. Inspektor westchnął i zabrał się do mycia. Po skończonej toalecie ubrał się i zastanowił, czy iść samemu na poszukiwanie gubernatora, czy też czekać na znak od Scopolicky'ego. Wreszcie złapał za leb porcelanowego kundla i odczekawszy, aż w jego łaciącym, białobrazowym uchu rozlegnie się sygnał, powiedział do ogona:

- Zero!
- Centrala! Słucham? odezwał się piskliwy głosik.
- Z sekretarzem Scopo... Nie, dziękuję, już nie trzeba - przerwał Hoover widząc, że drzwi jego apartamentu otwierają się i staje w nich Scopolicky.
Odstawił telefon na miejsce.

- Jestem gotowy - powiedział.

Ruszył korytarzem wyłożym chodnikiem z szorstkiego tworzywa, ledwo pod nogami, aż do drzwi, które

lity materiał i przez cały czas przyglądał mu się, podejrzliwie patrząc pod nogi

- To włókno kopraty - rzucił mimochodem Scopolicky, otwierając przed inspektorem drzwi.

Znaleził się w obszernej, białej i prawie pustej sali, jeżeli nie liczyć wielkiego podłużnego stołu, senatorskich krzeseł z wysokimi oparciami i szczupłej szatynki w karnarkowym kombinezonie. Właśnie ku tej kobiecie sekretarz poprowadził Hoovera, a gdy zatrzymali się przed nią, powiedział:

- Inspektor Hoover, gubernatorze. Gubernator Roma Ridley Rolison.

Dokonawszy prezentacji usunął się na bok, a zdziwiony inspektor przywitał się z panią gubernator. Dłoń miała małą, ciepłą i niespodziewanie mocną.

- Proszę siadać - odezwała się Roma Rolison. - Kolacja stygnie!

W trakcie posiłku nie rozmawiali i Hoover odniósł wrażenie, że pomimo zapewnień Scopolicky'ego o swobodzie obyczajów, dopytywanie się o cel własnej misji byłoby nietaktem.

Barbarzyństwo! - ocenił w myśli ten stan rzeczy.

Przyzwyczajony był działać w pośpiechu i nie oglądając się na dobre obyczaje. Ale odezwał się dopiero, gdy otarł usta serwetką.

To też koprata? - zaszotał pod adresem jedzenia.

- Czy było aż tak źle? - zaniepokoiła się gubernator, jakby sama sterczała nad garnkami w kuchni.

Hoover wzruszył ramionami. Widocznie okazywanie poczucia humoru również nie należało tutaj do dobrego tonu.

- Inspektor żartował, Threear - powiedział pobłażliwie Scopolicky ratując Hoovera przed palnięciem następnej głupstwa. - Wprowadziłem go już nieco w nasze sprawy, głównie mówiliśmy o historii.

- Ach, tak - odparła z rozłargnieniem gubernator. Znać było, że nie zrozumiała związku, ale widocznie już się do tego przyzwyczaiła, bo nie pytała dalej. Hoover westchnął.

Przejdźmy do gabinetu - zaproponowała Roma Rolison. - Przy kawie porozmawiamy.

W gabinecie kawę podała im owa piskliwa osobka z centrali łączności i zostali sami.

Sprawa, dla której wezwaliśmy pana, jest nietypowa - zaczął Scopolicky, chcąc ułatwić zadanie pani gubernator.

Hoover potulnie skłonił głowę, choć w duchu pomyślał, że pan sekretarz gówny wie, jakie sprawy są dla inspektorów typowe, a jakie nie. Zmilczał jednak, nie chcąc opóźniać rozwoju wypadków.

- Tak - podjęła wprowadzona w ten sposób w temat gubernator. - Ta sprawa nie będzie prawdopodobnie wymagała od pana żadnych z waszych osławionych umiejętności, nie będzie pan musiał walczyć, posługiwać skomplikowanym sprzętem, kamuflować, skradać, et cetera...

Hoover powtórnie pokornie skłonił głowę na znak zgody, chociaż z dużo większym trudem przyszło mu powstrzymać się od wyrażenia zdania na ten temat. Pogodził się z myślą, że w oczach Romy Ridley Rolison jest on skrzyżowaniem Indianina Chytręgo Lisa z Supermanem.

- Najdziwniejsze, a zarazem najgroźniejsze jest to - ciągnęła - że rzecz dzieje się najzupełniej jawnie, nikt nie kryje się z przynależnością do słowarzyszenia, a zarazem jest ono chyba groźne dla całej Federacji. Tak sądzi-my.

Gubernator spojrzała wyczekując na Scopolicky'ego i ten połapawszy się, skinął potakująco głową. Hoover pomyślał, że w końcu mniej więcej wie, o co chodzi. Kolejna organizacja, która nie lubi Rządu, uwita sobie gniazdko w błotach Ampis.

- Oni zachowują się tak, jakby wiedzieli, że są nie do pokonania, że są silniejsi i nic im nie grozi. A jednocześnie oficjalnie niczego nie pragną, nie zadają - po prostu spotykają się i medytują. To wszystko co robią.

Hoover zacisnął zęby, policzył pod wyczekującym spojrzeniem obojga rozmówców do dziesięciu, a potem powiedział:

Może zrobimy tak: ja będę zadawał pytania, a wy będziecie odpowiadać. To system sprawdzony od stuleci.

- Nazywamy je „Stowarzyszeniem Tysiąc”. Oni...
- Chwileczkę – przerwał Hoover. – Jak są zorganizowani, jaka jest struktura tej grupy?

- To jest właśnie najtrudniejsza kwestia – powiedział wahając się Scopolicky – bo z jednej strony niby wszystko o nich wiadomo, a z drugiej zaś... Zresztą, sam pan zobaczy. Na czele stowarzyszenia stoi Wielki Wąż, który ma pod sobą – choć to wyrażenie niczego nie tłumaczy – dziewięciu Wodników, ci z kolei „przewodzą” dziewięćdziesięciu Smokom „wybranych” spośród około dziewięćdziesięciu Adeptów. W sumie jest to około tysiąca ludzi, stąd nazwa.

- I co pan w tym widzi niezwykłego? – nie wytrzymał Hoover. – Zasada stara jak świat i istniejąca od starożytnego Egiptu po dzisiejsze Wojska Galaktyczne. Tylko liczbą różne.

- Ma pan rację, ale nie w tym jest niezwykłość „Tysiąca”. Nie wiem, czy będę umiał panu wytłumaczyć, na czym to polega. Najkrócej rzecz ujmując, w każdej wymienionej przez pana formacji zasada przekazywania poleceń jest prosta – dowódca wydaje rozkaz swoim oficerom, ci podoficerom, a dalej są żołnierze, którzy rozkaz wykonują i meldunek o tym wraca do głównodowodzącego tą samą drogą. Dla uproszczenia założmy, że „Stowarzyszenie Tysiąc” jest strukturą wojskową. Otóż wtedy mielibyśmy armię, w której poborowi rozkazują oficerom, a nawet marszałkowi!

- Anarchia! – prychnął z pogardą i oburzeniem Hoover.

- Właśnie, że nie! – wykrzyknął Scopolicky. – „Stowarzyszenie” trzyma się dobrze i jest zdyscyplinowane. Moje porównanie z wojskiem nie jest najszcześliwsze, bo wziąłem je z drugiego bieguna. U nich nie ma „dowodów”, nie ma „rozkazów”, tylko mnie brakuje słów na określenie tego, co się tam dzieje. To jest nowa struktura władzy! Nie możemy jej pojąć, chociaż każdy z tych ludzi zapytany z osobna, stara się nam wytłumaczyć wszystko i dokładnie. Wszyscy oni mówią to samo, tylko my nie rozumiemy. Im też brakuje słów. Żeby ich zrozumieć, trzeba być jednym z nich. Ale ja się boję, mnie oni przerażają i nie wstąpię tam. To jest właśnie pana zadanie.

- Kto jest Wielkim Wężem? – zapytał spokojnie inspektor.

- Kevin Shore, plantator kopraty.

- Porozmawiam z nim – zdecydował Hoover.

Scopolicky westchnął.

- To nic nie da. Mysłmy już z nim rozmawiali. Mówił chętnie i... nic z tego nie wiemy.

- Ale jak ja...

- Nie – przerwała Roma Rolison. – Scopolicky ma rację. To nic nie da. Pan po prostu nic nie rozumiał. I trudno się temu dziwić. To nie jest mafia, masoneria czy inny tajny związek. Raczej coś zbliżonego do buddyzmu lub lamaizmu, tylko bez ich hierarchii. Fakt, że Wielkim Wężem jest jakiś tam plantator, nie znaczy, iż jest ich przywódcą w pańskim rozumieniu tego słowa. Równie dobrze najważniejszą dla nich decyzję może podjąć najmłodszy Adept. Zresztą... John panu coś opowie.

Hoover spojrział na sekretarza. Czuł się jak w domu wariatów, ale postanowił wytrwać do końca.

- Słucham – powiedział oschle.

- Widzi pan – zaczął niepewnie Scopolicky – my się z nimi liczymy... więc sam pan rozumie, na wszelki wypadek...

Inspektor skinął głową. Rozumiał. Rozumiał doskonale, że gubernator Roma Rolison i jej sekretarz panicznie boją się „Stowarzyszenia”, choć ono nic złego na razie nie czyni. Czują się także odpowiedzialni przed Federacją, czego dowodem obecność tutaj inspektora. Zapalili więc Federacji świeczkę, a „Stowarzyszeniu” ogarek. Lub może nawet na odwrót.

- ... no, jednym słowem, powiedzieliśmy im o panu – wyrzucił wreszcie z siebie sekretarz.

- Im, to znaczy komu?

- Właśnie o to chodzi – ucieszył się niespodziewanie Scopolicky. – Ja napisałem do Shore’a, że choć jego stowarzyszenie trudno uznać za tajne czy spiskujące przeciw Federacji, to jednak gubernator czuje się w obowiązku poinformować Rząd o jego istnieniu, gdyż nie chce za niego brać na siebie odpowiedzialności. W związku z tym należy się spodziewać, że na Ampis przybędzie ktoś, najpewniej inspektor, w celu zbadania tej sprawy. Spytałem

też w imieniu gubernatora, czy będzie pan mógł zapoznać się z ich działaniem.

- I co? – nie wytrzymał Hoover.

Scopolicky popatrzył na niego uważnie, wyraźnie grając na efekt.

- Ano właśnie. Niech pan sobie wyobrazi, że po kilku dniach pojechałem po pocztę gubernatorską i pucybut – w urzędach jest tu taka profesja, to konieczne przy naszej pogodzie – powiedział do mnie: „Panie sekretarzu, zgadzam się. Ten inspektor może nawet być z nami”. Da pan wiarę?! Ten chłopak, który jest Adeptem zaledwie od tygodnia, zgodził się w imieniu Shore’a – Wielkiego Węża! I nie była to drwina, czy przejeżdżenie! Oni tak mówią, tak jakby byli jednym... no, jednym, czy ja wiem... jednym ciałem, nie to pompatyczne, jedną jawną, jednym człowiekiem... A, niech to cholera!

Scopolicky umilkł. Zapadła cisza, bo Hoover nie spieszył się z wyrażeniem swojego zdania, a Threear od jakiegoś czasu popijała małymi łydkami swoją wstępną kawę.

- A co oni jako „Stowarzyszenie” w ogóle robią? – spytał po chwili inspektor.

- Nic – powiedziała Roma Rolison odstawiając filiżankę. – Doskonala się – wycodziła ze złością.

- Jednak porozmawiam z tym Shore’em – zdecydował Hoover. – Gdzie go można znaleźć?

IV Hoover jechał w zupełnej ciemności, bo światła reflektorów grzeły w deszczu na kilka metrów przed maską wielkiego wozu. Jechał powoli, przechylony w przód nad kierownicą, i wytrzeszczając oczy usiłował przebić się wzrokiem przez zwartą zaslonę wody. Trzy wielkie wycieraczki włączone na największą szybkość z trudem tylko utrzymywały szybę w stanie umiarkowanej przejrzystości. Duża lepkość i napięcie powierzchniowe tutejszej wody czyniły ją mało podatną na ludzkie i mechaniczne zabiegi.

Na siedzeniu obok Hoovera leżała rozpostarta mapa, a po niej turlała się włączona latarka. Drogi ubywało rozpaczliwie wolno, i Hoover zaczął żałować, że nie zabrał Scopulicky’ego, który wręcz się narzucał, by został jego kierowcą. Było to rozsądne, Scopolicky znał doskonale teren i jako urodzony tutaj, przywykł do tych nieludzkich warunków. Ale inspektor uparł się, że pojedzie sam. I teraz, mimo że według obliczeń i zapewnień pana sekretarza powinien być już od godziny na farmie Shore’a, kręcił się beznadziejnie gdzieś na pustkowiu, bez nadziei na trafienie do celu.

Drogi w ścisłym tego słowa znaczeniu w ogóle nie było; to, po czym jechał, zasługiwało najwyżej na miano polnej drożki. Jej jedyną zaletą było to, że trudno ją było zgubić, gdyż nie tyle ją zbudowano, co wydeptano na nasypie podobnym do kolejowego. Dzięki temu woda umykała w dół, nie tworzyła się nawet większe kałuże. Hoover jechał więc czymś w rodzaju grobli otoczonej zewsząd wodą. Od czasu do czasu od tego ziemnego wału odchodziły prostopadle ramiona prowadzące do zabudowań poszczególnych farmerów. Jedynym więc zadaniem inspektora było nie przegapić odpowiedniej odnogi i uważać cały czas, by w ciemności nie zjechać z nasypu. To zakończyłoby jego podróż bezapelacyjnie.

Przestrzeganie tych dwóch prostych warunków bardzo zmęczyło Hoovera. Byłby gotów zawrócić, gdyby nie to, że do celu pozostało mu mniej drogi niż do Rainy City. Nagle dostrzegł błyskające pomarańczowe światło zapowiadające kolejny rozjazd i kolejny drogowy skaz. Według mapy powinna to być właściwa droga. Dodał niecierpliwie gazu i po chwili z poslizgiem zahamował przed stępem dźwigającym sygnalizator i tablicę z odbłaskowym napisem:

COPRALAND
Farma Mr Shore’a

Inspektor z trudem wycofał wóz w lepkiem bloku i skręcił w lewo. Przyspieszył, gdyż droga była w lepszym stanie. Miękkie pacnięcia kropel wody o dach samochodu przyspieszyły swoje staccato i Hoover poczuł mdłości. Wyobrażał sobie, że to nie woda tłucze o blaszane nad-

Jan Grabowski

GALERIA



Wozie, ale nieprzerwany grad ślimaków, małży, meduz i innych amorficznych tworów wydających ohydny, młaskający dźwięk. Po chwili odgłosy zmieniły się, wóz wpadł na wyasfaltowany odcinek drogi i Hoover jechał w sapiąco-swiszczącym poszumie rozcinanej galarety. Wręcz czuł opór, jaki spadająca z czarnego nieba i lepiąca się do karoserii maź stawia ruchowi maszyny.

Wokół pojaśniało, ukazał się rząd latarni zawieszonych nad drogą i inspektor zaczął gwałtownie hamować. Samochód wjechał łagodnie wznoszącą się pochylnią na podjazd w kształcie tunelu. Tunel był jasno oświetlony, szeroki i jednocześnie pełnił funkcję garażu i parkingu. Ślimaki przestały spadać z nieba, wszystko ucichło i Hooverowi minęły mdłości. Zjechał na wolne miejsce i wysiadł z wozu. Ruszył do drewnianych, zamczystych wrot odcinających się czernią od prawej strony tunelu, będącej jednocześnie ścianą wielkiego, ponurego domu.

Bunkier – z niechęcią ocenił go w myśli Hoover i poszukał obok drzwi sygnalizatora.

Nic takiego nie było, tylko na czarnych dachach błyszczała głowa złotego lwa z ciężkim kotkiem w kształcie węża polkającego własny ogon. Inspektor poruszył kotkiem, ale bez specjalnego efektu akustycznego. Jednak po chwili coś zaskrzeczało nad nim. Podniósł odruchowo głowę.

V – Czego się pan napije? – zapytał Shore. – Gin, whisky, brandy?

Shore był niskim, chudym mężczyzną koło pięćdziesiątki. Miał rzędniejącą czuprynę nieokreślonego koloru, wydął nos, bladobłękitne oczy i rude wąsy. Poruszał się zdecydowanie, sprężysto, a uścisk jego dłoni był mocny i krotki. Pomimo swej chudoci, z powodu której przypominał zagłodzonego niewolnika, znac po nim było niepospolita siła fizyczna i dynamizm. W rozmowach krącił się, spranych spodniach i gumowych butach przypominał pierwszych osadników Dzikiego Zachodu.

Whisky – powiedział Hoover. – Bez lodu

Rozglądał się wokół. Gabinet gospodarza był ogromny, wysoki, pełen skorzanych, przepastnych kanap i foteli, z ciemnym biurkiem, obrazami i bronią na ścianach. Na podłodze znalazły dla siebie miejsce cztery różne dywany. Nie było tu ani jednego nowoczesnego sprzętu, za to pod ścianą stały wielkie oszklone szafy biblioteczne pełne książek. W pomieszczeniu nie było okna.

Sam pan tu mieszka? – spytał inspektor przyjmując drinka.

Gospodarz skinął głową. Usiadł na fotelu naprzeciw Hoovera i nogą wsunął pomiędzy nich niski stolik. Upił mały tyk trunku i odstawił szklaneczkę. Inspektor nie poszedł w jego ślady, tyknął najpierw połowę i czując miłe ciepło, bawił się przelaczając szkło między dłońmi.

Sam – powiedział Shore. Założył obie ręce za głowę i swidrował inspektora swoimi bładymi oczkami.

Kawaler?

– Żona mieszka w Rainy City, ale wybiera się na End, a może dalej. Nie wiem dokładnie.

– Dzieci?

– Brak

– Pojedzie pan w ślad za żoną? – zapytał Hoover zły na siebie, że grzeźnie w prywatnym życiu tamtego.

Shore nie czuł się tym w najmniejszym stopniu zażenowany czy obrażony

– Nie. Tu jest moje miejsce, tu mam dom, który sam zbudowałem. Nie, nie chcę wyjeżdżać.

– Nie chce pan, czy nie może? – inspektor przypuścił atak.

– Co pan ma na myśli mówiąc: „nie może”? – zapytał spokojnie Shore.

– Stowarzyszenie. Jest pan przywódcą, Wielkim Wędzikiem. Nie sądzę, żeby mógł pan stąd wyjechać.

– Dlaczego nie?

– Nie puszcziliby pana.

– To niezupełnie tak. Pan nie rozumie – rzekł Shore podnosząc szklaneczkę.

Wypili obaj.

Właśnie po to przyjechałem. Żeby zrozumieć. Więc puszcziliby pana, czy nie? Ja twierdzę, że nie.

– Może ma pan rację... Tak, w pewien sposób.

– W pewien sposób?

– Ja czuję, że jestem im potrzebny. I oczywiście odwrotnie. Inaczej nie da się tego powiedzieć.

– Ale pan podobno jest szefem. Założmy, że wzywa pan do siebie swoich dziewięciu Wodników i mówi im, że wyjeżdża. I co się dzieje dalej?

Shore uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Nic. Po pierwsze nie wezwalbym ich, bo nikogo wezwać nie mogę. Nawet najmłodszego Adepta. To zresztą nie jest potrzebne. Przedzej oni mogą wezwać mnie.

Hoover zacisnął szczęki.

– A dalej? Gdyby jednak?

– Dalej? Jeżeli by wszyscy chcieli, żebym wyjechał i gdybym ja tego chciał – to tak.

– Chcieli, czy pozwolili? Nazywajmy rzeczy po imieniu!

– Chcieli. Ale ja nie chcę.

Inspektor westchnął, kotko się zamknęło.

– Zaczniemy jeszcze raz – powiedział z rezygnacją – jest pan szefem i...

– Panie Hoover! – przerwał mu gospodarz. – Niech pan zrozumie, że przykładam pan złą miarę! Nie jestem niczym „szefem”, jak pan to nazywa. Jutro może się okazać, że jestem jednym z dziewięćdziesięciu Smoków lub Adeptów!

– Degradacja? – zapytał żywo inspektor.

Shore wybuchnął śmiechem.

– Nic pan nie rozumie, drogi Inspektorze. Uważa pan stowarzyszenie – zostanmy przy tej nazwie, chociaż my się tak nie nazywamy – za formację typu wojskowego, hierarchicznego, trwałego jak piramidy i doskonale panu znanego. Zwłaszcza to ostatnie jest ważne, bo przez to ułożą się panu formy z treścią. Nie winię pana o to, bo nasza forma, forma „stowarzyszenia” sugeruje to. Jest „przywódca” – Wielki Wąż, są (w pana pojęciu) – „zaślępcy” – Wodnicy, dalej Smoki i Adepci. Słowem klasyczna piramida. Czyż nie tak?

Zgnębiony Hoover skinął głową.

– Właśnie. I tu tkwi błąd pańskiego rozumowania. Nie potrafi pan pojąć, że pod tą znaną formą kryje się twór całkowicie amorficzny. Jak plazma. Gdy zdjąć z niej foremkę, to rozlezie się we wszystkich kierunkach, a w nieważkości przyjmie kształt kuli – i dalej jest sobą, dalej funkcjonuje!

– Po co więc wam foremka?

– Nam? – Ależ inspektorze! Nam ona wcale nie jest potrzebna. To wy jej potrzebujecie i wtłoczyliście nas w nią. Wy jesteście tą formą!

– A pańskie stowarzyszenie to „treść”?

– Zaczyna pan rozumieć. Tak. Jak ten deszcz padający na zewnątrz. Ujęty w rowy, zbiorniki, rurociągi, rury, zdławiony zaworami, kranami i sitkami prysznicy na dachach jest tym samym deszczem. Mówi, że jestem przywódcą jakiegos stowarzyszenia, to to samo co twierdzić, że woda w garnku jest szefem deszczu tylko dlatego, że ona jest jedna, a kropel tysiące!

Zapadła cisza. Hoover wpatrywał się w Shore’a, a potem otrząsnął się jakby właśnie wyszedł spod owych „tysięcy kropel”.

– Pan jest szalony – powiedział spokojnie i z przekonaniem.

Shore podniósł się, wziął obie szklaneczki, dopełnił je alkoholem i wróciwszy wręczył jedną inspektorowi.

Woda? Dlaczego właśnie woda? – zapytał Hoover.

Lik whisky przywrócił mu jasność myślenia.

Mirosław Piotr JABŁOŃSKI

Urodził się w 1955 r. w Zakopanem, inżynier mechanik, ogrodnik warzywnik, kierownik zawodowy, były rzemieślnik, od niedawna absolwent Studium Scenariuszowego przy PWSFTiV w Łodzi. Autor trzech nie zakupionych scenariuszy filmowych

Znany jego dwie powieści: „Kryptonim Pisma” (Iskry, 1982) – częściowo wykorzystana przez P. Szulkińskiego w filmie „Ga, ga – chwata bohaterem”, i z programu III PR – „Schron”, oraz wspólny z A. Drzewińskim zbiór opowiadań „Postanie” (Nasza Księgarnia, 1987). W przygotowaniu w wydawnictwach powieści „Nieśmiertelny z Oxa” (GLOB) i „Trzy dni Tygrysa” (Iskry), oraz zbiór opowiadań „Czas Wodnika” (Iskry).

M. P. Jabłoński publikował w „Murcie”, „Problemach”, „Przeglądzie Technicznym”, „Piśmie”, „ITD” i „Fantastyce” (opow. „Wyliczanka” nr 7/85). Od 15 lat nie może niczego opublikować w „Młodym Techniku” nad czym bardzo boleje. Słuchowisko M.P.J. „Małkut” zostało zakupione przez IV program PR.

(mp)

- To proste - odparł Shore zakładając znowu ręce za głowę. - Woda to jest coś najbardziej naturalnego i od początku swego istnienia wtłoczonego w zbiorniki. Zbiorniki oceanów, mórz, jezior, et cetera. Woda to kłębek życia, słyszał pan o tym? Powstałe życie było równie wolne i amorficzne jak ona, potem zaczęło się wspinać na wyższe stopnie organizacji, później jeszcze wylało z trudem na ląd. A potem stworzyło sobie foremkę - cywilizację!

Inspektor odetchnął z ulgą. Był w domu. Nawet odczuł zawód graniczący z rozczarowaniem. A więc kolejna grupa propagująca powrót do natury i zwalczająca cywilizację w ogóle, a Rząd Federacji w szczególności! Zaczął szukać w myśli łagodnych środków prewencyjnych, gdy Shore odezwał się znowu.

- Chyba wiem, o czym pan myśli - powiedział. - Myli się pan. Nie jesteśmy kontestatorami, nie zamierzamy niczego rozwałać, nie chcemy cywilizacji wysadzić w powietrze. To nie ten etap. Jesteśmy już dalej, czy może wyżej. Oczywiście, podważamy od środka naszą foremkę - cywilizację, ale uwalniamy umysł, a nie ręce. Chcemy, by ludzkość stała się jak woda - amorficzna i jednolita. Wszyscy rządzą i nikt nie rządzi. Demokracja amorficzna - tak to nazwę na pana użytek, bo chyba musi pan złożyć jakiś meldunek czy sprawozdanie? Prawda?

Hoover skinął głową.

- Tak - powiedział. - Ale niestety muszę także zakazać wam dalszej działalności dopóki rzecz nie zostanie dokładnie zbadana. Pańskie poglądy uważam za wysoce niebezpieczne. Jeżeli dobrze zrozumiałem, zamierza zatrzymać pan rozwój cywilizacji, a nawet cofnąć ludzkość do stanu praameby!

- Zamierzamy dać ludzkości to, co sama utraciła. Po wiem inaczej, nie podważamy foremki, tylko zrywamy kajdany z naszych umysłów. Umysłów, powtarzam. Doskonaliśmy się, staramy wznieść na poziom, na którym cywilizacja pojmowana tak jak dotąd, cywilizacja techniczna, jest bez znaczenia. Niechże pan wreszcie zrozumie - do tej pory ludzkość była larwą, poczwarką - widocznie było to konieczne! - a teraz następuje przemiana w motyla. Motylowi niepotrzebny jest kokon!

- Motyl krótko żyje - przypomniał Hoover.

- Zgoda. Dla nas krótko. Ale i tak dłużej, niż trwa nasze istnienie wobec czasu wszechświata. A życie naszego motyla może trwać miliardy lat! Pan wie, że byli już wcześniej tacy, którzy dążyli do tego. Niech pan wspomni filozofie i religie Wschodu. Tajemne praktyki, medytacje, itp. Cała mitologia hinduska jest oparta na opowieściach o ludziach, którzy przez medytację (wedle legend trwających i tysiąclecia!) stawali się równi bogom. Można powiedzieć, że to byli nasi prekursorzy, choć tak naprawdę, to rzecz dotyczy ludzi, u których odzywały się relikwiny, atawistyczne cechy życia w morzu, cechy zgubione i stłamszone przez rozwój materialny, a nie duchowy. Ale powtarzam, może tak trzeba było, może najpierw ludzkość, a ogólnie wszelkie wysokorozwinięte życie musi zbudować sobie kokon i przeżyć w nim wszelkie plagi, by wreszcie móc rozwinąć skrzydła!

- Tamte systemy jednak upadły.

- Jak wszystko dobre, co przychodzi za wcześniej. Może jednak nie tyle upadły, co zostały przysypane gązłami cywilizacji. Pod spodem, pod warstwą cywilizacyjnego popiołu, tli się jednak cały czas żar. Pan wie, że na Ziemi po dziś dzień Dalaj Lama ma swych wyznawców i tajemnice Lhasy nie zostały zglebione? Pan przyleciał tu, na Ampis, ale równie dobrze mógłby pan zwiedzać Tybet czy hinduskie świątynie. Czemu im nie zakazuje pan działalności? Zresztą i nam nie ma pan czego zabraniać, bo nie prowadzimy żadnej działalności w pańskim rozumieniu. Nie agitujemy, nie rozrzucaamy ulotek, nie wysadzamy w powietrze pałacu gubernatora. Nic. Co prawda, spotykamy się od czasu do czasu, ale nawet i to nie jest konieczne.

- Telepatia?

- Coś w tym stylu. Może raczej empatia, bo i to polega

na przekazywaniu uczuć i stanów emocjonalnych, a nie myśli. My to nazywamy po prostu „czuciem”. Nie spotykamy się, tylko „czujemy”. Ale to najmniej ważne, to tylko wstęp. Czujemy, co myślą inni.

- Ja też? Czyta pan w moich myślach? - przeraził się Hoover.

- Oczywiście, że nie. W ogóle nie „czytamy w myślach”, jak pan to nazwał, a nasze czucie zachodzi tylko pomiędzy tymi, którzy tego chcą. Jeżeli ktoś nie chce mieć z nami nic wspólnego, to jego umysł jest dla nas zamknięty jak magnetyczny sejf. To sprawa dobrowolności, nie sądzi pan chyba, że budujemy boski świat przemocą.

- Były już precedensy.

Shore skinął głową.

- Wiem.

- Zastanawiam się - zaczął z wahaniem inspektor - dlaczego pan mi to wszystko mówi? Tak otwarcie? A może to nie jest wszystko, może to tylko pierwsza warstwa, pod którą czają się kolejne „prawdy”? Taka „cebula” dla przyglupich inspektorów Federacji?

- Pan sądzi wszystko i wszystkich po sobie. Po pierwsze wiem, że nawet jeżeli nie pan sam w tej chwili, to Federacja jest w posiadaniu środków, które wydobędą z każdego każdą prawdę. Nie gram jednak na zwłokę, mówię z panem szczerze z tych samych przyczyn, o których już wspominałem. Nic nie budujemy na przemocy, lub fałszu. To słabe fundamenty, wzniesiony na nich choćby najsolidniej gmach, zawsze się w końcu rozleci. Zresztą, nie musiał pan wcale rozmawiać ze mną. To samo powiedziałby panu każdy Adept. Zaoszczędziłby pan sobie drogi. Pan po prostu odcisnął na mnie formę „mojego przywództwa”.

Hoover zamarł. Zdawało mu się, że nareszcie odkrył słaby punkt.

- Nie sądzi pan - zaczął ostrożnie - że to co pan proponuje, zaprowadzi ludzkość do zguby? Do zatury? Posłuchaj się pańskim porównaniem z wodą. Wszak takie amorficzne społeczeństwo jeden człowiek, lub jedna istota, może ująć w karby. Jak wodę. Kazać jej płynąć betonowym korytem i obracać łopatką generatorów. Za darmo. To samo z pańskimi ludźmi. Widzę społeczeństwo doskonałych niewolników. Doskonałych, bo nie wiedzą, że są niewolnikami i dlatego się nie buntują! A chyba pan słyszał o odkryciu Obcych? Czy nie sądzi pan, że stworzył pan tutaj „piątą kolumnę”? To woda na ich młyn - że powiem dosadnie i obrazowo.

Shore uśmiechnął się.

- Myśli pan wciąż tymi samymi, ciasnymi kategoriami. Obcy to też woda. Inna, ale woda.

Hooverowi opadła szczeka.

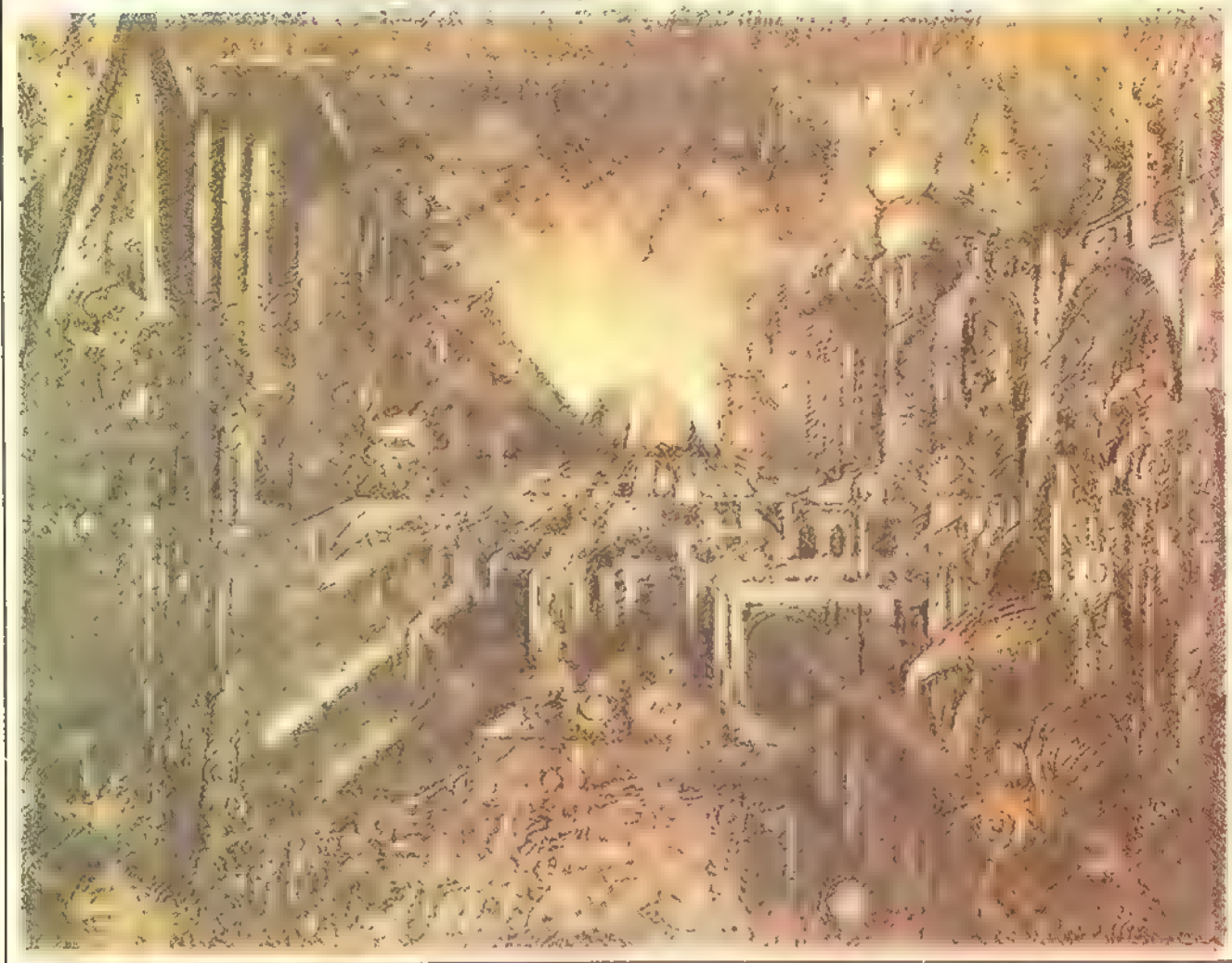
- Utopia - wyszeptał. - Utopić się można!

- A poza tym - ciągnął Shore nie zważając na oszołomienie inspektora - woda może też być groźna. Wie pan, jak wygląda powódź lub przerwanie tamy? Nikt wtedy nie odmawia wodzie siły i niszczycielskich zdolności.

- Do tego jednak potrzebna jest „forma” - otrząsnął się Hoover. - Ktoś musi pokierować, spiętrzyć, ująć w koryto. Musi być przywódca wydający rozkazy. Kto? Pan?

- Nikt. Albo potrzeba. Warunki zewnętrzne. Ktoś, kto chce odcisnąć nową formę. To powoduje, że pojawia się reakcja, ciśnienie, napór. Boi się pan, że staniemy się niewolnikami kosmitów? Żeby tak było, muszą ująć to nasze nowe społeczeństwo w ramy. To forma. My te ramy zerwiemy. To treść. Każdy układ hierarchiczny, jakiego pan jest reprezentantem, zagorzałym wyznawcą i ordynikiem, jest do zburzenia. Jak piramida, z której wziął wzór. Z trudem, ale można ją rozbić. Układu amorficznego nie. Nie „zburzyć” pan oceanu, nie zniszczyć chaosu. To prawo natury - entropia stale wzrasta, chaos rośnie, a my cały czas staraliśmy się działać na przekór - porządkować i budować. Chcieliśmy przeciwdziałać niepodważalnemu prawom natury. Zamiast brać z niej przykład. To nie logiczne, stąd nasze niepowodzenia.

Jan Grabowski



- A my? A człowiek? Przecież nie można istnieć bez formy?

- Kto to wie? Może człowiek to forma przejściowa do... bo ja wiem, skupisk wolnej woli? Człowiek też idzie na przekór entropii i płaci za to śmiercią, którą jest naznaczony od poczęcia. Wysoka organizacja stworzona kosztem skomplikowanej sieci i dużej energii musi się kiedyś rozpaść. My robimy dopiero pierwszy krok, nie wiemy co będzie dalej, podejrzewamy tylko: Wier „medytujemy”, pracujemy, niczego nie burzymy, bo i tak samo zniszczymy, a nawet budujemy, bo kokon ciągle jeszcze jest potrzebny. Jesteśmy poczwarkami, a tu, na Ampis zaczął się proces przemiany. Ja na niego czekam. Wie pan, ile mam lat?

- Piecdziesiąt? - zaryzykował Hoover.

- Osiemdziesiąt pięć - wyznał Shore. - To koprata. Odmładza. Ja zaczekam.

VI To wszystko bzdury, szalenstwo i rojenia chorego umysłu - myślał Hoover przewracając się po postaniu i daremnie starając się zasnąć.

Pomimo zmęczenia sen nie nadchodził. Inspektor był tak poruszony rozmową ze Shorem, że myśli kłębiły się w nim jak wir wodny.

Co, do cholery, z tą wodą? - zdenerwował się. Czy ja też już zwariowałem? To ta przeklęta planeta, ten deszcz. Boże jedyny! Od samego deszczu padającego latami bez przerwy można oszaleć, a co dopiero w takim zakazanym miejscu! Tych wszystkich ludzi trzeba leczyć. Wyłapać, wywieźć w jakieś suchsze miejsce i samo im prze-

dzie! Byle nie mieli za dużo kontaktów z wodą. Z piaskiem też nie! Bo to podobne, jak każde przeciwieństwo, a poza tym piasek stanowi równie wdzięczny obiekt do porównań. Gotowi jeszcze pozamieniać się w wydmy!

Uspokajał się w ten sposób, lecz czuł, że nie o to chodzi. Nie szalenstwo ogarnęło tych ludzi, tak jak nie uważał za szaleńców wyznawców różnych praktykowanych jeszcze religii. To było coś podobnego. Wiara. Wiara zaprawiona domieszką w nowy sposób pojmowanego adwentyzmu, masonstwa i naturalnej filozofii. Pomimo zapewnień Shore'a czuł pod tym wszystkim wywrotowe zapędy. Nie wierzył mu.

„Niech pan się sam przekona” - powiedział plantator. „Niech pan otworzy swój umysł, pozwoli czuć innym, i sam niech pan czuje”.

Hoover przeraził się wtedy. Nigdy! Uznał propozycję za bezwstydną. Miałby pozwolić, by inni ludzie, obcy i niebezpieczni, najpewniej wrogowie Federacji, której był jednym z milionów strażników, mieli dostęp do jego mózgu! Do jego wiedzy, tajemnic służbowych? Mieliby wpływać na niego, by zaraził się tym samym niebezpiecznym szalenstwem? Nie.

A jednak leżąc teraz w jednym z pokoi niesamowitego domu Shore'a czuł obrzydliwie pociągającą chęć spróbowania, sprawdzenia na sobie samym, jak jest naprawdę. Co jest tą prawdą. W pewien sposób było to nawet jego obowiązkiem, bo inaczej nie mógłby złożyć obiektywnego meldunku. Czy jednak po takim doświadczeniu jego sąd pozostawałby nadal bezstronny? Bardzo w to wątpił. I bał się. Bał się, że wtedy nie byłby już sobą. Buntował się przeciwko propozycji plantatora, bo była przeciwna całej historii ludzkości, której i Hoover był spadkobiercą.

Wstał. Przeszedł się po bezokiennym pokoju. Dotknął ściany i wstrząsnął nim dreszcz. Nie wiedział dlaczego. Ściana nie była wilgotna ani specjalnie zimna, wewnątrz niej szły rury ogrzewające. To raczej jego wyobraźnia podsuwała mu widok wielkiego, betonowego, bezokiennego bloku o zaokrąglonych kantach i płaskim dachu, po którym ciągle spływają tony wody. Inspektorowi wydało się nawet, że słyszy jak ta lepka ciecz spływa z szelestem po ścianach. Jak się tam ślini i mlaszcze.

Przemierzył jeszcze raz pokój i wrócił na posłanie. Położył się i przykrył. Był zdecydowany. Zdecydował się, chociaż wszystko się w nim bunlowało przeciwko uznaniu, że ten zwariowany Shore może mieć rację. Przeciw niemu świadczyło wszystko – cały z trudem wzniesiony gmach jego wiedzy, wielusielletnia praktyka, wychowanie, dążenia, marzenia, a nawet wiara. Nawet ludzkie niebo miało strukturę hierarchiczną. I nagle okazuje się, że to z czego ludzkość była tak dumna, jest jedynie okresem przejściowym, prowadzącym ku wyższemu szczytom.

Hoover przewrócił się na bok. To, że podjął decyzję, choćby nawet miała okazać się błędą, uspokoiło go na tyle, że mógł próbować zasnąć.

Rano, gdy zjawił się w jadalni, plantator kończył śniadanie. Przywitani się.

– Dobrze, że pan wstał – powiedział Shore. – Chciałem zapytać, kiedy zamierza pan wracać? Nie wypraszam pana, ale nie mogę dotrzymywać mu towarzystwa. Mam robotę, nazwijmy ją połową, choć to raczej zajęcie dla nurka. Jeżeli zamierza pan zostać u mnie na dłużej, to może się pan „okopać” w domu lub zapraszam ze sobą. Nie jest to, co prawda, zbyt interesujące i można nieźle zmoknąć, ale zawsze stanowi jakąś rozrywkę.

– Chętnie pójdę z panem, jeżeli to nie przeszkadza.

Hoover pośpiesznie zjadł śniadanie, ubrał się według wskazówek plantatora i ruszyli do wyjścia. Jednak Shore poprowadził inspektora nie w stronę podjazdu, na którym został krążownik szos Romy Rolison, lecz do podziemi swego bunkra i w przeciwnym kierunku. Znaleźli się w czymś w rodzaju wewnętrznej przystani, betonowej, wilgotnej i ponurej. Stąd Hoover po raz pierwszy zobaczył jak wygląda dzień na Ampis. Nie był to miły widok.

W szarym, męczącym półmroku rozjaśnianym przez nieliczne lampy mieszczące się w betonowych niszach wsiedli do łodzi uzbrojonej w przedziwne oprzyrządowanie. Jego zastraszenie Hoover miał poznać dopiero za dobrą chwilę. Płaskodenna łódź zabuczana silnikiem i wypłynęła na „pole” kopraty. Shore włączył reflektory i wycieraczki rozmazujące wodę po szybach nadbudówki, dzięki czemu Hoover po raz pierwszy w miarę wyraźnie zobaczył tajemniczą roślinę. Nie była imponująca i chociaż przywieziona z odległej planety, zdawała się nieodłącznie należeć do Ampis. Czarne, sekate i pokrzywione jak palce rachityka galezie ozdobione seledynowymi listkami wyrastały prosto z wody. Shore zatrzymał łódź i inspektor zobaczył wtedy jeszcze coś. Z większości rozgalezień zwisały się moknące na deszczu ciemne, dosyć grube i geste nici. Cały krzew sprawiał upiorne wrażenie, a ich plantacja mogła wstrząsnąć najodporniejszym miłośnikiem horrorów. Inspektor nie zaliczał się do nich.

– Zbieracie te listki? – spytał Hoover, żeby w ogóle coś powiedzieć, i głośno, z wysiłkiem przełknął ślinę.

Shore włączył silnik i najbliższe krzaki wyciągnęły po nich swe gruzłowate rece topielców. Galezie skrobneły po nadbudówce. Hoover zamknął oczy.

– To nie są listki – wyjaśnił Shore. – To kwiaty. Koprata właśnie zaczęła kwitnąć. Za miesiąc, dwa nie poznałby pan plantacji. Wszystko tu będzie seledynowe, nawet woda, bo w niej się będą odbijać kwiaty. Każdy ma około pół metra średnicy i podobny jest do goździka. Wtedy je zbieramy. A liście, to owe „nici”, które jak zauważyłem, nie zrobiły na panu najlepszego wrażenia.

Hoover chciał odruchowo potwierdzić, ale ugryzł się w język.

Płyneli więc w milczeniu po „lesie topielców”, jak inspektor nazwał w myślach plantację i nie było widać końca uprawom. Co jakiś czas drogę zagradzała im ziemna grobla niosąca na sobie drogę podobną do tej, którą wczoraj nadjechał Hoover i dzieląca teren na szachownicę płytkich basenów. Wtedy Shore zatrzymywał łódź, z jej burt wysuwało się sześć metalowych, szczudlastych nóg i pojazd przekraczał przeszkodę. Inspektor dziwił się takiemu rozwiązaniu do chwili, gdy przybyli na miejsce i okazało się, że „nogi” nie służą wyłącznie przekraczaniu grobli, ale są napędem podczas pracy. Shore oczyszczał spory akwen ze starych krzewów. Polegało to na tym, że specjalny siłownik, tak zwana łapa śmierci zamocowana na rufie łodzi wyrzucała krzaki z podłoża. Szło to dosyć opornie i łódź musiała być podczas tego zabiegu stabilnie zakotwiczona. Czasami nie dawało się jednak wyrwać jakiegoś bardziej wyrosniętego „topielca” i Shore, w gumowym stroju, wskakiwał do wody sięgającej mu do pasa i zakładał pod korzenie mały ładunek wybuchowy. Wracał na łódź, detonował ładunek i „topielec” wylatywał w powietrze.

– Nie używamy tu kół ani gąsienic – odpowiedział Shore na nie zadane pytanie inspektora. – Dla dojazdu są zbyt powolne, a na plantacji niszczą ziemię, ubijając ją za bardzo.

Hoover skinął głową. Miał dosyć i nic go to nie obchodziło. Obiad zjedli w ciasnej nadbudówce łodzi, która najwyraźniej była przeznaczona dla jednej osoby. Potrącali się co chwilę łokciami, rozlewali napoje i przepaszali co kilkanaście sekund.

Po obiedzie nic się nie zmieniło. Shore nadal wyrzucał swoje krzaki, a Hoover mając dość jego milczącego towarzystwa wyszedł na pokład. Stał pod małym daszkiem nadbudówki i patrzył na pracującą „łapę śmierci”. Co jakiś czas Shore nie patrząc na niego wyskakiwał z łodzi do wody i zakładał ładunki. Wybuch, mlaszczące bicie wody o burty, kołysanie i spokój. Potem znów kilka kroków i operacja się powtarzała. Shore już za każdym razem musiał zakładać ładunki, bo dotarli do najstarszych krzewów. Tempo pracy spadło i Hoover zaczął się zastanawiać, czy nie pomóc plantatorowi choćby w prowadzeniu łodzi, by nie musiał za każdym razem wracać za ster, gdy po kolejnym wybuchu coś uderzyło go w ramię. Niezbyt mocno. Popatrzył odruchowo na ramię, a potem poszukał wzrokiem wokół siebie. Jest. Koło jego obutych w gumowce nóg leżał odlamany wybuchem kawałek galezi. Nie dłuższy niż pięć cali. Hoover schylił się, podniósł znalezisko i przyjrzał mu się ciekawie. Zanim jeszcze na dobre zrozumiał co widzi, żołądek podjechał mu do gardła. Czarny, krótki i lekki patyk miał różowojasny przełom, w którym perliły się czerwone kropelki soków rośliny. Z obu końców odlamanego fragmentu zwisały, czy też może – jak się wydawało Hooverowi – wily się białe włókna kojarzące się nieodparcie z nerwami. Stał mu przed oczami chodnik z kopraty. Rucił historycznym gestem ułomek za burtę i sam za nią zwymiotował. Teraz rozumiał, dlaczego hydrauliczny siłownik nazywa się poetycznie „łapą śmierci”. Zrzucił z głowy kaptur pozwalając, by deszcz zmoczył mu głowę. Umył twarz i wrócił do sterówki.

– Niech pan wchodzi do wody – powiedział do Shore’a. – Poprowadzę łódź.

VII Wieczorem siedzieli w jadalni wielkiego domu. Skonczyli posiłek i przeszli do gabinetu Shore’a. Plantator napelnił kieliszki, nie pytając już Hoovera, co podać.

Jutro rano wracam – powiedział inspektor pociągając pierwszy łyk.

Shore skinął głową.

– Dziękuję za pomoc. Sam nie skończyłbym dzisiaj.

Hoover nie odpowiedział, wołał nie rozwijać tematu.

- Chciałem też powiedzieć, że zdecydowałem się.

Shore podniósł brwi w geście wyrażającym uprzejme zdziwienie i umiarkowaną ciekawość.

Zdecydowałem się spróbować - brnął dalej inspektor - czuć. Nie wiem tylko, jak to zrobić. Chciałbym, żeby pan jako Wielki... to znaczy, żeby mi pan wyjaśnił co mam robić.

- Nic. Jeśli pan naprawdę chce, to nic więcej nie trzeba robić. Ale ponieważ to pierwszy raz, więc dam panu radę: proszę iść do swojego pokoju i położyć się lub usiąść wygodnie. Na początku, żeby nawiązać kontakt, potrzebne jest odosobnienie i zamknięcie, brak wszelkich dźwięków i widoków. Potem to bez znaczenia, chociaż izolacja wzmacnia doznania.

Hoover potoczył wzrokiem wokół

- To dlatego - powiedział.

Plantator skinął głową

- Właśnie. A dalej już nic. Jeżeli się pan odreaguje, uwolni od zahamowań, poczuje pan. I to wszystko.

Hoover bez słowa dopił swoją whisky i ruszył na górę. W pokoju nie zdejmując ubrania ułożył się wygodnie na posłaniu. Przymknął oczy. Czuł lekkie napięcie i zdenerwowanie, które rosło wraz z tym, jak myślał, że to właśnie ono przeszkodzi mu w kontakcie. Nie bardzo wiedział, jak ma sam sobie pomóc. Zaczął równo oddychać i rytmicznie naprężać mięśnie jak w treningu izostatycznym. Przerwy pomiędzy kolejnymi skurczami robił coraz dłuższe, aż wreszcie poczuł, że jest pusty i spokojny. I w tej pustce coś się wykreowało. Nie wiedział jeszcze co, bo niewyraźne. Pierwsze doznanie przypominało musnięcie skóry skrzydłem motyla.

Dlaczego właśnie motyla? - zastanowił się. - Kto mówi o motylu?

Drugie wrażenie było wyraźniejsze i zdecydowanie nieprzyjemne. Nieprzyjemne, bo po raz pierwszy odczuł w sobie obecność kogoś innego. Nie jednego, kilku istnień. Przeraził się, zastanowił, czy nie pora się cofnąć. Potem może być za późno i goście pozostaną w nim na zawsze. Wrażenie momentalnie minęło. To go uspokoiło, pomyślał, że w razie potrzeby zawsze może się wyłączyć. Mimo orzekiwania i spokoju wrażenie nie wracało.

Zastanawiają się - pomyślał

Zaczął sobie wyobrażać wodę - równy jak stół, jednorodny ocean otaczający planetę. Ślizgał się po jej mokrej powierzchni nie mogąc w nią wniknąć. I nagle zanurzył się. Krzyknął z przestachu i bólu. Poczuł w sobie już nie kilka istnień, ale setki. Wrażenie było nie do opisanie i opanowania, jak orgazm i jak śmierć. Po pierwszych skurczach psychiki przyszło rozkołysane uspokojenie, obce jawnie rozgłosy się w nim nie przekształcając sobie wzajemnie. Na razie czuł jedynie ich obecność, czuł w całkowitej ciemności, że nie jest sam, a właściwie, że jest jednocześnie częścią i całością, mieścił w sobie wszystkich i sam był wchłonięty przez setki umysłów. Poczuł, że jego zachwyt był też ich udziałem. Zaniepokoiło go to. Czyżby dlatego? Czy to stowarzyszenie wampirów polujących na takie psychiczne dziewice jak on?

Wrażenie bliskości nieco zbladło, zrozumiał, że wszystkie jego wahania i wątpliwości zamykają mu drogę w głąb. Musiał oddać bez reszty i przyjąć bez reszty. Gdy to zrobił, zaczął widzieć. I to nie ponury ciemny pokój, w którym ktoś leżał na posłaniu z zamkniętymi oczyma, tylko pochmurny dzień plantacji kopraty po drugiej stronie planety, czuł wodę i ładunek wybuchowy w ręce, ładunek na długiej, ostrej, aluminiowej żerdzi przypominającej oszczep. Wbił ją głęboko pod korzenie jednocześnie tańcząc w nocnym lokalu Rainy City z atletycznym, lysiejącym blondynem. W pałacu gubernatora łączył rozmowę z namiestnikiem Endu, gdy z hukiem wywaliło mu oponę na drodze do Rainy Village, gdzie czekała na niego żona z kolacją. Poczuł pieczenie ręki, gdy sparzyła się promiennikiem. Umierał na resid w nedz-

nym szpitaliku w osadzie plantatorów, a zaraz potem poczuł pierwszą rozkosz młodzieńczej dziewczyny i usłyszał oklaski jakimi nagrodzono go w teatrze „Rainbow” przy Rainbow Street w stolicy. Tępy ból rozdarł mu nagle miednicę, spojrzał w dół, dziecko było mokre i okrwawione, laskotało mu pierś gdy ssało, popił więc tykiem whisky na dole w gabinecie, i wyrznął w pysk Scopolicky'ego, z którym szamotał się na ulicy. Nagle, jakby ktoś przekreślił włącznik, znalazł się gdzieś daleko i wysoko. Niczym bóg spoglądał z wyżyn na tysiące gwiazd i planet, a na każdej ktoś umierał, był, kochał, pracował... Zrozumiał, że jest Nadjaznią, która choć powstała ledwo z tysiąca umysłów, to może sięgnąć poza zasłone tajemnicy poznania. A gdyby wszyscy... Zrozumiała, że miała rację, gdy sprzeczała się wczoraj sama ze sobą na temat wyższości wody na piramidę. Wszelki świat ciągle się rozszerzał, bezwład rości, należało za nim podążać, rozpelznąć się do jego granic. Piramida tego nie potrafi, nawet przesuwanie wciąż dalej i dalej małych piramidek granicznych, wyznaczających obszar poznania i władzy (co do tej pory robiono) nic nie da. Trzeba się rozlać od krawca do krawca, a potem przecieknąć, czy przeleć do innego kosmosu!

Miała rację - pomyślała Nadjazń. - Jeszcze jestem za mała, za słaba by ogarnąć sobą wszystko. Za słaba, by zatopić Wielką Piramidę. Rozpuszczę ją powoli w sobie, kamień po kamieniu, głaz po głazie. Jest człowiek, który może mi w tym przeszkodzić, mały kamyczek, który nazywa się Edwin Hoover i jest jednym ze strażników Wielkiej Piramidy. Jego pierwszego chce wyrwać z jej fundamentów!

VIII Hoover rozsiadł się wygodnie w swoim pokoju w hacjendzie na Plahoo i czekał na połączenie z Akado. Nawet się nie rozebrał, miał nadal na sobie te same gumowe buty, w których odleciał z Ampis.

A to pan, inspektorze! Już pan wrócił?

Hoover uśmiechnął się do hologramu szefa.

- Własnie.

Bezceremonialnie zaczął z mozołem ściągać wysokie buty, aż poczerwieniał na twarzy z wysiłku.

- No i co? Chce pan złożyć meldunek?

- Tylko notatkę - wysapał Hoover. - Nie ma po co pisać raportów. Miał pan rację, tam się nic groźnego nie dzieje, a gubernator jest zbyt nerwowy. Uspokoiłem go. Kilku plantatorów kopraty, jak pan wie głównego składnika wszelkich leków i odżywek odmładzających, śni o nieśmiertelności. Trudno się dziwić, że wariują, bo loną w deszczu i nie mają na co wydać zarobionej ciężko forsy. To wszystko.

- Dobra - westchnął Akado. - W nagrodę za pomyslnie wieści może pan dokończyć urlop.

Akado zniknął. Hoover posłał chwilę boso na środek salonu, potem włożył na powrót te same buty i pomaszerował do pawilonu z narzędziami. Wyjechał stamtąd małą koparką i zabrał się do pracy. Przez trzy godziny wrzucał ziemię do basenu, aż jej warstwa sięgnęła prawie do sufitu. Potem wszedł tam z łopatą, wyrównał ziemię i wyjął z kieszeni pojemnik z nasionami kopraty otrzymanymi od Shore'a. Nasiona wysiał w równych rzędach i wrócił do koparki, by je przyrzucić cienką warstwą gleby. Potem odkręcił zawór wody i poszedł coś zjeść.

Po obiedzie woda stała niemal równo z brzegiem basenu i Hoover zamknął jej dopływ. Deszczownicę, agregaty chłodzące i tunel zaciemniający nad basenem postanowił zrobić w najbliższych dniach. Nie musiał się śpieszyć, zanim krzewy urosną ponad lustro wody, minie kilka tygodni. Popatrzył na swoje dzieło. Był zadowolony.

Może to śmieszne, ale postanowił żyć najdłużej, jak tylko się da.

Mickiewicz

Adam

(1798–1855)

Poeta, prozaik

Jrodził się 24 grudnia 1798 r. w Zaosiu pod Nowogródkiem. Studiował na Wydziale Literatury Uniwersytetu Wileńskiego. W latach 1819–1829 uczył historii, literatury i prawa w szkole powiatowej w Kownie. Był współzałożycielem Towarzystwa Filomatów (1817). Pierwsze wiersze programowe ogłaszał w początkach lat dwudziestych (m.in. „Oda do młodości”, „Pieśń filomatów”). W 1822 r. wydał w Wnie tom pierwszy „Poezji zawierający „Ballady i romanse” oraz „Wiersze różne”. W 1822 r. ukazał się drugi tom „Poezji”, „Grażyna” oraz „Dziadów” część II i IV. Aresztowany za udział w tajnych stowarzyszeniach i propagandę patriotyczną (1823) został uwięziony w klasztorze bazylikańskim wileńskim. Jesienią 1824 r., skazany na zatrudnienie w szkolnictwie w centralnych guberniach Cesarstwa Rosyjskiego, opuścił Litwę. Po trzymiesięcznym pobycie w Petersburgu został skierowany do Odessy (w 1826 r. ukazały się jego „Sonety krymskie” – refleksje z wycieczki na Krym). Lata 1825–1828 spędził w Moskwie, zatrudniony formalnie w kancelarii generała-gubernatora, nawiązał liczne przyjaźnie ze środowiskiem rosyjskiej elity intelektualnej (Puszkina, Połewoj, Wołkowskiego). W 1829 r. wydał „Konrada Wallenroda”, w rok później opublikował „Poezję” (I 1–2). W 1829 r. opuścił Rosję udając się w podróż po Europie. Był w Berlinie (słuchał m.in. wykładów Hegla) w Dreźnie (gdzie poznał generała Kniaziewicza), w Pradze, w Karlsbadzie (tu spotkał się z E. Odyncem), w Bonn, wreszcie w Rzymie gdzie został wprowadzony do salonów arystokracji poznając m.in. przyszłego Napoleona III. W 1830 r. wyjechał do Szwajcarii, potem wrócił do Rzymu i tu dotarła do niego wiadomość o wybuchu powstania. W 1831 r. przedostał się do Wielkopolski, ale wobec klęski zryw niepodległościowego zaniechał dalszej podróży. Powrócił do Dreźnie, gdzie napisał m.in. trzecią część „Dziadów” 31 lipca 1832 r., wraz z grupą emigrantów, przybył do Paryża. Tu, z niewielkimi przerwami, przeżył resztę życia. Nie wiązał się z żadnym ze stronnictw emigracyjnych. Swoje przekonania zawarł w „Księgach narodu i pielgrzymstwa polskiego”. Od kwietnia do czerwca 1833 r. był redaktorem i głównym publicystą „Pielgrzymstwa Polskiego”. W 1834 r. opublikował „Pana Tadeusza”, od listopada 1839 r. wykladał literaturę łaciną w Akademii w Lozannie, jednak mimo sukcesów na tym stanowisku jesienią 1840 r. wrócił do Paryża obejmując katedrę literatury słowiańskiej w Collège de France. Kierunek polityczny wykładów (opozycyjny wobec monarchii lipcowej) oraz propaganda towarzysząca spotkały się z ostrą krytyką prasy polskiej i francuskiej. W 1844 r. władze zawiesiły Mickiewicza w czynnościach profesora. W 1848 r. przybył do Rzymu z zamiarem pozyskania Piusa IX dla swych idei. W przededniu Wiosny Ludów zebrał kilkunastu ochotników jako zwiazek legionu którego cele ideowe ogłosił w „Słku dziei zasad” (1848). Wraz z przedstawicielem

mi lewicy francuskiej założył w Paryżu dziennik „La Tribune des Peuples” („Trybuna Ludów”), był jego redaktorem i publicystą. Szanse rewolucyjnej przebudowy Europy łączył z żywotnością idei napoleońskiej. Po zamachu stanu w 1851 r. został usunięty ostatecznie z katedry. W 1852 r. otrzymał skromne stanowisko w Bibliotece Arsenalu. Po przystąpieniu Francji do wojny krymskiej (1854) udał się do Turcji, aby wesprzeć akcję formowania legionów polskich do walki z Rosją. Zmarł nagle, najprawdopodobniej na cholerę 21 listopada 1855 r. w Stambule. Pochowany w Montmorency we Francji – w 1890 r. jego zwłoki przeniesiono do sarkofagu w katedrze wawelskiej.

Adam Mickiewicz jest autorem traktatu noszącego nazwę „Historia przyszłości”, prekursorskiego wobec osiągnięć europejskiej fantazji naukowej. Niestety, z całego dzieła dochoowało się do dziś zaledwie kilka kart przechowywanych w Bibliotece Polskiej w Paryżu. Autor, za namową przyjaciół, zniszczył swoje rękopisy – ich publikacja mogła zaszkodzić sprawie polskiej, jako że traktat usłanawiał nader odważną wizję przyszłości, rozbieżną z ówczesną sytuacją społeczno-polityczną. Jak udało się ustalić istniało kilka wersji utworu. Pierwsza powstała w Petersburgu w 1829 r. (rękopis zaginął – jego treść znamy z informacji przyjaciela poety – Odyncy), druga wersja powstała w Paryżu i Dreźnie, pisana w latach 1831–1835 (podobno została spalona w 1833 r. – jest to tzw. redakcja pierwsza), trzecia wersja stanowiąca „Wyjętek z listu do jednego z redaktorów” została ogłoszona w języku polskim w „Pielgrzymie Polskiej” 28 czerwca 1833 r., czwarta wersja powstała po napisaniu „Pana Tadeusza” w latach 1834–1835 (tzw. redakcja druga – rękopis zniszczony), fragment piąty – zachowany w autografie (właściwie dwa fragmenty: krótszy i dłuższy) – stanowi własność Biblioteki Polskiej w Paryżu, szósta wersja – znana z redakcji Jana Scovaziego – przekazana Władysławowi Mickiewiczowi, powstała około 1842 r. (rękopis został spalony), wersja siódma to „Improvizacja na temat przyszłości według opowiadania S. Gałęziowskiego”.

Wiadomość o tytule utworu zawdzięczamy Antoniemu Odyncowi. On też informuje o założeniach pierwszej wersji „Historii przyszłości”. Obserwacja konkretnych osiągnięć współczesnej wynalazczości, pierwszych prób technicyzacji życia doprowadziła Mickiewicza do oryginalnego obrazu przyszłych czasów, w których człowiek przezwycięży czas i przestrzeń i nawiąże komunikację międzyplanetarną. Autor traktatu zdawał sobie sprawę z roli komunikacji kolejowej stąd też jego Europa zostaje pokryta siecią „kolei żelaznych które przemienią postać świata”. Dzięki nim, a także dzięki „olbrzymim statkom”, przemierzającym oceany, dojdzie do powstania instytucji międzynarodowych targów („Opowiadał Mickiewicz o całych miastach domów i sklepów budowanych z żelaza na kółkach, a pędzących po kolejach żelaznych ze wszech stron ładu na jarmark pod Łuboną, dokąd znowu ocean, w olbrzymich okrętach przynosi plody innych części świata”). Pojawiają się w jego prognozie „archimedowe zwierciadła ustawione na ogromnych przestrzeniach w ten sposób, że ogniste litery, odbite w pierwszym, w oku ogniemu odbijane są w ostatnim”; olbrzymie teleskopy, „przez które z balonów można całą Ziemi obejrzeć a z Ziemi widzieć

co dzieje się na jej satelitach”; akustyczne przyrządy za pomocą których „siedząc spokojnie przy kominku w hotelach, można słuchać dawanych w mieście koncertów lub wykładów lekcji publicznych”.

Traktat Mickiewicza wyprzedza o wiele lat fantastyczne prognozy Verne’a, ale jest również nader odważny w ocenie przemian społecznych i świadomościowych. Autor „Historii” okazał się głębokim realistą do strzegającym istotne uzależnienia pomiędzy osiągnięciami nauki, techniki i przemysłu a typem psychicznym wytwarzającego je człowieka, jego charakterem, postawą, moralnością, kulturą. Racjonalna wizja przyszłości nie zyskuje całkowitej aprobaty Mickiewicza. Postęp techniczny, rozwój przemysłu budzą obawę że ułatwione życie i komfort doprowadzą człowieka do jednostronnego rozwoju. Po pierwsze pograży się on w kult rozumu i materializmu, tracąc zdolność do porywu ideowego, po drugie – w gnusność, egoizm, obojętność które zdecydowały o bezbronności całych społeczeństw nie przygotowanych na odparcie ataku innych zbiorowości zachowujących się wole pragnienie przekształcania świata. Przewiduje Mickiewicz gigantyczne starcie Azji z Europą, najazd na Europę Chińczyków, który odeprze Polska, ratując przed zagładą kulturę zachodnioeuropejską. Zwycięską bitwę nad Wisłą słoczy wódz kobieta (nowa Emilia Plater), stojąca na czele niewiast i młodzieży, jedynego oddziału społeczeństwa, który nie wyżył się uczucia poświęcenia i heroizmu.

Traktat Mickiewicza jest nie tylko utopijnym obrazem przyszłości, ale także historią. Opisana wizja została ujęta z pozycji spraw należących już do przeszłości. Narrator wypowiada swoje kwestie w trzecim wieku przyszłego tysiąclecia. On sam jest historykiem a jego dzieło – historiografią. Wyjściowa sytuacja fabularna przypada na rok 2000, dwa dalsze rozdziały przedstawiają obraz lat 2100–2200. Tworzy w ten sposób Mickiewicz nowy gatunek literacki, „imaginary history” i to na długo przed analogiczną koncepcją Herberta Wellsa. Na genezę pierwszej wersji „Historii przyszłości” wpłynęła być może, lektura technicznej utopii T. Butharyna. Prawdopodobnie niebylicy niestrastowanie po świecie w dwadzieścia latem wiek” (druk w 1824 r. w „Literaturnych Listkach” XVIII–XX, XXIII–XXIV). Wizja Polski ratującej Europę przed zagładą jest śladem mesjanistycznych zainteresowań poety, ale także rodzajem literackiej „odpowiedzi” na zdławienie powstania listopadowego. Stosunkowo najciekawsza jest sama koncepcja „zagrożenia ze Wschodu” – na najeźdźców wybrał Mickiewicz Chińczyków, choć ówczesne Chiny nie były silne pod względem politycznym i były uzależnione od Anglii. Tworząc rodzaj „prognozy katastroficznej” dał wyraz pewnym możliwościom rozwojowym na szerszą skalę w literaturze i filozofii XIX-lecia (przemyslenia Spenglera, Znanieckiego, Dzieduszyńskiego, scjentyficzne „opowiesci o wojnie” w wydaniu Umiastowskiego, Barszczewskiego, Marczyńskiego, twórczość Stanisława Ignacego Witkiewicza).

Druga wersja „Historii przyszłości” nawiązuje do publicystycznej fazy utopii oświeceniowej narracją przybiera postać historycznego opisu woltenańskiego. Autor ukazuje sytuację polityczną we Francji po obaleniu rządów Ludwika Filipa. Europa zostaje ogarnięta rewolucją. Republikańskie dostają się w kleszcze dwóch armii mo-

narchistycznej i wojsk sfederowanych (nie ludzkich w okrucieństwie proletariatu, którzy doprowadzili do rozłamu w starej partii radykalistów na „realistów” i „ludzi”). Na czele sfederowanych stają rozzuchwaleni bandyci Dydko Wiszaleń, Oprawca domagający się zniesienia prawa dziedziczości, zastąpienia nazwisk liczbami. Krwawe walki kończą się rzezią armii monarchistów, a republikanie rozprawiają się z proletariuszami. Znac w tych prognozach echa Wiosny Ludów, zapowiedź nieuchronnych zmian politycznych, które zwiększają nadzieję na wyzwolenie Polski, ale zarazem przerażają konsekwencjami rozpętanych żywiołów, zwierzęcych instynktów. W „Wyjątku z listu do jednego z redaktorów” powraca Mickiewicz do założeń „romansu naukowego” kreśląc ironiczną wizję przyszłej Polski na tle nowych instytucji społecznych i „cudownych wynalazków”. W kraju buduje się olbrzymie gmachy, w powszechnym obiegu znajduje się moneta zwana „kosciuszką”, powstaje nawet nowe słownictwo odpowiadające aktualnym potrzebom socjalnym (wodnica, wielki bakalarz etc.).

Wersja zrodzona po napisaniu „Pana Tadeusza” mówi o zwycięstwie rewolucji listopadowej, jest zatem rodzajem „historii alternatywnej” (dziś. historyczno-fantastyczne powieści Teodora Parnickiego; „Człowiek z Wysokiego Zamku” Philipa Dicka). Na uwagę zasługuje, improwizacja na temat przyszłości zamieszczona w „Avant-propos” Władysława Mickiewicza do wydanych „Melanges posthumes”, Serie I – s. 158 i nast. Jest to improwizacja wygłoszona w okresie kiedy Mickiewicz znajdował się pod wpływem towianizmu i dość radykalnie zmienił swój pogląd w kwestii postępu społecznego. Sama wypowiedź powstała jako replika na koncepcję miasta-falansteru Fouriera zawartego w traktacie „Traite de L'association domestique et agricole” (1822) Mickiewicz poznał doktrynę saint-simonistów w czasie pobytu w Rosji, przestudiował ją dokładniej w Paryżu – wywołała ona u niego lęk przed przyszłością, w której człowiek zostałby zagubiony w społeczeństwie zaprogramowanym przez pedantyczne i mafistowskie reformy. W satyrycznej improwizacji mówi poeta o mieście okrytym dachem, wyparkietowanym jak mieszkanie ogrzanym i oświetlonym, odciętym od przyrody kaprysów klimatu. Poza miastem znajduje się „szczęśliwa wyspa”, pozbawiona dobrodziejstw cywilizacji, lecz dostępna tylko nielicznym. Autor karykaturuje tu przyszłe społeczeństwo dobrobytu – odizolowane od natury, wyręczane przez technikę z walki o byt, „umniejszone” duchowo, nie widujące nawet księżyca i gwiazd, a więc odcięte od źródła wzruszeń i najcenniejszych podnieci estetycznych. Nietrudno zauważyć, że polemizując z koncepcjami saint-simonistów tworzy Mickiewicz załączki nowej odmiany literackiej – antyutopii, choć nie jest w swych spostrzeżeniach osamotniony (traktaty Ruskina, Musseta, Emersona).

Bibliografia wybrana:

– S. Skwarczyńska, Mickiewicza „Historia przyszłości” i jej realizacje literackie (w) „Łódzkie Towarzystwo Naukowe”, 1964.

M. P. Aleksiejew, Zamysły „Historia przyszłości” Mickiewicza i ruską utopiję społeczną myśli 20-tych i 30-tych lat XIX wieku (w) „Slavia” XXVIII/1, 1959

Aż do tej chwili Francja, niszczone wojną domową, nie mogła wziąć żadnego czynnego udziału w sprawach Federacji europejskiej. Sfederowani domagali się ustawicznie pomocy. Utrzymywali, że Francuzi winni swoje zagadnienia wewnętrzne podporządkować wielkiej sprawie europejskiej, że nie mogą spodziewać się pokoju trwałego, dopóki ta sprawa nie będzie rozstrzygnięta: że chodzi najpierw o zadanie ostatecznego ciosu dawnemu porządkowi.

Adam Mickiewicz

Historia przyszłości

(Redakcja I. Rozdział I)

wi w Europie, po czym dopiero przyjdzie pora na rozprawy nad konstytucjami narodowymi i nad sprawami miejscowymi. Nie ulega wątpliwości, że Francja, gdyby popchnęła swe armie ku Elbie i ku Tybrowi, mogłaby zadecydować o losie Europy. Ale naczelnicy Republiki, znużeni przewlekłą wojną domową, nie bezzasadnie przerażeni okropnościami, jakich widownią były Niemcy i Włochy, zagrożeni w końcu sami przez proletariuszy, dalecy byli od tych sympatii dla Sfederowanych, jakie głosili publicznie. Dali przeto odpowiedź, że nie odważyliby się mieszać w sprawy swoich sąsiadów przed zapewnieniem pokoju i szczęścia Francji. Proletariusze natomiast, rozzuchwaleni powodzeniem i sympatiami Europy, partii zażarcie do dalszej wojny (...)

Obie armie francuskie zajmowały w dalszym ciągu stanowiska wyczerpujące, nie waząc się na żadne stanowcze posunięcie. Republikanie mieli 70 000 piechoty, 15 000 kawalerii i straszną artylerię. Była to siła więcej niż wystarczająca przeciw proletariuszom, których artyleria była prawie żadna, a kawalerii starczyło zaledwie do pełnienia służby w straży przedniej (...). Spodziewano się (także) przekupić kilku przywódców proletariackich, rozjastrzyć ich nienawiści wzajemne, liczono zatem na zwłokę w nadziei, że wyczerpanie się żywności i niezgoda doprowadzą do zdemoralizowania i rozprężenia tego obozu, tak źle zorganizowanego.

I rzeczywiście, wzajemne zawiści proletariuszy, tłumione długo w obliczu niebezpieczeństwa, wybuchały w tym czasie na nowo (...). Partią najliczniejszą i najsilniejszą była za-

wsze stara partia radykalna (...), partii tej nadano imię realistów, dla jej niechęci do wszelkich teorii oderwanych. Poczęto ich niebawem oskarżać o arystokratyzm z powodu dumy, z jaką chcieli zawsze stać na czele armii i kierować wszelkimi obrotami (...).

Aby wznieść budowlę społeczną trzeba zacząć od podwalin, trzeba jasno określić ideę wieku, trzeba sformułować wiarę socjalną.

Stosownie do tych poglądów ogólnych

przedkładano różne ulepszenia natychmiastowe i konieczne. Chciano zacząć od zaniechania nazwy proletariusze. Nazwa ta, jakkolwiek lepsza bez wątplenia od tytułu obywatela, przestała już odpowiadać wymaganiom czasu, nie wyrażała żadnej określonej idei, miała w sobie coś rzymskiego, nie była łatwo zrozumiała dla ludzi innej narodowości. Długo rozprawiano nad tym, jaką by ją nazwą zastąpić, aż zgodzono się na jedno, aby nie przybierać żadnej. Patrioci winni by się nazywać całkiem po prostu ludźmi, zatem nazwą tak ogólną, że kto by się wzdrygał jej przyjąć, mógłby słusznie być ścigany jako nieprzyjaciel ludzkości.

Proletariusze nie przestawali dotąd nosić swych nazwisk rodzinnych. Barbarzyński ten zwyczaj wywodził się z czasów feudalnych, kiedy to nazwisko oznaczało zarazem posiadanie ziemi. Należało je co prędzej znieść, aby ułatwić obalenie prawa dziedziczenia. Imiona chrześne wobec zniesienia chrześcijaństwa stały się również zbędne i śmieszne. Był jednak i względ poważniejszy, przemawiający za ich usunięciem. Nazwisko jakieś, okryte świetnością na drodze zwycięstw albo odkryć naukowych, a podawane z ust do ust, zawsze w końcu staje się rodzajem sztandaru. Człowiek, który je nosi, choćby nawet popełnił błędy lub zbrodnie, wywiera długo jeszcze pewien wpływ, działający bezprawnie i niebezpiecznie dla równości. Zawsze w nazwisku jest coś odrębnego i osobistego. Przedkładano zatem, aby nazwiska zastąpić znakami liczb, gdyż te nie wyrażają nic jako takie i łatwo je można zmieniać. W ten sposób Francja, podzielo-

pożółkłe kartki

na na dziesięć serii, obejmowałyby w każdej serii pewną liczbę obywateli. Pierwszy urzędnik pierwszej serii nosiłby numer 1, jego podwładni 2, 3 itd. Prości obywatele nie mieli by żadnego współczynnika. Liczba byłaby nadawana według numeru cywilnego aktu urodzenia, a współczynnik według stopnia hierarchii, cywilnej albo wojskowej. Jakiś generał albo urzędnik złożony z urzędu, tracąc swój współczynnik, znikalby z ludzkiej pamięci i wracał w szereg prostych numerów swej serii. Systemat tego rodzaju zadatby ostatni cios osobistej miłości własnej tudzież indywidualności.

Głównie generał Jakub (nazwisko swoje rodzinne porzucił on był od dawna) wielki myśliciel i mówca porywający, był tym, który przyczynił się najwięcej do dzieła tej wielkiej reformy i pierwszy poświęcił swe imię chrzestne, wstawione w tytuł bojach. Przyjął on numer 1, a jego zwolennicy uformowali się natychmiast w serie i rozliczyli według stopni wojskowych.

Niestety, poważna część proletariatu, obstająca przy swoich dawnych przesadach, odrzuciła te ulepszenia. Przyszło stąd do rozdwojenia w obozie. Nieraz nawet przychodziło do bojek. Prześladowano się nawzajem, tak, że armia rozprzeżona całkowicie, wydawała się bliską rozsypki.

Zostawiliśmy armię Sfederowanych w pełnym odwrocie ku Prusom. Armia ta po niepowodzeniach, jakie spotkały ją w Belgii, usiłowała utworzyć sobie drogę do Polski, a po drodze zamierzała, jak się zdawało, zagarnąć Berlin. Tymczasem armia saska, otrzymawszy przesadne wieści o zwycięstwie w Ostendzie i o pośpiesznym cofaniu się Sfederowanych, ruszyła przeciąć tym ostatnim odwrot. Przekroczyła Odrę i marszem forsownym posunęła się na Berlin (...).

Przez dwa dni obie armie obserwowały się w milczeniu. Ale wodzowie Sfederowanych: Węgier Wizat i Ukraińiec Didko, pragnąc niecierpliwie wszczęcia bitwy i dążąc do wywabienia monarchistów z ich oszańcowanego obozu, uciekli się do manewru uświęconego pełnym sukcesem. Pchnęli na miasto znaczną część swojej piechoty. O świcie przypuszczono szturm, wdarto się na mury, poczęto mordować mieszkańców i podłożono ogień w czterech rogach miasta (...).

Wizat i Didko działali bardzo roztropnie (...). Zebrali resztę swojej piechoty uzbrojonej przeważnie w piki i siekiery, utworzyli z tego zwartą masę i pchnęli ją na nieprzyjaciela w kierunku centrum jego armii. Ten tłum piechurów, dziesiątkowany ogniem armatnim i rotowym, zdołał jednak zbliżyć się do linii nieprzyjacielskiej. Wówczas monarchisci podsunęli się ku nim na obu skrzydłach, aby ich otoczyć i zniszczyć. Na to tyl-

ko czekali rewolucjoniści. Widząc kolumny nieprzyjacielskie w ruchu i korzystając z pewnego nieładu, jaki się wkraśli do centrum ich armii, rzucili tam całą swoją konnicę, rozkazując jej, aby pchała przez sobą masy powstańców, aby przejechała po nich, złamała środek nieprzyjacielski i uderzyła następnie na skrzydło prawe i lewe. Piećdziesiąt dwa tysiące kawalerii węgierskiej, czeskiej i kozackiej ruszyło z miejsca z krzykiem przerażającym. Piechota rewolucyjna, zagrożona własną kawalerią, rzuca się biegiem w szeregi nieprzyjaciół, rąbie i kosi wszystko co jej staje w drodze. Złamane bataliony już podawały tył, kiedy straszliwa lawina kawalerii, otaczając z góry te skłębioną masę, miażdży ją i rozbija w puch. Rzeź trwała cały dzień i do późna w noc, piaszczyste równiny pod Berlinem nie dawały uciekającym żadnego schronu. Liczbe zabitych różnie podają autorzy: jedni podnoszą ją do dwustu tysięcy, drudzy podają tylko sto pięćdziesiąt tysięcy. W każdym razie, to pewna, że cała armia monarchistów zginęła na placu boju (...).

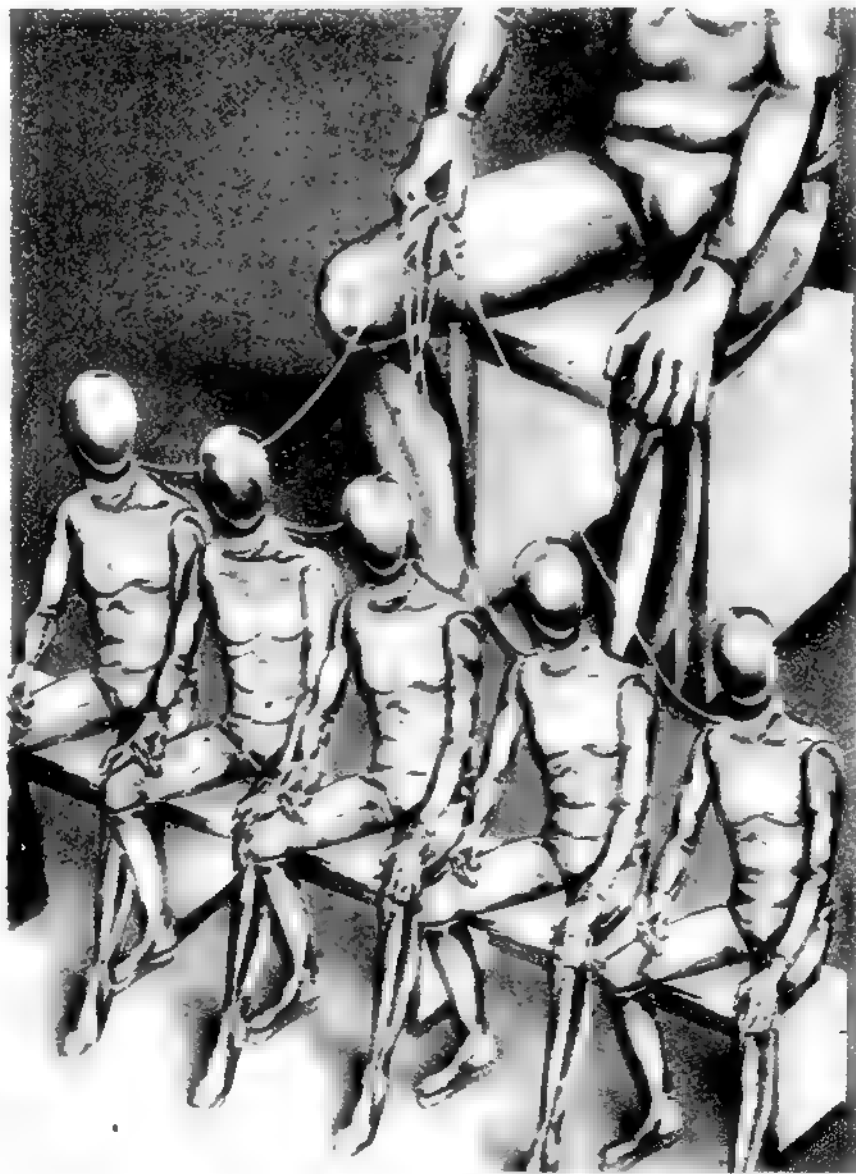
Sfederowani podzielili teraz swe zastępy na dwie wielkie armie, pierwsza z nich, pod dowództwem Niemca noszącego nazwisko Opraw-

cy, posunęła się biegiem Morza Północnego i zająwszy wszystkie tamtejsze porty od Hamburga po Antwerpie, przeprawiła się do Anglii. Armia druga, złożona prawie wyłącznie z kawalerii pod wodzą Didka i Wizata, szybkim marszem przebyła Niemcy Środkowe i przez wąwozy Tyrolu wkroczyła do Włoch (...).

Tymczasem proletariusze francuscy stali wciąż na swych stanowiskach, nie cofając się, ani nie posuwając naprzód. (...) Z tej bierności skorzystali przebiegłe republikanie. Napadli zniemacka na pozycje tamtych, zdobyli wiele z nich, zagrozili nawet fortyfikacjom Marsylii i oszańcowanemu obozowi Lyonu. Wodzowie proletariatu, widząc położenie prawie bez wyjścia, wysłali poselstwo do armii Sfederowanych we Włoszech. Armia ta przewaliła się wkrótce przez wszystkie wąwozy Alp i zalała Szwajcarię...

Adam Mickiewicz, Historia przyszłości, redakcja I, rozdział pierwszy (w:) A. Mickiewicz, Dzieła, tom VI (Pisma proza, cz. III), przew. komitetu red. J. Krzyżanowski, Czytelnik, Warszawa 1935.

Przygotował
Andrzej Niewiadowski



Nowe spotkania

Pod koniec roku 1986 wydawnictwo „Iskry” opublikowało kolejną pozycję z broszurowej serii science fiction. Jak zapowiadano w przedmowie „jest to pierwsza część zbioru opowiadań, których autorzy podejmują klasyczny w literaturze fantastycznej temat kontaktu z obcymi cywilizacjami”.

Autor zbioru, Maciej Parowski, zadał sobie niemało trudu, aby z aktualnej (wyjątek stanowi opowiadanie Janusza A. Zajdla) twórczości młodych polskich pisarzy wybrać utwory, które najbardziej będą odpowiadały jego koncepcji. Parowski wiedział o zagrożeniach wypływających z tego rodzaju zestawienia. Piszę o tym w przedmowie:

Każdy z autorów widzi inne realia, szanse i niebezpieczeństwa kontaktu, ale niemal wszystkie rozważania o spotkaniu służą do mówienia o człowieku do snucia ziemskich hipotez lub ostrzeżeń do opowiadania bardzo antropocentrycznych dowcipów. Słusznie też zauważa, iż w owych próbach „ujawniają się doświadczenia najnowszego kina i fantastyki światowej fascynacja myślą Wschodu a także szkoła polskiego feleronu i studenckiego kabarelu”.

Moim zdaniem autor wyboru dał się jednak trochę zwieść pozorom i zapomniał o tym, co głosili młodzi twórcy dwa lata

temu podczas spotkania na warszawskich Dniach Fantastyki. Otoż zapowiedzieli oni chęć tworzenia dobrej literatury rozrywkowej, co im się zresztą, sądząc po przeczytanych opowiadaniach, w mniejszym lub większym stopniu udało.

Większość z nich jest po prostu dobrze napisaną literaturą rozrywkową, dla której sztafaż typowy dla science fiction jest jedynie pretekstem do słownej zabawy czy zonglerki pomysłami. Opowiadania te są w większości oparte na dobrych, co trzeba przyznać, wzorach amerykańskiej i angielskiej literatury tego typu reprezentowanej przez takich autorów, jak Alistair McLean czy Le Carre. Naszym młodym twórcom, co prawda, trochę jeszcze do nich brakuje, ale pierwsze próby są wcale niezłe.

Cechą charakterystyczną wielu opowiadań zamieszczonych w „Bliskich spotkaniach” jest sposób potraktowania tematu. Są to w większości teksty satyryczno-ironiczne, a chwilami wręcz sarkastyczno-kosmiczne, napisane dobrym, płynnym językiem. Ale odmiennie od Parowskiego uważam, że autorom prezentowanym w zbiorze (jest z małymi wyjątkami) dokładnie obojętne o czym piszą. W opowiadaniach tych nie ma tak często występującego kiedyś w science fiction zaangażowania i fascynacji nowymi sytuacjami czy nawet wiary w ewentualną możliwość rozwiązania konfliktów i problemów ziemskich obywateli.

I tu zgodziłbym się z Maciejem Parowskim, że „... literatura fantastyczna młodych jest... mądrzejsza, bardziej świadoma niż była nią polska proza SF przed kilkunastu laty”. Młodzi twórcy po prostu powrócili na ziemię, stwierdzając, że rozwiązanie problemów można znaleźć jedynie

między ludźmi. Stąd większość tych opowiadań jest bardzo „antropocentryczna”. Fakt, że są one ironiczne, wynika chyba między innymi z ich niewiary w możliwość zrealizowania tego chwalebego celu.

Wydało mi się, że autorzy prezentowani w zbiorze Parowskiego, jak również i inni, którzy jeszcze nie znaleźli uznania w oczach dokonującego wyboru, są na najlepszej drodze, aby włączyć się w popularny na rynkach zachodnich nurt political fiction. Tendencje te występują szczególnie wśród pisarzy zachodnioniemieckich, czego przykładem może być drukowane niedawno w „Fantastyce” opowiadanie Armera.

W „Bliskich spotkaniach” występuje jeszcze jeden, dość charakterystyczny podział – idzie mianowicie o odmiennosć utworów napisanych przez panie – Zofię Beszczyńską i Emmę Popik. Ich twórczość to rodzaj fantastyki poetyckiej, jak napisał Parowski „... operującej mniej wyobraźnią alegoryczną, a bardziej projektującą”. Uciekają one od problemów ziemskich, starając się opisać, wczuć w tę tajemniczą istotę Nieznanego, która nas swego czasu tak fascynowała.

Czytelnicy zbioru sami wybiorą który sposób potraktowania tematu, a może nawet i całego galunku będzie im bardziej odpowiadał, co przy możliwościach kontaktu z autorem wyboru, przyniesie efekt w postaci drugiej części „Bliskich spotkań”.

Wawrzyniec Sawicki

Bliskie spotkania. Opowiadania fantastyczne. Wybór Maciej Parowski. Iskry, Warszawa 1986 r. Cena 50 zł.

W tej samej, jubileuszowej, pięćdziesiątej „Fantastyce”, w której pisałem o bestsellerze Stephena Kinga „Petera Strauba z 1984 roku – „The Talisman”, ukazała się notatka Franza Rottensteina z relacją o opublikowanej w „Publisher's Weekly” liście bestsellerów 1985 roku. Na owej liście miejsce co najmniej honorowe zajmują znów dwie książki Kinga, wydane w niebagatelnych nakładach 600 000 i 300 000 egzemplarzy. Duży to sukces tego niezwykle czynnego pisarza usprawiedliwiający chyba bliższe zainteresowanie się jego twórczością. Zwłaszcza że książka, która zajęła na liście miejsce piąte, zdobyła jednocześnie prestiżową nagrodę magazynu „Locus” w kategorii najlepszego zbioru opowiadań.

Popularność Stephena Kinga tym bardziej, zastanawia, jeśli weźmiemy pod uwagę specyfikę zbioru „Skeleton Crew”, na który składają się dwadzieścia trzy teksty różniące się pomiędzy sobą pod każdym względem. Najdłuższy z nich, „The Mist”, ma rozmiary samodzielnej powieści (144 strony), „For Owen” natomiast liczy sobie dokładnie stron dwie i podobnie jak „Paranoid The Chant” ma formę wiersza czy też pieśni. Niektóre utwory powstawały na zamówienie lub z myślą o druku w mniej lub bardziej prestiżowych czasopiśmie („Yankee”, „Fantasy and Science Fiction”, „Playboy”, inne („Cain Rose Up”, „Here There Be Tigers”), inne („The Reaper's Image”) pisane były „do szuflady”. Co więcej – opowiadanie najstarsze („The Reaper's Image” z 1965 roku) powstało osiemnaście lat wcześniej niż opowiadanie najnowsze („The Ballad of the Flexible Bullet” z 1983 roku). Pierwsze było dziełem osiemnastoletniego młodzieńca, przystępującego do nauki w college'u, ostatnie jest arcydziełem w pełni ukształtowanego pisarza o niezwykle sprawnym warsztacie literackim. Zestawienie obu tekstów wymagało sporej od-

Po prostu bestseller

wagi, a błyskawiczne rozejście się 600-tysięcznego nakładu świadczy o tym, że istnieją sytuacje, w których taka odwaga może się nawet opłacić.

Tajemnica powodzenia powieści i co bardziej niezwykle – opowiadań Kinga polega na tym, że – operując w ramach niezbyt szanowanego gatunku jakim jest „horror”, traktuje on owe ramy tak, jakby były zrobione z bardzo elastycznej gumy. Połrafi z niezwykłą wręcz lekkością, prostotą, a nawet dezynwolturą sparodiować konwencję nie tracąc kontaktu z czytelnikiem i nie nadużywając jego wyobraźni. Umie wykorzystać akcesoria horroru, lecz połrafi także balansować na najcieńszej linii prawdopodobieństwa. W „The Mist” pojawiają się zatem wielokrotnie wyśmiewane i parodiowane „macki”, nie są one jednak niczym więcej niż konwencjonalnym sygnałem zagrożenia, a fabuła utworu dotyczy obserwacji, jak na to zagrożenie reagują typowi Amerykanie zamknięci w wielkim supermarkecie idyllicznej prowincji stanu Maine. „Cain Rose Up” to niewiele więcej (ale też i niewiele mniej) niż wzmieszką sytuacją, kiedy obłany podczas egzaminów student mści się na profesorach i kolegach strzelając z okna swego pokoju do przypadkowych przechodniów. W „Here There Be Tigers” prześladowane, na skutek słabości pęcherza, dziecko wyobraża sobie tygrysa ukrytego w szkolnej toalecie, który pożera znie-nawidzoną nauczycielkę. Nieszczyśliwy pisarz, mający na karku głupią, grubą żonę i nieudanego syna, kreuje przy pomocy edytora tekstu nową rzeczywistość, w której żeni się z atrakcyjną bratową i ma z nią

zdolnego syna elektronika, podczas gdy „naprawdę” nieco wcześniej zginęli oni w katastrofie samochodowej („Word Processor of the Gods”). Anatomie tekstów można byłoby opisywać dalej (jest na przykład w „Skeleton Crew” także miejsce na bardziej konwencjonalną, fatalną w skutkach fascynację seksualną – „Nona”) nie jest to jednak konieczne. Różnorodne motywy czytelnik z łatwością sprowadza do nieoczekiwanego, wspólnego mianownika znanej mu, codziennej rzeczywistości, w której najbliżej sasiad po prostu zwanował w trakcie strzyżenia wypielegnowanego ławnika.

Tylko raz, w „The Ballad of the Flexible Bullet”, „paperbackowy” autor – Stephen King ociera się o prawdziwą sztukę. To niezwykle opowiadanie (o książce napisanej przez szalonego pisarza, która zaraża szaleństwem kolejnych ludzi) jest jedyną w całym tomie potraktowaną serio próbą opisaną „innego” świata – i próbą najzupełniej udaną. W pozostałych opowiadaniach King zatrzymuje się w pół kroku, stawia kropkę w chwili, w której jego bohater ostatecznie przekracza granicę normalności. Tymczasem samo zdarzenie zwykłego świata z niezwykłą nań reakcją wystarczy, by stworzyć atmosferę prawdziwej grozy. Granica rzemiosła, tak jak granica szaleństwa, pozostają prawie nienaruszone, a to co otrzymuje do ręki czytelnik nie jest niczym więcej niż – po prostu bestsellerem.

Krzysztof Sokołowski

Stephen King *Skeleton Crew* London 1985

Nagrody Nobla ożywiają nasze życie literackie i wydawnicze. W 1986 r. dostaliśmy kilka książek Goldinga, a wśród nich drugie wydanie najświeższej jego powieści z 1954 r. – „Władca Much”. Strach pomyśleć, jak długo jeszcze czekaliśmy na to wznowienie bez decyzji Szwedzkiej Akademii.

James Gunn zalicza książkę do powieści kultowych podobnie jak „Paragraf 22” Hellera, jak „Władca Pierścieni” Tolkiena. U nas w głównym nurcie rolę książek kultowych spełniał jeszcze niedawno „Pod wulkanem” Lowry’ego. W latach siedemdziesiątych kultową powieścią była bez wątpienia „Gra w klasy” Cortázar’a i może „Sto lat samotności” Marqueza, a przed wojną bodajże „Klub Pickwicka” Dickensa. Książki kultowe to znaczy czytane bez końca, cytowane przez wie-

ry. Myśliwi powodowani głodem mięsa, chęcią zabawy, ale i poszukiwaniem bezpieczeństwa dołączają do swego ambitnego wodza i zlatują ustalone wcześniej prawa. Prawie wszyscy chłopcy dozwolnie doprowadzają się do historii, w której zabijają Simona, potnijcie po, rządnego sęgo ze swego gniazda w tej łosie wakacji, przelaz, władzę. Będą na siebie powoływać, na kłosa, do stroniem zastanowienie. Będą w młodo, car barzynie symbole. Używając tych symboli, spróbuj przekupić ciemne noce. Spróbuj – sami z siebie, ale i z inspiracji Belzebuba (filistynski Władca Much), który czeka na człowieka na wień na najmniejszej wyspie i czai się w zakamarku jego duszy, grając w niej kiedy przyjdzie pora na ambicję, pysze, wygodnictwo, strachu i bezkrytycznej potrzeby wspólnoty. Tym różni-

Diabeł nie śpi!

lbicień, dyktujące pewien styl życia oraz mysterna i używane jako podstawa przyjacielu kodu. Obecnie, wśród polskich fanatów czyta się w ten sposób Raymonda Chandler’a, wybitnego przedstawiciela czarnego kryminału. Z czystą fantastyką – na pewno wszystko co wyszło spod pióra Philipa K. Dicka. A z polskiej? Szczepie mówiąc nie wiem. Kiedyś może „Solaris”? Ale dziś Lema nie odczytujemy już tak pasjonacko. I teraz, Golding? W 1963 r. Peter Brook nakręcił znaczący film na podstawie powieści. My dostaliśmy drugie polskie wydanie w dwadzieścia lat po pierwszym, tym razem w nakładzie 50 tys. Jak na kult trochę mało, ale jest szansa, że parę osób książkę przeczyta.

Ci, którym się to uda nie będą żałować, choć we wspomnianym gronie międzynarodowych rywalów wygrywa powieść Goldinga na najmniej wyszukana. Rzecz napisana jest prosto, alegorycznie, moralizatorski zamiar powieści leży na wierzchu, oczywista jest też jej inspiracja biblijna. Nie ma grasek z formą, z językiem, nie ma eksperymentów z czasem. Na bezładnej wyspie, pełnej, jak biblijny raj, smakowitych owoców i ładnie w wyniku katastrofy samolotu grupka angielskich chłopców i zaczyna od zera. Najpierw wspólnie i zgodnie wybierają wodza, by jak w „Umowie społecznej” Jana Jakuba Rousseau rzec się części suwerenności na rzecz wybranej osoby. Potem stanowią prawa. Demokratycznie podejmują decyzje. Dzielią się zadaniami. Ale w toku nadto licznych obrad (choroba demokracji) uprawiają gadulstwo, demagogię, pogardę dla słabszych maluchów. Niedopowiedzialne mędrkowanie chłopców sprawi, że zgaśnię ognisko własne wiedy, gdy dym mógłby przywołać przepływający obok statek. Ta sama niedopowiedzialność i śladność zachowań doprowadzi do pożaru, w którym zginie jeden z malców. Potem mamy narastający konflikt między Railem, legalnie wybranym przywódcą i strażnikiem ogniska, a Jackiem, agresywnym myśliwym. Ten konflikt, właściwie rewolucja Jacka, kończąca się nieco z konfliktem Kaina i Abela, doprowadzi do spalenia chłopców do rozpadu i moralnego upadku.

Jest w książce więcej biblijnych tropów, a wśród nich najważniejszy – zjawia się na wyspie diabeł kusiciel. Najpierw w postaci rojen o węzu lub innym potworze czającym się w mroku. Później to co realne duchowo, co kłębi się w duszy, przybiera formę, postać fizyczną. Diabeł przybiera na wyspie w dwu wcieleniach: Władcy Much, świniskiego łba wó tego przez myśliwych na pal. Zwierza, trupa łotnika, który nocą spadł z nieba. Diabeł symbol staje się wkrótce wymowną i skutecznie działającą rzeczywistością. Potrafi skłócić społeczność chłopców. Potrafi doprowadzić do zamordowania dwu wartościowych, choć pozbawionych charmyzmy i siły, które mogłyby mu stanąć na drodze. Dlatego muszą zginąć zabici przez kolegów Prosiaczek i Ilusioszek w okularach, będący nie wystuchanym mędrcem i Simon, wrażliwa istota, ktoś w rodzaju kapłana, który miewa widzenia.

Prowadzi nas Golding do samych źródeł tajemnicy zła bez wykreślowania i własnej dwudziestym wieku, scenylistyczne, wstydliwosci. Co to jest diabeł? Otoż Władce Much chłopcy wzniosła własnym rękami. Gdy rozum spłynie budzą się upio-

się powieść Goldinga od większości tego co powstaje i powstawało w fantastyce. Gwiezdne imperia zła! Agresorzy! Albo nasza fantastyka socjologiczna – z jej bohaterem, poczciwą jednostką, łamzoną przez gwiezdne systemy. Albo literatura polityczna, mówiąca o klasach, narodach, kapitałach czy gangach. Zimno, zimno! Golding idzie dale, do sedna. Mamy wyspę, owoce, słonece, mamy cywilizowanych chłopców, nikt im niczego nie narzuca, nie naciska, nikogo nie przynosi w teczkę i nie wychodzi. Dlaczego wszyscy się psuje? – pyta w powieści Raif, pyta Prosiaczek. Winnen Szatan, odpowiada Golding, szatan w postaci świniskiego łba na kiju i szatan w naszej duszy.

Nie wygląda to na myśl nową i wyrażoną ani na propozycję bezspieczną. W Polsce z Szatanem różnie bywało. W każdym razie Goldinga w tej materii warto wysłuchać. W czasie wojny jako uczestnik bitew morskich zobaczył do czego są zdolni dorośli. Po wojnie, jako nauczyciel dołądnie przyjrzał się dzieciom. Zobaczył tu i tam tego samego człowieka. Ciekawe byłoby dotrzeć dziś do jego wychowanków, mają koło pięćdziesiątki i niewykluczone, że wszyscy są sympatyczni i bardzo teraz dumni ze „swego pana”. Ale Golding nie wyobraził ich sobie w społeczeństwie, gdzie temperuje nas obyczaj, szkoła, prasa i prawni – lecz na bezładnej wyspie, gdzie wszystko wolno. I wtedy zobaczył w nich tego samego człowieka, którego Conrad poznał w Afryce i opisał potem w „Jadzie ciemności” jako istotę skazaną, z której zawsze może opaść pozłotka cywilizacji i kultury. Jeśli świadomie, z wysiłkiem nie będzie się strzec.

Takich morałów słucha się raz dobrze, raz źle, zależnie od mody i koniunktury. Jak jest fajnie jak krzywa rośnie – to źle. Bronisława Bałutowa w pracy o powieści angielskiej XX wieku pisze o „fluktuacjach krytycznego odbioru „Władcy Much”. Zmieniło się to co dekadę. Zrazu mówi się, że powieść jest nieprzychylnie symboliczna i oderwana od rzeczywistości. Potem rozwodzone się nad jej subtelnością i głębią. Następnie rzecz była znowu zbyt realistyczna i płytka. Angielski badacz robił nawet zestawienie kontrastowych opinii, wychodzących w różnym czasie spod piór tych samych krytyków.

Ciekawa metoda badania – ale czego? Raczej Duchu Czasu niż książek, raczej kultury niż literatury. Samotność jak Golding nie robiący sobie nic z mody i nowinek, nie ukrywający wazy i moralizatorskich zamiarów – wprawiają w zakłopotanie świecką, migotliwą i zmienną kulturę. Czasem dostają Nobla lub inne nagrody. Czasem nie. Nie ma tu reguły. Dla nich i dla ich czytelników, których zawsze znajdują, ważne jest jedno. Wśród ludzi, którzy przemyslieli przeróżną przegrodę Prosiaczka, Raifa Jacka i pozostałych możemy się czuć w miarę bezpiecznie. Oni już wiedzą, zostali ostrzeżeni.

Ale inni?

Maciej Parowski

William Golding *Władca Much*. Tłumaczył W. Niepokoić. Czytelnik, Warszawa 1986. Cena 250 zł.

„MORSKA” FANTASTYKA WELLSA

W nie nazwanej serii Wydawnictwa Morskiego poświęconej „morskim” drobniom literackim klasyków światowego piśmiennictwa ukazały się dwa opowiadania, jednego z ówczesnych współczesnej fantastyki naukowej – Herberta George’a Wellsa. Oba pochodzą z wydanego w 1897 r. zbioru „The Plattner Story and Others”. Oba zrodzone są z niepokoju i strachu, jaki w ludziach przełomu wieku, wzbudzały głębiny oceaniczne. Wells, biolog z wykształcenia i wieloletni recenzent książek naukowych, posiadał rozległą wiedzę na temat stanu badań życia oceanów. Andrzej Zgorzeński w obszernym eseju poprzedzającym nowelki autora „Wojny światów” wskazuje nawet, które z recenzowanych przez Wellsa na łamach „Pall Mall Gazette” utworów były bezpośrednią inspiracją obu opowiadań.

Zgorzeński w swym kompetentnym wstępie, który nosi tytuł „Dwie głębiny, dwie otchłany”, pokazuje twórczość Wellsa na rozległym tle ówczesnej literatury i nastrojów, jakie ogarnęły udzi u schyłku wieku, w przededniu – jak się spodziewano – jak ejs – słone, przemiany cywilizacyjnej. Pokazuje, w jaki sposób nowele Wellsa powiązane są ze starą współczesną autorowi wiedzy. Zwraca uwagę na to, w jaki sposób występujące w obu tekstach wątki i pomysły przekształcały się w twórczości samego Wellsa, jak oddziaływały na innych autorów powieści i opowiadań fantastycznych. Wskazuje wreszcie Zgorzeński na mistrzostwo, z jakim autor „Wielki kłopot czasu” prowadzi narrację w obu utworach, jak różnicę i pisarskie techniki w zależności od zamierzonego efektu.

Opowiadanie pierwsze, obszerniejsze, objętościowo nosi tytuł „W otchłanie” i opisuje wyprawę na dno oceanu, podjętą przez młodego człowieka w sposób raczej mędrasobliwy, co zresztą narrator wyraźnie zaznacza. Nie wiadomo nawet, jaki jest cel tej wyprawy. W każdym razie na dnie oceanu napotyka podwodną cywilizację, która czci jego balyskał, groząc tym samym życiu i mknącego w nim człowieka (zapas tlenu!). Za pierwszym razem wszystko kończy się dobrze, za drugim – nie. Narrator nie wyjaśnia motywów powtórnej wyprawy, opowiadać i celowo zawiera wiele niedopowiedzeń, by wzbudzić w czytelniku niepokój, by intrygować go swą tajemniczością. Rzecz zbadana i wyjaśniona nie niepokoi. Podobnie dzieje się w drugim opowiadaniu – „Atak z głębin”. Nosi ono cechy szkicu, nie ogrywa pomysłu do końca, oto z morskich głębin wypływają tajemnicze głowonogi, które w płytkich zalokach i na plażach Kornwali atakują ludzi. Ci stają z nimi walkę i potwory znikają. Koniec. Niebezpieczeństwo czyha wszędzie, może pojawić się w najmniej spodziewanym miejscu i zniknąć równie niespodziewanie, jak się pojawiło. Pozostaje niepokój, strach, tajemnica.

Wells porusza się w tych tekstach na pograniczu obszarów, które szczególnie intrygowały opinię publiczną, uświadamiono sobie, że właściwie nie zbadano jeszcze tylko kilku miejsc na kul ziemskiej i na nie zwrócono uwagę. Do dzisiaj, zresztą ten psychologiczny mechanizm występujący, co tajemnicze nadal intryguje, zmieniają się tylko obszary okryte tajemnicą. Kosmos w miarę, jak trwają badania, też traci swą aurę tajemniczości. Coraz częściej straszymy się samymi sobą, tym co tkwi w człowieku. A w ogóle to w fantastyce, na szczęście, można sobie pozwolić na wiele, również na współczesne fantazjowanie „morskie”.

Leszek Bugajski

Herbert George Wells *Atak z głębin*. Przełożył Adam Kaska. Wstępem opatrzył Andrzej Zgorzeński. Wydawnictwo Morskie, Gdańsk 1986. Cena 95 zł.

krytycy o fantastyce

Juliusz K. Palczewski (ur. w Wilnie w 1932 r.) jest adiunktem w Instytucie Filologii Angielskiej Uniwersytetu Wrocławskiego. Historyk, teoretyk i krytyk literacki. W roku 1967 otrzymał stopień doktora na podstawie rozprawy „H. G. Wells jako historyk przyszłości” pisanej pod kierunkiem prof. dr Margaret Schlauch. Autor wielu monografii, rozpraw krytycznych poświęconych powieści anglosaskiej, twórczości Jamesa, Conrada, Galsworthy'ego, a przede wszystkim H. G. Wellsa.

W roku 1976 w 110 rocznicę urodzin i 30 rocznicę śmierci pisarza ukazała się monografia książkowa Palczewskiego: „Utopista bez złudzeń: H. G. Wells” (SW „Czytelnik”; nagroda Ministra Szkolnictwa Wyższego). W roku 1978 wydawnictwo „Ossolineum” w ramach „Biblioteki Narodowej” opublikowało jego edycję „Historii świata” – Wellsa; zaś w 1985, w tej samej serii, opracowanie „Wehikułu czasu” (nagrada literacka „Fantastyki” w dziedzinie krytyki). W roku 1982 „Czytelnik” wydał jego monografię „John Galsworthy”.

Artykuły i eseje drukował Palczewski na łamach „Twórczości”, „Odry”, „Miesięcznika Literackiego”, „Przeglądu Humanistycznego”, „Kwartalnika Neofilologicznego”, „Życia Literackiego”, „Kultury”, „Tygodnika Kulturalnego”.

Esaj tu zamieszczony został przygotowany na seminarium krytyczne, które odbyło się na Uniwersytecie Warszawskim w czasie ubiegłorocznych Dni Fantastyki.

(an)

Juliusz K.
Palczewski

XIX-wieczne koneksje nowoczesnej SF

(Wells i Verne)

Herbert George Wells na arenie literackiej pojawił się ze swoją fantastyką naukową pod koniec wieku XIX. Była to fantastyka zasadniczo odmienna od tej, jaką w tym samym stuleciu uprawiał jego wielki poprzednik we Francji, Jules Verne.

Francuz usiłował w maksymalnym stopniu wszystko doprowadzić, dopowiedzieć, wyjaśnić do końca, lubował się w triumfalistycznych, ilustrowanych kropkach nad „i”. Anglik zatrzymywał się u progu tego co nieodkryte, nieodgadnione, nieznane i z pokorą kreślił skromne, choć intrygujące znaki, zapytania. Dlatego to od niego właśnie bierze swój, rodowód prawdziwie nowoczesna science fiction.

Wells zadebiutował w 1895 r. krótką, ale iscie genialną powieścią fantastyczno-naukową „Wehikuł czasu”, wizją ludzkości roku 802 701 (zwróćmy uwagę na opadający ciąg liczbowy oznaczający progresję spadkową, chyłącą się, kurczącą, zasadniczą tendencją utworu zostaje przeto zaznaczona już w samej materii cyfrowej, znamenie to szczególnie w dobie dzisiejszej, dominacji, znaku w sferze artykulacji literackiej) przenoszącą, rzutującą w daleką przyszłość współczesne zjawiska i tendencje społeczne. W przyszłości tej dokonuje się podział na życie nad i pod powierzchnią ziemską, szczególnie w swej drastycznej wymowie akt sprawiedliwości społecznej, kiedy to dalecy potomkowie klas pracujących (Mordkowie) żywią się mięsem potomków klas uprzywilejowanych (Elojów). Ukazana tu dychołomia życia nie ogranicza się do sfery społecznej, jawi się natomiast w aurze pogłębionej, kompleksowej symboliki jako wielostronny i wielopłaszczyznowy cykl antynomiczny, gdzie człowiek z jego piękniejącą naturą chybotliwie sytuuje się między sferą światła i sferą ciemności. Podobnie szeroki zakres tematyczny oraz kanwę ma druga powieść science fiction Wellsa – „Wyspa dr Moreau” (1896), w alegorycznym skrocie, metalicznym blasku przedstawiająca wieloaspektową problematykę procesu ewolucyjnego człowieka jako gatunku, rodzenie się państwowości, więzi społecznych, kultu sakralnego, uściślającego zasady

i normy współżycia porządku prawnego. Następny utwór, „Niewidzialny człowiek” (1897) podejmuje kluczowe dla całej naszej współczesności zagadnienie odkrywczości i wynalazczości naukowej, koncentrując się na aspekcie moralnym sprawy sytuacji uczonego stojącego przed zasadniczym wyborem – w niniejszym wypadku świadomie go dokonującego i godzącego się na zbrodnię. Słynna, modelowa powieść science fiction „Wojna światów” (1898) za parawanem najeźdy Marsjan na Ziemię, który kończy się totalną klęską ludzkości, całkowitym zdruzgotaniem materialnych podstaw jej bytowania – staje się wielką metaforą ogólnego, wszechosaczającego zagrożenia wynikającego z aktualnej struktury, z istniejącego systemu więzi społecznych i cywilizacyjnych. „Gdy śpiący się budzi” (1899) jest znowu wzorcową antyutopią albo utopią negatywną, w sposób zasadniczy określającą i kształtującą współczesny rozwój tego gatunku od E.M. Forstera przez Aldousa Huxleya po Kurta Vonneguta i Ursulę Le Guin. Rzecz stanowi przerażająca wizja kumulującej się w miastach-mrowiskach, zredukowanej do nagich wyznaczników i norm, skoszkarowanej, cynkizacji przyszłości, z rygorystycznymi podziałami klasowymi, laboratoryjnym wychowem płodu ludzkiego, całkowitym odizolowaniem się od przyrody, przecięciem więzów z przeszłością i tradycją. Przedłużeniem niejako, a jednocześnie modyfikacją tej wizji jest powieść „Pierwsi ludzie na Księżycu” (1901). Zaznacza się tu ścisłe jeszcze zachowanie rygorów podziału w zależności od wykonywanej funkcji społecznej, całkowite zniwelowanie i zniweczenie osobowości, indywidualności, jakichkolwiek wyodrębniających przymiotów i cech jednostkowych – w przeciwieństwie przeto do klasycznej fantastyki naukowej Verne’a, koncentrującej swą uwagę na szczególe technicznym – w przypadku Wellsa mówić raczej należy o kompleksowej, pogłębionej fantastyce cywilizacyjnej, a nawet cywilizacyjno-kulturowej, w szczególnie sposób, z poszerzonej i wydłużonej perspektywy dokonującej oglądu spraw ludzkich. Idzie tu o

tyło o szczegóły naukowe, ile o jego najszerzej rozumiane implikacje i konsekwencje, o sprzężone widzenie biologicznej ewolucji rodzaju ludzkiego, dokonujących się procesów społecznych i rozwoju naukowo-technicznego. Stawiając zagadnienie na innej niż znowu płaszczyźnie – antropologicznej – można by stwierdzić, że mamy tu do czynienia ze zmetalizowanym traktatem o ludzkiej naturze. Dziś przynajmniej przecież, iż niedoceniana niegdyś fantastyka naukowa Wellsa stanowi najbardziej ważki i najoryginalniejszy jego wkład tak do literatury jak do historii myśli współczesnej.

Omawiając utwory science fiction pisarza nie raz posługujemy się określeniem „metaforyczny”. Mają one bowiem z pewnością niejednoznaczny wymowę, nacechowaną wieloślownością, wieloaspektową symboliką, gdzie akcja płynie różnymi, to oddalającymi się, to znowu zbliżającymi lub przecinającymi nurtami, na wielu płaszczyznach nachylonych ku sobie albo krzyżujących się z zaskakującą zmiennością. Jest Wells przy tym zresztą mijałorem i pionierem wszystkich zasadniczych kategorii literackich współczesnej fantastyki naukowej: najsłynniejszego bodaj w całej literaturze opisu podróży w czasie („Wehikuł czasu”), przypowieści alegoryczno-symbolicznej („Wyspa dr Moreau”), nowoczesnej baśni („Niewidzialny człowiek”), tysiącokrotnie naśladowanej i powielanej opowieści o najeździe z kosmosu („Wojna światów”), wreszcie modelowej antyutopii („Gdy śpiący się budzi”), „Pierwsi ludzie na Księżycu”).

Podkreślimy raz jeszcze, że to właśnie science fiction Wellsa, bardziej niż wiążące się z późniejszymi stadiami twórczości pisarza próby kształtowania świadomości globalnej, stanowi jego główny tytuł do stawy do rehabilitacji przebiegającej z tak ogromnym powodzeniem i w tak przekonywający sposób poczynający od lat sześćdziesiątych.

1976 (ciąg dalszy)

- 1105.** MALINOWSKI K[rzysztof] W[iesław] *U wrot Wszechświata* Warszawa Nasza Księgarnia 8° ss 161, nrb 3. 20 000 egz
NOWE oblicze biologii [zawiera też opowiadania SF] - zob MS
- 1106.** PAKCINSKI Marek *Owadzia planeta* Warszawa Czytelnik 32° ss 193 nrb 3 10 000 egz - ASF/U/W
- 1107.** PETECKI Bohdan: „Rubin” przerywa milczenie Katowice Wyd. „Śląsk” 16° ss 169, nrb 3 20 000 egz
POLSKA nowela fantastyczna - zob AF
- 1108.** ROBOT nr 3 Aut. Janusz A[ndrzej] Zajdel [i in.] Warszawa Nasza Księgarnia 8° ss 58, nrb 6 - Stało się Jutro. Opowiadań fantastycznych zbiór szósty - Brak nazw red SEGHERS A. *Niezwykłe* - zob AF
- 1109.** TWAROGOWSKI Tadeusz *Kłęska dyktatora. Tajemnice zaginionego ładu. Typ spod ciemnej gwiazdy* Warszawa Nasza Księgarnia 8° ss 67, nrb 5. 30 000 egz - Stało się Jutro. Opowiadań fantastycznych zbiór piąty
- 1110.** WELLS Herbert George *Opowieści fantastyczne* T. I-II Wybór Władysław Kopaliński Tłum. [z ang.] Eugenia Żmijewska [i in.], Postowie Krystyna Słamirowska. Wyd. II popr. Kraków Wyd. Literackie 16° T. I ss. 255, nrb 4, T. II ss. 273, nrb 2. 50 000 egz. - Biblioteka Klasyki Polskiej i Obcej
- 1111.** WOLANIE na Mlecznej Drodze Aut. Zbigniew Dworak [i in.] Red. Wstęp i noty o autorach Zbigniew Przyrowski Warszawa Nasza Księgarnia 8° ss. 192, nrb 4 20 000 egz
- 1112.** ZAJDEL Janusz A[ndrzej] *Iluzji* Warszawa Nasza Księgarnia 8° ss. 205, nrb 3. 30 000 egz
- 1113.** ZEGALSKI Witold *Wyspa Petersena* Wyd. II rozsz. Poznań Wyd. Poznańskie 16° ss 248, nrb 4 20 000 egz - SF
- 1114.** ŻWIKIEWICZ Wiktor *Zerwane ogniwo. Marzenie. Kłamstwo. Podpalacze nieba* Warszawa Nasza Księgarnia 8° ss 71, nrb 5. 30 000 egz - Stało się Jutro. Opowiadań fantastycznych zbiór ósmy. - Na okł. tyt. *Podpalacze nieba*

SF dla dzieci i młodzieży (CJSF):

- ALFA - zob ASF
- 1115.** HERLINGER J[uliusz] J[erzy] *Mister Hopkins, wnuk Sherlocka* wyd. III Warszawa Nasza Księgarnia 8° ss 250 nrb 2 20 000 egz
KUCZYŃSKI M. *Katastrofa* - zob ASF
- 1116.** MINKOWSKI Aleksander *Nasturcja i Lew* Wyd. III Warszawa Nasza Księgarnia 16° ss 232, nrb 4. 30 000 egz. - Klub Siedmiu Przygód
- 1117.** TOMASZEWSKA Marta *Tapatiki kontra Mandible* Warszawa. Kraj Ag. Wyd. 16° ss 125, nrb 3. 40 000 egz - Stanowi I. III cyklu, t. I poz. 947/74
- 1118.** TOMASZEWSKA Marta *Tapatiki na Ziemi* Warszawa Kraj Ag. Wyd. 16° ss. 129 nrb 3 50 000 egz - Stanowi I II cyklu t. I poz. 947/74
- 1119.** VERNE [Jules] *Wyprawa do wnętrza Ziemi* Tłum. [z franc.] Ludmiła Duninowska. Wyd. III Warszawa Nasza Księgarnia 8° ss 274, nrb 2 50 000 egz - Na k. tyt. imię aut. Juliusz

Utopia (U):

- AFANASJEW J. *Radosna*. zob AF
- 1120.** APULEIUS Lucius Madaurensis *Metamorfozy albo Złoty osioł* Tłum. [z łac.] Edwin Jędrkiewicz Wyd. III. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 267, nrb 5. 20 000 egz - Biblioteka Klasyki Polskiej i Obcej - Na k. tyt. aut. Apuleusz - U/AF
- 1121.** BRATNY Roman *Wybór opowiadań* Warszawa Iskry 16° ss. 280, nrb 4. 15 000 egz Zawiera m. in. *Poprawianie Pana Boga* (U/AF) s. 120-154 i *Odjazd w niezbadane* (ASF/U) s. 208-237
- 1122.** [BRUSOV Waleryj] *Rea Silvia i inne opowiadania* Wybór tłum. [z ros.] i przedm. René Śliwowski Warszawa Państw. Inst. Wyd. 16° ss 297, nrb 3 10 000 egz - Na k. tyt. aut. Walery Brusow. - 18 opowiadań, w tym 9 fantast. - U/W/AF
- DRZEŻDŻON J.** *Oczy...* - zob AF
- 1123.** KARINITHY Ferenc *Epepe* Tłum. [z węg.] Krystyna Pisarska. Warszawa Inst. Wyd. Pax 16° ss 167, nrb 1. 5 000 egz
- PAKCIŃSKI M. *Owadzia*. - zob ASF
- 1124.** PARNICKI Teodor *Sam wyjdź bezbronny* Powieść fantastyczno historyczna. Postowie Andrzej Polkowski Warszawa Inst. Wyd. Pax 8° ss. 688, nrb 2 5 000 egz
- 1125.** POTOCKI Jan *Rękopis znaleziony w Saragossie* [Tłum. z franc. Edmund Chojceki] Oprac. i koment. Leszek Kukułski Wyd. IV powoj. T. I-II Warszawa. Czytelnik 16° T. I ss 444, nrb 4, T. II ss 422, nrb 4 30 000 egz. - Biblioteka Klasyki Polskiej i Obcej
- WOLF C. *Kota* - zob AF
- 1126.** WU-CZ' ENG-EN *Małpi bunt* Tłum. z chińskiego i wstęp Tadeusz Żbikowski Warszawa. Czytelnik 8° ss 212, nrb 4 20 000 egz. - U/AF
- 1127.** ŻYLIŃSKA Jadwiga *Gospoda samobójców* Opowiadania. Warszawa. Czytelnik 16° ss. 168 nrb 2 20 000 egz

Fantazja dla dorosłych (AF):

- 1128.** AFANASJEW Jerzy *Chimery* Opowiadania wybrane [z poprzednich zbiorów] Wstęp Marek Grześciak Gdańsk Wyd. Morskie 16° ss 175, nrb 1 10 000 egz
- 1129.** AFANASJEW Jerzy *Radosna twórczość* Łódź Wyd. Łódzkie 16° ss 139 nrb 5 50 000 egz - AF/U
- 1130.** APOLLINAIRE Guillaume *Poeta zamordowany* Tłum. [z franc.] Julia Hartwig i Artur Międzyrzecki Postowie Artur Międzyrzecki. Wyd. II. Kraków Wyd. Literackie 16° ss. 192 nrb 3. 10 000 egz
- APULEIUS L. *Metamorfozy* - zob U
- 1131.** BOSCO Henri *Portalek* Tłum. [z franc.] Izabella i Julian Rogoziński Warszawa Inst. Wyd. Pax 16° ss. 121, nrb 2 10 000 egz. - Elementy fantast.
- BRATNY R. *Wybór* - zob U
- BRUSOV V. *Rea*. - zob U

Polska fantastyka w RFN

W roku 1986 w RFN ukazały się poza przekładami dzieł Stanisława Lema także tłumaczenia książek innych polskich autorów fantastyki. Wydawnictwo Suhrkamp Verlag we Frankfurcie nad Menem opublikowało w serii „Kieschkoffer”, „Phantastische Bibliothek” Dwa konce świata Antoniego Stenimskiego z roku 1937. Wcześniej ukazała się w tej samej serii inna książka tego autora - „Torpeda czasu”. Przekład dokonała znana tłumaczka Edda Werfel. Niemieckie wydanie „Dwa konce świata” (Zwema Weltuntergang) zawiera także postowie Stanisława Lema przetłumaczone przez Hannę Rottensteiner. W tej samej serii wydano w dwóch tomach znaną antologię Juliana Tuwima „Polska nowela fantastyczna” pod niemieckimi tytułami „Das namenlose Grabmal” oraz „Beherrscher der Zeit”.

★

Hanna Rottensteiner ukończyła przekład Paroksyzmu minus jeden Ryszarda Głowackiego. Nowela ta ma ukazać się w 1987 r. nakładem wydawnictwa Wilhelm Heyne Verlag w Monachium, prawdopodobnie w ramach międzynarodowej antologii SF.

SF w RFN

Zachodniemieckie wydawnictwo Moewig Verlag, które w ostatnim czasie zawiesiło liczne serie science fiction (niedawno „Terra Fantasy” oraz „Andre Norton”), jak również zeszytów serie grozy „Dämonenkeller” - rozstało się ze względu na finansowych ze swoim edytorem SF Hanssem Joachimem Alpersem. Alpers jest współautorem kilku opracowań literatury SF, wśród nich „Lexikon der literatur science fiction (Heyne)” oraz „Przewodnika po SF” (SF-Führer - Reclam).

■

Wolfgang E. Hohlbein, najpopularniejszy (po Michaelu Endem) autor fantastyki niemieckiego obszaru językowego, opublikował ostatnio w wydawnictwie Ueberreuter kolejną powieść „Hagen von Trone” opartą na znanej Sadze o Nibelungach.

Nagroda im. Johna Campbella

John Campbell Memorial Award za najlepszą powieść roku 1985 otrzymał David Brin, autor książki „The Postman”. Nagrodę wręczył laureatowi przewodniczący międzynarodowego jury James Gunn, dzień następnego lipca 1986 i podczas poświęconej Campbellowi konferencji na Uniwersytecie w Lawrence (Kansas). W skład jury wchodził ponadto Sam Lundvall, Kingsley Amis, T.A. Shippey, Walter E. Meyers, Elizabeth Anne Hull i Algis Budrys. Drugą nagrodę przyznano Kurtowi Vonnegutowi, autorowi powieści „Galapagos”, a trzecią Gregowi Bearowi („Blood Music”) wspólnie z Keithem Robertsem („Kite-world”).

Plany Douglasa Adamsa

Douglas Adams, popularny brytyjski autor serii „Hitchiker's Guide to the Galaxy”, rozpoczyna nową serię, którą nazwał „romantyczno-komediowym eposem grozy o upiorach, detektywach i podróżach w czasie”. Prawa brytyjskie zakupiły za 575 000 funtów szterlingów wydawnictwa Heinemann (wydanie oprawne) oraz Pan (pocket-book), prawa amerykańskie za 2 225 000 dolarów - Simon and Schuster. Pierwsza część, „Dirk Gently's Holistic Detective Agency”, ma ukazać się wiosną 1987 r. Cztery wcześniejsze książki Douglasa Adamsa z serii „Hitchiker” osiągnęły już w USA łączny nakład 4,5 miliona egzemplarzy.

cdn.

Przygotował Jacek Izworski



Boom na science fiction w USA

Od początku lat osiemdziesiątych literatura science fiction w USA przeżywa rozkwit. W roku 1985 fantastyka stanowiła 10% ogólnej sprzedaży beletrystyki, przy czym wydaje się ją już nie tylko w formie „kieszonkowców”, ale także w oprawie twardej.

Jedno spojrzenie na listę bestsellerów amerykańskiego czasopisma branżowego „Publishers Weekly” przekonuje o silnej ofensywie literatury science fiction: Anne McCaffrey („Nerilka's Story”), Terry Brooks („Magic Kingdom for Sale – Sold!”), Arthur C. Clarke („The Songs of Distant Earth”) zajmują miejsca od ósmego do dziesiątego. Cała trójka to uznani pisarze SF, cieszący się wielką sławą również u nas. Pierwszoplanową postacią tego gatunku jest jednak obecnie ktoś inny, a mianowicie 75-letni dziś Ron L. Hubbard, który robi furorę w USA swoją zaplanowaną na dziesięć tomów kroniką „Mission – Earth”. Pierwsze trzy części tego cyklu znalazły się na liście bestsellerów potentata księgarskiego B. Daltona na miejscach 5, 7 i 9.

Nawet eksperci nie są zgodni co do przyczyn tak żywego wzrostu zainteresowania fantastyką, na ogół uważa się jednak, że literatura SF stała się poważniejsza i sięgnęła wyższego poziomu literackiego. Coraz rzadziej centrum uwagi zajmują tam krwiozercze polwoiry i roboty, ustępując miejsca poważnym konfliktom między człowiekiem i techniką.

Popyt wzrósł odczuwalnie przede wszystkim po 1982 roku, kiedy wielkie firmy księgarskie USA zaczęły bardziej interesować się literaturą science fiction. Wiodący na rynku księgarskim Waldenbooks poiról wówczas swoje zamówienia na książki tego gatunku, natomiast w roku 1983 założył klub science fiction „Other Worlds”, liczący dziś 400 000 członków.

Pouczających danych na temat rynku księgarskiego i jego klientów dostarczyła ankieta Instytutu Badania Opinii Publicznej Gallupa, która pomiędzy styczniem i grudniem 1985 objęła niemal 12 000 Amerykanów w wieku powyżej 18 lat. Z ankiety tej wynikało, że klienci nabywają 70% wszystkich książek SF, oferowanych w księgarniach amerykańskich (liczba ta przekracza znacznie przeciętną sprzedaż całkowitej produkcji wydawniczej w USA, która wynosi zaledwie 55%). 83% obrotu uzyskanego z literatury science fiction stanowią nadal serie kieszonkowe (wobec 68% produkcji ogólnej), obserwuje się jednak wyraźną tendencję zwykłą na korzyść książek w oprawie twardej.

Ankieta Gallupa ukazała też wizerunek typowego czytelnika literatury science fiction (w nawiasach dla porównania liczby dotyczące wszystkich gatunków literackich razem).

- 55% czytelników SF to mężczyźni (44%).
- 57% ma od 18 do 34 lat (43%).
- 64% ma co najmniej średnie wykształcenie (59%).
- 77% zakupiło w ciągu ostatnich trzech miesięcy przynajmniej pięć książek (65%).

Franz Rottensteiner

Na pytanie, kto odkrył Amerykę niektórzy specjaliści problemu odpowiadają: „Nie wiadomo kto był pierwszy, ale wiadomo, kto był ostatni: Krzysztof Kolumb”. Odpowiedź ta odzwierciedla w jakimś sensie obecny stan wiedzy, nie tyle może o tym kto pierwszy postawił nogę na nowym lądzie, ile o pojawieniu się w Ameryce pierwszego człowieka i w ogóle o zaludnieniu zachodniej półkuli. A są to problemy dotyczące dziejów ludzkości, znacznie dawniejszych niż te, o których dotarliśmy do nas jakieś znaczące przekazy.

Mezoamerykańskie zagadki

Arnold Mostowicz

Przypominam, że obowiązuje dzisiaj (choć jak się przekonamy coraz bardziej jest podawana w wątpliwość) teoria Alesa Hrdlicki głosząca, że pierwotna ludność Ameryki przedostała się do niej z Azji, przez dzisiejszą Cieśninę Berнга (przed dwunastoma tysiącami lat cieśnina ta była jeszcze szerokim pasmem lądu łączącym kontynent azjatycki z amerykańskim). Dodajmy przy okazji, że teoria Hrdlicki (sprzed lat kilkudziesięciu) jest nową wersją hipotezy wysuniętej jeszcze w 1583 r. przez niejakiego Jose de Acosta.

Zgodnie z tą teorią, w ciągu tysiące lat inwazyjnych wędrowców przybyło do Ameryki z Azji po wszystkich trzech częściach nowego kontynentu, inaczej mówiąc teoria Hrdlicki zakłada jednorodność rasową całej pierwotnej ludności, która zamieszkiwała Amerykę przed Kolumbem i przed konkwistadorami.

Pierwsi wystąpili przeciwko temu antropologowie. Nawet bez specjalistycznych badań naukowych można się przekonać, że tacy, na przykład, Tehuelchowie z Patagonii liczą sobie przeciętnie 180 cm wzrostu podczas gdy wzrost Indian brazylijskich czy kolumbijskich nie przekracza 150 cm. Liczne ogłoszone przez antropologów prace mówiące o różnicach rasowych między poszczególnymi grupami Indian spowodowały, że obok teorii Hrdlicki pojawiły się nowe. Jedną z nich jednak nie uwzględniała całokształtu tego niezwykłego fenomenu, jakim się okazała pierwotna ludność Ameryki.

Najdotkliwszy jednak cios koncepcjom jednorodności rasowej Indian, a więc i teorii Hrdlicki, zadał w latach sześćdziesiątych Aleksander von Wuthenau, profesor historii sztuki na Uniwersytecie w Meksyku.

Aleksander von Wuthenau zebrał w ciągu piętnastu lat mozolnych poszukiwań 350 starych posągów glinianych, które stanowią dzisiaj jedną z najniezwyklejszych galerii portretów ludności amerykańskiej sprzed konkwisty. Galeria ta obrazuje olbrzymią różnorodność rasową dawnych mieszkańców Ameryki, a przede wszystkim tej części kontynentu, którą objęła badana von Wuthenau. Chodzi o Mezoamerykę, Amerykę Środkową rozciągającą się od południowych granic Stanów Zjednoczonych na północy do Hondurasu i Salwadoru na południu.

Czegóż i kogóż to posągi te nie przedstawiały! Są w tej kolekcji twarde „reprezentacje” typów

azjatycki są wyraźnie negroidalne są wreszcie o rysach bez wątpliwości europejskich, a także brodate twarze o profilu zdecydowanie semickim. Wszystko oddane jest z takim realizmem, że nie może być wątpliwości kogo nieznani artyści zamierzali przedstawić.

Dodajmy od razu, że posągi te nie mają żadnego charakteru religijnego nie przedstawiają więc żadnych dobrych ani złych bogów, żadnych demonów, ani nie personifikują sił natury. Posągi te przedstawiają ludzi, z którym artyści spotykali się na każdym kroku. Jak byśmy dzisiaj powiedzieli – są to portrety prostych, szarych ludzi, „z ulicy”, gdyby ulice wówczas istniały – przeciętnych Majów czy Toltéków. Olo małka z dzieckiem na ręku, olo muzyk grający na flecie, olo wojownik, nosiwoda, kupiec, piękna dziewczyna. Wiele pięknych dziewcząt!

Są to prawdziwe dzieła sztuki. Najstarsze pochodzą sprzed ok. 5000 lat, a najmłodsze – już sprzed najazdu Hiszpanów, inaczej mówiąc zebrał von Wuthenau dzieła rzeźbiarskiej sztuki portretowej, które powstały na przestrzeni około czterdziestu pięciu wieków.

Zarówno w Ameryce jak i w niektórych krajach europejskich ukazały się obszerne albumy poświęcone tej niezwykłej kolekcji. Właściwie już na podstawie zbiorów von Wuthenau należałoby dokonać rewizji większości teorii dotyczących pochodzenia ludności amerykańskiej. Wydaje się jednak, że rewizja taka byłaby zbyt bolesna i dlatego zebrane przez von Wuthenau dzieła artystów sprzed tysięcy lat, nie stały się jeszcze takim argumentem, jakim śląc się powinny.

Zresztą, gdyby do tej rewizji przystąpić należałoby uwzględnić nie tylko kolekcję von Wuthenau, ale wiele innych, nie mniej rewelacyjnych łaskot. Pozostając w dziedzinie antropologii przypomnieć warto odkryte w Paracas (Peru) mumie białych mieszkańców tych terenów sprzed wielu wieków. Należałoby uwzględnić także „białych Indian” z Paragwaju, których przodkami byli zdaniem specjalistów, Wikingowie. Wikingowie pojawili się tutaj mniej więcej w dziesiątym wieku.

Również i etnografia miałaby w tej sprawie coś do powiedzenia. Nie można przecież pominąć legend i mitów, jak też współczesnych obrządków i obyczajów Indian zarówno z północy, jak i z południa, Indian wzywających swoje pochodzenie z

jakimś ładem który miał pogrążyć się w falach Pacyfiku. Należałoby odpowiedzieć także na niepokojące pytanie, dlaczego, jeśli pierwotni mieszkańcy Ameryki przedostali się tutaj z Azji, i przy był na teren kontynentu przez „Most Beringa” – najwspanialsze cywilizacje utworzyli w najmniej sprzyjających warunkach, Środkowej i Południowej Ameryki (Andy), a nie na żyznych, o łagodnym klimacie, terenach Ameryki Północnej?

Wróćmy jeszcze na chwilę do terakotowych posazków von Wuthenaua. Użyłem określenia „posazki terakotowe”, ale dodać trzeba, że z braku odpowiednich przyrządów garncarskich figurki te były modelowane różnymi sposobami ze zwykłej gliny. Przygotowywanie samego surowca, następnie kolorowanie i suszenie końcowego produktu, przebiegało różnie w różnych epokach i na różnych terenach. Von Wuthenau cytuje przykłady świadczące, że indyjskie doszły w tej sztuce do niezwyklej czasami perfekcji.

Jak wiadomo, liczne legendy dawnych Indian mówią o białych bogach, których tradycja prekolumbijska zna bądź pod imieniem Kon Tiki, bądź Wirakocza, bądź Kuku kan, bądź Bochica czy Quetzalcoatl. Az do pojawienia się w Ameryce Hiszpanów pamięć o nowych białych bogach była bardzo żywa. Jest rzeczą niezwykle, że figurki wyobrażające twarze przedstawicieli rasy białej posiadają (choć nie zawsze) liczne rysy semickie. Już po ukazaniu się albumu von Wuthenaua, zarówno on, jak i jego współpracownicy dokonali dalszych odkryć i to prawie wyłącznie figurek wyobrażających twarze semickie. Czy chodzi tu o Fenicjan których dalekie wyprawy mogły dotrzeć niegdyś do Ameryki? Przypomnijmy że w 1580 r. dominikanin ojciec Diego Duran wspominał w swojej kronice, że wśród ludności indyjskiej spotyka się osobników o rysach wybitnie żydowskich.

Jeśli idzie o przedstawicieli rasy białej to w kolekcji von Wuthenaua znaleźć można posazki przedstawiające – poza semitami – twarze Hitytów, Persów, Kreteńczyków... Ciekawe, że to właśnie posazki, za co von Wuthenau do najstarszych. A wśród tych najstarszych są jeszcze typy wyraźnie sumeryjskie.

Wspominałem też że wiele posazków przedstawia twarze typowo negroidalne. Inaczej mówiąc, niewolnicy murzyńscy nie byli pierwszymi przedstawicielami czarnej rasy na kontynencie amerykańskim. Zresztą ceramiki negroidalne odnaleziono w Argentynie i to w bardzo głębokich pokładach co świadczy o ich starości. W Brazylii już dawno odkopano szkielety osobników należących z całą pewnością do rasy czarnej. Posazki von Wuthenaua świadczą, że obecność murzynów w Ameryce była dość częsta.

Sporo też w kolekcji von Wuthenaua twarze zdecydowanie chińskie. W Meksyku takie posazki o twarzach specyficznie chińskich noszą nazwę „chinescos”. Von Wuthenau uważa, że właśnie tego rodzaju posazki charakteryzują się niezwyklej nowocześnieścią i wysokim poziomem artystycznym. Inne natomiast zwracają uwagę tym, że przypominają styl rzeźb wykonywanych przez Ainów (Ainowie to nieznanego pochodzenia lud zamieszkujący jedną z wysp japońskich – Honsiu, charakteryzują się dużym wzrostem i rysami przypominającymi rasę białą). Te „ainowskie” statuetki są najstarsze i pochodzą sprzed ok. 5000 lat. Podkreślam ten fakt dlatego, że ludzie obrzędy wierzenia i legendy Indian północnoamerykańskich, głównie plemienia Hopi, są identyczne z obrzędami i legendami Ainów. Zarówno jedn, jak i drudzy wywodzą swoje pochodzenie z ładu który istnieć miał na Pacyfiku. Identyfikacja tych wierzeń i mitów jest tak daleko idąca, że po ukazaniu się w Japonii tłumaczonej z angielskiego książki o Indianach Hopi, przedstawiciele Ainów udali się do Ameryki, by tam przyrzeć się obyczajom szczepu, z którym łączą

ich prawdopodobnie wspólne pochodzenie i wspólna, oparta na tym pochodzeniu tradycja.

Na marginesie tego azjatyckiego „działu” kolekcji von Wuthenaua warto przypomnieć inny jeszcze fakt. Otóż w 1865 r. odkryto w Peru posazek z epoki przedkolumbijskiej przedstawiający ludzką postać siedzącą na zółwie otoczoną przez węże. Postać ta trzyma w rękach dwie tablice pokryte jakimiś znakami. Posazek był pokazany na kongresie amerykańistów w Brukseli w 1879 r. Napis zaś na tablicach został odczytany przez sinologa, doktora Denisa Lu Skreslony znakami chińskimi napis oznaczał Wu Tang Szan, czyli „Góra Wu Tang”. Góra taka rzeczywiście istnieje, znajduje się w Chinach w prowincji Hopei, a związanych jest z nią mnóstwo legend. Jedną z tych legend mówi o bogu Czen Wu, który urodził się ze związku zółwia z węzłem. Bog ten panował nad północną i deszczem. Niezwykłe to znalezisko nigdy nie było dotychczas skomentowane. A skłania, jeśli już nie do zdziwienia, to przynajmniej do zadumy.

★

Trudno nam sobie dzisiaj wyobrazić, jaki mełlik w głowach Europejczyków wywołało pod koniec XV wieku odkrycie Ameryki. Zgodnie bowiem z świadomością wpajaną przez Biblię, mieszkańcy nowego kontynentu nie mogli być uznani za ludzi. Dopiero bulla Pawła III z 1537 r. uznała Indian za istoty rozumne, czyli za takie same co ludzie biali. Tylko, że bulla bullą, a jak postępowano z Indianami w następnych wiekach (a szczególnie w szesnastym) – wiadomo.

Później przyszedł czas na rozróżnianie bardziej naukowe. Jedną hipotezę gonila druga. Niejaki Florentino Ameghino doszedł do wniosku, że w ogóle pierwszy człowiek przyszedł na świat właśnie w Ameryce i pochodził od istoty o nazwie Homunculus Patagonicus i że to z Ameryki przybyły pierwsze istoty ludzkie do Europy.

O teorii Hrdlicki była już mowa. Jest to teoria zbyt prosta, powiedziałbym zbyt gładka, chociażby z punktu widzenia antropologii. Nic więc dziwnego, że powstało немало hipotez odmiennych, tym bardziej że możliwości są tu nieograniczone.

W 1924 r. uczony francuski Paul Rivet wykazał istnienie silnych związków między Oceanią a Ameryką. Uznał, że związki te są rezultatem migracji Melano-Polinezjczyków, a także – uważa! – Australijczyków na kontynent amerykański. Jedni mieli osiągnąć Amerykę drogą wodną przez ocean, drudzy zaś, przez Antarktydę, która 8-9 tysięcy lat temu miała prawdopodobnie klimat znacznie łagodniejszy od dzisiejszego. Obydwie te migracje nastąpiły przed migracją przez „most” Beringa. Oddzielna grupa nomadów mongoloidalnych miała przybyć jeszcze później, dając początek ludowi Eskimosów.

Uznając hipotezę Riveta w zasadzie za słuszną, ale zbyt wąską i ograniczoną, prof. Imbelline z Buenos Aires twierdzi, że Amerykę założyło siedem (!) kolejnych migracji. Najstarszą miała być migracja Aborygenów z Tasmanii. I ta teoria jest interesująca, tylko, że i ona, jak żadna z poprzednich nie daje odpowiedzi na pytanie skąd się w Ameryce wzięli przedstawiciele rasy białej i jeszcze do czego typu semickiego?

Tymczasem prowadzone stałe badania archeologiczne nakazywały cołnaczyć coraz bardziej datę pojawienia się na terenie Ameryki przedstawicieli naszego gatunku. Znalezione w Ameryce ślady człowieka sprzed 40-000 czy 50-000 lat, a nawet sprzed 120-000 lat! Tyle bowiem lat liczyć sobie mają odkryte na wschód od Los Angeles resztki ludzkie.

Z późniejszych teorii dotyczących pojawienia się pierwszych ludzi w Ameryce warto wspomnieć o teorii prof. Salvadore Carlas Fraua, również z Buenos Aires. Jest ona ostatniej daty, a

wyduje się ciekawa, zwłaszcza dlatego, że i ona uznaje Amerykę Południową za załudnioną dzięki migracji z wysp Polinezji. Jest to coś zupełnie przeciwnego niż twierdzi znany podróżnik norweski Thor Heyerdahl usiłujący udowodnić że to właśnie ludność amerykańska załudniła te wyspy.

Oprocz tego że żadna z tych teorii – jak powiadam – nie wyjaśnia skąd się wzięli w Ameryce przedstawiciele rasy białej (poza wiadomą geoneologią białych Indian z Paragwaju), żadna też nie wyjaśnia nagłych narodzin rozwoju, jak się wydaje od pierwszych chwil istnienia, cywilizacji Mezoameryki i Ameryki Południowej. Ludność, która w wyniku wspomnianych migracji osiedliła się w Ameryce stała na nader niskim szczeblu rozwoju, a wspomniane cywilizacje charakteryzują się zupełnie swoistymi cechami, jak na przykład umiejętność wypalania naczyń i dzieł sztuki z gliny, czy też umiejętność wznoszenia monumentalnych budowli o wyszukanej architekturze. Te cywilizacje nie mają nic wspólnego z bezpośrednią je poprzedzającą cywilizacją przedhistorycznymi zarówno w Ameryce Środkowej, jak i w Peru.

Może należałoby więc uwzględnić także możliwość migracji z Sumeru czy z Egiptu? A może możliwość kolonizowania Ameryki przez Fenicjan? (Chociaż Heyerdahl uważa że zęgowanie na prymitywnych łodziach nie było możliwe z zachodu na wschód). No i przecież nie do odrzucenia jest ewentualność istnienia jakiejś obejmującej całą planetę cywilizacji megalitycznej (patrz „Fantastyka” nr 3/87, str. 60), co zresztą przez każdego szanującego się uczonego zostanie natychmiast uznane za nonsens i fanazję.

Rzeczywiście. Można w ogóle nad wszystkim tymi zagadkami przejść do porządku dziennego a dowody rzeczowe w postaci 350 figurek von Wuthenaua potraktować tak jak potraktował je kolekcję podczas Kongresu Amerykanistów w Barcelonie (1964) jeden z wybitnych antropologów amerykańskich. Uczony ten uznał że reprezentowane w kolekcji von Wuthenaua różne rasy mogą być po prostu „wynikiem fantazji artystów”.

Niezwykły argument! Jakby nie było rzeczą oczywistą, że skoro przedkolumbijscy artyści z taką wiernością przedstawiali cechy charakterystyczne dla każdej z ras to dlatego że takie właśnie typy ludzkie mieli jako wzór w postaci modeli. Można wprawdzie uznać, że wyobraźnia Juliusza Verne’a potrafiła z niezwyklej przenikliwością przewidzieć rozwój technologii i nauk, ale jak można wyobrazić sobie, przepraszam jak można wynaleźć jakąś rasę, o której nie wie się, że egzystuje i przedstawić ją tak dokładnie? To tak jak byśmy postanowili wyobrazić sobie cechy mieszkańców jakiejś planety odległej od nas o tysiące lat świetlnych i gdybyśmy naszą wyobraźnię trafili w dziesiątkę. Ostatni argument nie jest mój ale publicysty francuskiego Patnicka Ferry'na, który o tej sprawie przed kilku laty pisał.

Wszystko zresztą wskazuje, że w dziedzinie badań nad pierwotną kolonizacją Ameryki czeka jeszcze naukę niejedno zdumiewające odkrycie. Odkrycie, które może całkowicie zmienić kierunek badań nad przeszłością ludności pierwotnej Ameryki i nad rozwojem jej przedkolumbijskich cywilizacji. Tym bardziej że coraz częściej i poważniej mówi się o możliwości istnienia przed tysiącami lat jakiegos kontynentu na Oceanie Spokojnym. A czy hipoteza mówiąca o istnieniu jakiejś obejmującej cały glob cywilizacji nie nabiera coraz bardziej realnego i racjonalnego charakteru jeśli uwzględnimy chociażby nowe prastare mapy z kolekcji profesora Hapgooda, o których kilkakrotnie pisałem? Tych niepokojących kolekcji zaczyna być coraz więcej. Hapgooda, von Wuthenaua, a dłużejż by nie Cabrery i jego kamieni z lca?

Nowojorskie drapacze chmur sterczą z oceanu, niby potężne skały. Woda pochłoneła już San Francisco i Nowy Jork, Hamburg i Hongkong, Londyn i Kair, Kopenhaga i Rzym (...). Anglia, Szkocja i Walia stały się małymi wyspami (...). Belgia, Holandia, Dania, a także na przykład Bangladesz już nie istnieją. Zapalane są rozległe obszary nadmorskie Stanów Zjednoczonych, Chin, Europy Północnej (...) Wokół Morza Śródziemnego panuje natomiast mordercza susza (...), cała roślinność ginie, wysychają studnie, powstaje pustynia. W strefie podzwrotnikowej upał stał się jeszcze bardziej przytłaczający (...). Burzom o niespotykanej dotąd gwałtowności towarzyszą katastrofalne deszcze. Pędzone sztormami fale morskie pustoszą lasy i pola, paraliżują żeglugę (...). Obszary, niegdyś najbardziej na Ziemi urodzajne wyschły i przekształciły się w suchy step.

Z tamtej strony lustra

Maciej Iłowiecki

MIŁA ZABAWA W CIEPLARNI

Nowy potop, czas Wielkiej Zagłady, wyczarowany na kartkach powieści SF? Początek scenariusza filmu grozy? Nie – to po prostu dziennikarska wizja tego, co nastąpi, jeśli spełnią się przewidywania klimatologów. Przytoczony fragment pochodzi z zachodniemieckiego pisma „Der Spiegel” z roku 1986. Dziennikarze lubią przesadzać, ale „Der Spiegel” powołuje się na opinie wielu wybitnych ekspertów z wielu poważnych ośrodków naukowych świata. Właściwie nie chodzi tu już o wizję, która może być bardziej lub mniej katastroficzna. Chodzi o pewność, że na Ziemi zmienia się klimat, a kierunek tych zmian jest bardzo niekorzystny. „Staramy się uzmysłowić ludziom – powiedział J.S. Hoffman, dyrektor naukowy Agencji Ochrony Środowiska w USA – że zmiany klimatu nastąpią wcześniej, niż się spodziewano. Wyraźne zmiany dadzą o sobie znać między rokiem 1990 a 2000...”

No cóż, tyle już znamy scenariuszy grozy i tak się wciąż nas wszystkim straszy, że uodporniliśmy się na strachy przyszłości. Wprawdzie wiemy już także, iż staropolskie pocieszenie „jakoś to będzie” nie warto jest – jak to się mówi – funia kłaków, ale mimo wszystko, przypuszczam, mało kto tak naprawdę przeżyje się wizjami czekających ludzkość katastrof. Dostyc mamy swoich małych katastrof na co dzień.

Zatem po prostu przyjrzyjmy się spokojnie, co i dlaczego w najbliższym czasie zacznie się wyrywać z klimatem na tej planecie, z której przecież i tak uciec nie możemy. O tym, że w historii Ziemi jej klimat zmieniał się wielokrotnie, wie – czy powinien wiedzieć – każdy uczeń. Mniej więcej od miliona lat wstecz zmiany te są niezłe poznane i wiadomo, że na przemian występowało ochłodzenie i ocieplenie, z tym, że zimno trwało zawsze długo (przeciętnie – 100 tysięcy lat), a ciepło krótko (zwykle około 10 tysięcy lat). Były kiedyś czasy, kiedy na przykład Anglię zamieszkwały hipopotamy i lwy, ale przez większość czasu, w którym żył i mnożył się gatunek *Homo sapiens* panowały, zwłaszcza w Europie, straszliwe mrozy. Ostatnia epoka lodowa zaczęła się 25 tysięcy lat temu, ale trwała niespodziewanie krótko, bo ocieplić zaczęło się już przed mniej więcej dwunastoma tysiącami lat, era lodów skończyła się przed 10 tysiącami lat. I chociaż to szybkie ocieplenie znowu osłabło przed 6 tysiącami lat, warto zdać sobie sprawę, że właściwy rozwój cywilizacji ludzkiej (ostatnie 10 tysięcy lat) przypadł na okres względnie CIEPŁA i zapewne nie jest to przypadek – dla naszego gatunku najlepsze jest umiarkowane ciepło!

Wielkie cykle klimatyczne spowodowane są różnymi czynnikami. Wśród tych czynników ważną rolę odgrywają – właśnie cyklicznie zmienne – kształt orbity ruchu Ziemi wokół Słońca (cykl 95 tys. lat), nachylenie osi Ziemi (cykl 41 tys. lat), tzw. precesja biegunów Ziemi (cykl 25 800 lat) i inne. Występują też znacznie bardziej krótkotrwałe i zależne od innych czynników wahania klimatu. Na przykład stosunkowo ciepło było w Europie od czasu Karola Wielkiego po czasy naszego Władysława Łokietka. W czasach odkrywania i podboju Ameryki zimy stawały się wyjątkowo mroźne, a lata deszczowe (bywało, że nawet śniegi padały w lecie!) – i tak trwało mniej więcej do połowy XIX wieku. W latach 1920–1950 notowano najwyższe średnie temperatury w ostatnim tysiącleciu i zdawało się, że będzie coraz przyjemniej (przynajmniej pod względem klimatycznym). Tymczasem po II wojnie światowej zaczęło się oziębiać, do tego stopnia, iż z powodu krótszej wegetacji i niższej temperatury zbiory zbóż w samej Europie były czasem mniejsze aż o 20% (np. w 1972 r.). Wahania klimatyczne stały się jakby skrajniejsze i częstsze niż dawniej, być może zresztą teraz po prostu uważniej i dokładniej obserwujemy te zmiany, było już przecież narzędzie tak wspaniałe, jak satelity meteorologiczne. W każdym razie jeszcze w początkach lat siedemdziesiątych wśród ekspertów od klimatu przeważał pogląd, że wkraczamy właśnie w coś w rodzaju małej epoki lodowcowej. W końcu nic dziwnego, tyle przecież czasu trwał już okres międzylodowcowy, a ilość nieotopniających lodów i śniegów w okolicach podbiegunowych zaczęła właśnie rosnąć.

Zatem naturalne cykle wskazywały na początek oziębiania się planety. Różnie oceniano wpływ tego zimna na rozwój cywilizacji i możliwości wyżywienia rosnącej liczby ludzi, przeważał jednak pogląd, iż powolne oziębianie jest lepsze od nagłego, na przykład, ocieplenia. Ale obserwatorom i znawcom przemian klimatycznych nie dawał spokoju nowy czynnik, który wyraźnie już zaczął wpływać na delikatną równowagę klimatyczną. Tym czynnikiem jest właśnie cywilizacyjna działalność ludzi.

Zwrócono uwagę, że w ziemskiej atmosferze, pełniącej wobec planety rolę swego rodzaju płaszcza ochronnego, coraz więcej znajduje się cząstek dwutlenku węgla. CO₂ – gaz pospolity, powstaje przy spalaniu węgla (i substancji, zawierających węgiel, więc wszystkich paliw poza jądrowymi). Zużywa się na Ziemi coraz więcej węgla i ropy naftowej – i coraz więcej dwutlenku węgla

dostaje się do atmosfery. Gaz ten powoduje tak zwany efekt cieplarni (albo „efekt szklarni”) – to znaczy zatrzymuje ciepło wypromieniowywane przez nagrzewaną promieniami Słońca Ziemię. Gdyby się kto dziwił, dlaczego CO₂ najpierw przepuszcza ciepło (od Słońca), potem zaś je zatrzymuje (od Ziemi), wyjaśnię, że energia słoneczna dochodzi do Ziemi głównie w postaci widzialnego światła. To światło przenika bez przeszkód przez warstwę dwutlenku węgla i innych gazów i ogrzewa wszystko. Ale nocą w czasie ochładzania się, planeta oddaje ciepło w postaci niewidzialnych promieni podczerwonych, one zaś skutecznie są zatrzymywane zwłaszcza właśnie przez cząsteczki CO₂. Równowaga między ogrzewaniem a chłodzeniem (czerpaniem energii a jej utratą) jest bardzo delikatna i nietrwała. Działają tu liczne sprzężenia, nadto wchodzi w grę inne także czynniki – m.in. zmiany w ilości pary wodnej, pyłów i różnych „brudów” w powietrzu – i wszystko to oznacza, że wystarczy niewielkie „wahnięcia”, by równowaga się skończyła, a tym samym zaczęły się szybkie zmiany średnich temperatur i w ogóle klimatu. Trudno uwierzyć, jak małe ilości CO₂ mogą zmienić równowagę w gigantycznych masach atmosfery Ziemi, otaczającej glob płaszczem około 50-kilometrowej grubości... Wedle obecnych ocen – wystarczy jedna cząsteczka dwutlenku węgla na milion cząsteczek innych gazów, by średnia temperatura na Ziemi wzrosła o 0,01°C. Działają wprawdzie procesy przeciwnie wzrostowi temperatury, ale...

Wyliczono zatem na komputerach, że wystarczy zmiana proporcji zaledwie o 100–200 cząsteczek dwutlenku węgla na milion cząsteczek gazów atmosfery, aby cały klimat na Ziemi poważnie się zmienił. Sto wobec miliona to zaledwie jedna setna procenta... więc wystarczy zmiana ilości CO₂ o jedną setną procenta!

Można teraz przewidzieć zmiany, trzeba tylko obliczyć, o ile przybywa lub ubywa dwutlenku węgla w atmosferze. Z różnych ocen wiadomo, że przed setkami milionów lat w atmosferze ziemskiej było z przyczyn naturalnych znacznie więcej dwutlenku węgla niż dziś, więc (choć nie tylko z tego powodu) było też znacznie cieplej – dinozaury mogły się plawić w ciepłych wodach, a gigantyczne dżungle porastały całą planetę. Potem stężenie CO₂ w powietrzu powoli malało. Od mniej więcej miliona lat oceny stają się dokładniejsze (można np. mierzyć zawartość CO₂ w pęcherzykach powietrza, zamkniętych na stałe w lodzie, którego wiek jest znany; są też inne metody). Wiadomo zatem, że w ciągu ostatniego miliona lat zawartość CO₂ była już stosunkowo mała i wahała się od 200 cząsteczek na milion – i wtedy panowały epoki lodowe – do 270 cząsteczek na milion – i wtedy na dość krótko powracały ciepłe stulecia... Jest to – widać – niezwykle mała różnica!

Przełom kolejny zaczął się w połowie XIX wieku naszej ery – oto w 1850 r. w atmosferze było już około 280 cząsteczek CO₂ na milion cząsteczek innych gazów. W ten sposób dawała o sobie znać zaczynająca się epoka uprzemysłowienia i energetyki. Wszystko, co pchało cywilizację techniczną naprzód – niszczyło jednocześnie delikatną równowagę geofizyczno-biologiczną na planecie. Oto ciekawy problem głębszej natury – czy zawsze tak być musi? Czy przyczyny tego stanu rzeczy można usunąć, nie zatrzymując postępu, czy też jesteśmy skazani na stałe miotanie się między wymogami cywilizacji i ograniczeniami naszej biologicznej egzystencji?

W każdym razie w 1900 r. pomiar wskazywał już 300 cząsteczek CO₂ na milion cząsteczek gazów powietrza. W 1958 r. – 316 cząsteczek na milion, w 1980 r. – 338, w 1986 – około 350 cząsteczek (warstwy CO₂ nie układają się jednak nad planetą równomiernie). Średnia temperatura nie rosła – na szczęście – z tym samym przyspieszeniem. Jak wspominałem, działają tu różne

czynnik, niektóre przeciw wzrostowi temperatury (na przykład emisje pyłów wulkanicznych, ostatnio częste i potężne).

Jednakże nie ulega wątpliwości, że tempo wzrostu stężenia CO_2 w powietrzu stale ostatnio rośnie. Pewnym stężeniem granicznym ma być 400 cząsteczek na milion – i eksperci toczą spór, kiedy to nastąpi. Wówczas, ich zdaniem, atmosfera Ziemi stanie się taka, jaką była przed milionem lat, a temperatura wzrośnie o kilka stopni Celsjusza. Wystarczy to w zupełności, by stopniały lody Ziemi i wobec tego poziom oceanów w końcu podniósł się – wedle niektórych ocen – aż o 68 metrów! Byłby to rzeczywiście gigantyczny potop, zalanie łądów planety. No, ale nie jest pewne, jakie jeszcze mogą wystąpić czynniki zwalniające lub przyspieszające, zatem prognoza jest w ogóle niepewna, tym bardziej zaś nie można dokładnie ustalić terminu tych wydarzeń ani czasu ich trwania. Być może, jeśli w ogóle dojdzie do globalnego potopu, dojdzie do tego za tyle lat i wszystko potrwa tak długo, że ludzkość zdąży jednak przenieść się na inne planety albo do kolonii w przestrzeni pozaziemskej, albo... wymyślić coś innego.

No tak, ale zapominamy, że nie musi być globalnego potopu i podniesienia poziomu wód aż o kilkadziesiąt metrów. Do wykończenia naszej kruchej cywilizacji wystarczy dziś wzrost poziomu oceanów o 1–2 metry (wtedy właśnie reportaż, którego fragment przytoczyłem na początku, przestanie być fantazją).

W XX stuleciu wody unoszą się co roku o 10 milimetrów, niby nic... Ten niewielki wzrost poziomu spowodowany jest nie przez topnienie się lodów, bo na razie intensywniejsze parowanie oceanów zwiększa opady śniegu, a te nawet powiększają rozmiary czap lodowych. W XX wieku bardzo powolne podnoszenie się wód spowodowane jest przez inne czynniki. Ale w pewnej chwili – w miarę coraz większego ocieplania – w grę wejdzie nowy czynnik, znacznie gwałtowniejszy. Będzie to właśnie początek topnienia czap lodowych na biegunach. Wystarczy tylko nadtopnienie, by poziom wód wzrósł NAGLE o metr, może dwa. Zdaniem większości ekspertów, moment ten teraz się zbliża i nastąpi w samym końcu naszego wieku. Po prostu stężenie CO_2 wzrośnie w powietrzu wystarczająco dużo, by wzrosły wystarczająco również średnie temperatury. No, a wtedy ZACZNIE SIĘ!

Trzeba dodać, że coraz większe masy dwutlenku węgla dostają się do atmosfery nie tylko dlatego że coraz więcej spala się węgla i ropy (same Chiny, które w 1975 r. dostarczały 25% „światowego” CO_2 , w 2025 r. dostarczą go już 50%, nie mówiąc o tzw. Trzecim Świecie, który też przecież gwałtownie się uprzemysławia). Ogromne ilości CO_2 powstają przy wypalaniu dzungli, zwłaszcza w Brazylii – i jest to zbrodnia wobec świata, nie tylko zresztą z powodu powiększenia się ilości tego niby niegroźnego gazu... Wystarczy dodać, że wycięcie lasów w samej tylko Gujanie (na mapie to małe kawałki łąd Ameryki Południowej), może zmienić średnie temperatury o $0,2^\circ\text{C}$ i obniżyć ilość tlenu w atmosferze!

„Efekt cieplarni” potęgowany jest przez metan – a tysiące ton metanu, oprócz fabryk wydzielają co dzień do atmosfery setki milionów... przewodów pokarmowych zwierząt hodowlanych. Czy ktoś kiedykolwiek by pomyślał, że krowy, świny i owce mogą także przyczynić się do zmiany klimatu na Ziemi?

Na pewno wszyscy słyszeli już także o rozciągającej się w stratosferze cienkiej warstewce ozonu (ozon jest formą występowania tlenu; zwykły tlen, którym oddychamy, występuje w formie dwuatomowej – O_2 ; ozon – to po prostu tlen trójatomowy, czyli O_3). Nie jest teraz istotne, jak tworzy się ozon (m.in. w czasie wyładowań elektrycznych, stąd charakterystyczny zapach powietrza w czasie burzy lub w pobliżu łuku elektrycznego).

Ważne – i to bardzo ważne – że tarcza ozonowa wokół Ziemi zatrzymuje 95% śmiertelnie niebezpiecznego dla życia ultrafioletowego promieniowania Słońca. Dziś już nie ulega wątpliwości, że nawet owe 5% ultrafioletu, docierając do Ziemi, wywołuje u ludzi wiele nowotworów skóry (dlatego opalanie się jest niestety niebezpieczne). Nadmiar promieniowania ultrafioletowego spowoduje wzrost zachorowań, jeszcze większy nadmiar może na przykład niszczyć mikroorganizmy, naruszyć równowagę ekologiczną i wywołać lawinę nieprzewidywanych i na pewno groźnych skutków.

Tymczasem ochronna, zbawcza warstwa ozonu robi się coraz cieńsza, ponieważ niszczą ją liczne gazy, wyrzucane z fabrycznych kominów, spaliny samochodowe, niszczą ją także uwalniane z milionów tzw. aerozoli (tych wspnianych pojemniczków rozpryskujących płyny, zapachy i cokolwiek tam trzeba) gaz chlorofluorokarbon, zwany „mordercą ozonu”.

Otóż zmniejszenie się naturalnej warstwy ozonu o jedną trzecią wystarczy także, by nagle wzrosła średnia temperatura Ziemi; jak widać nie trzeba czekać na dwutlenek węgla.

Jesienią 1986 r. ogłoszono, iż nad Antarktydą pojawia się corocznie w „tarczy ozonowej” ogromna dziura – wielkości... Ameryki Północnej. Dziura ta za każdym razem jest większa i nikt jej nie potrafi zaszyć.

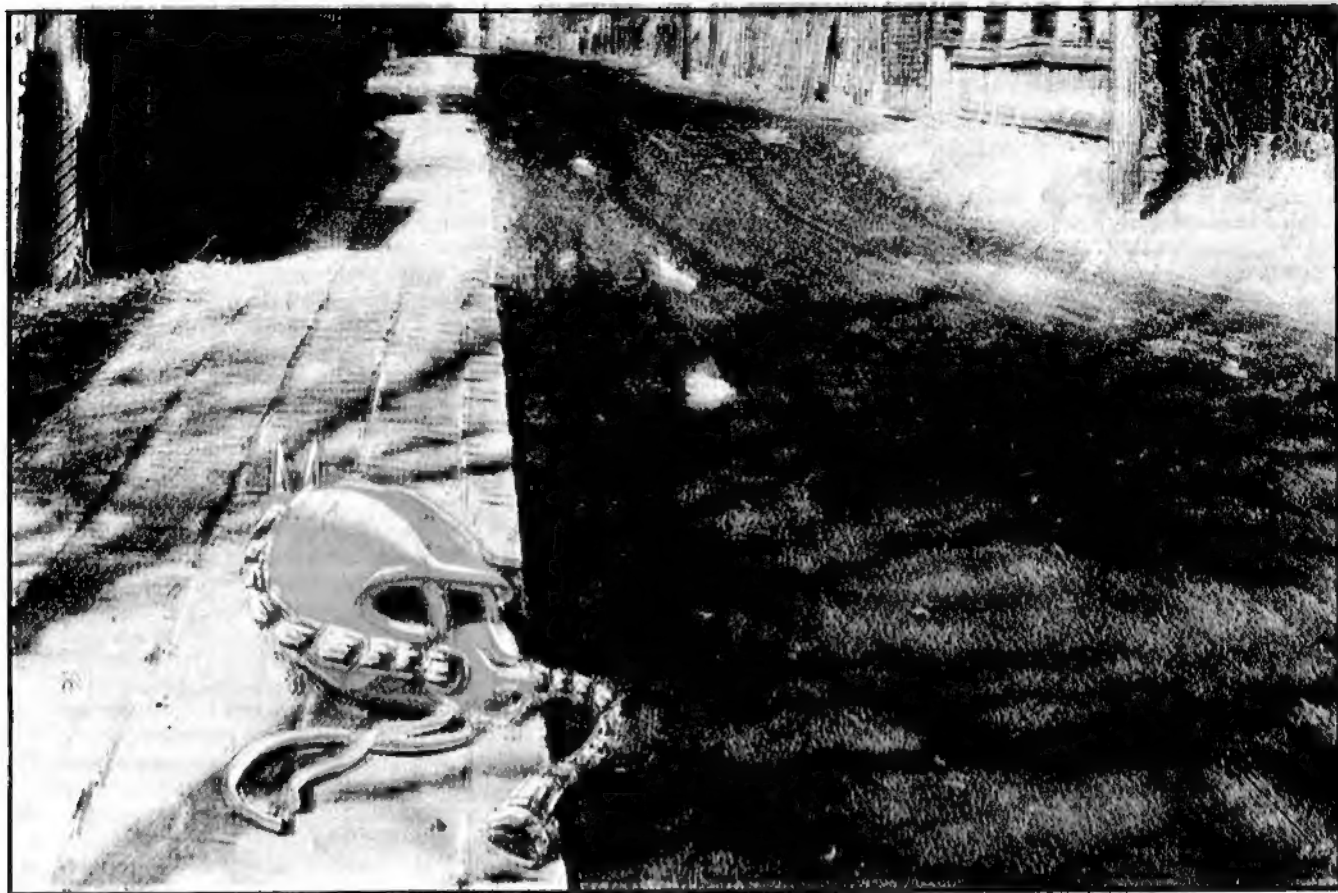
Z jednej strony niknie w stratosferze zbawczy ozon. Z drugiej strony rośnie wokół Ziemi stężenie dwutlenku węgla. Tak czy inaczej już bardzo niedługo może stać się COŚ BARDZO NIEDOBREGO.

Naturalnie niebezpieczeństwu można przeciwdziałać. W zasięgu ludzkich możliwości leży zmniejszenie emisji CO_2 i gazów, niszczących ozon. Na razie rządy ograniczają się do gadania, że „coś trzeba zrobić”, zaś instytucje naukowe przygotowują raporty z taką zwykle konkluzją: „Nasze spostrzeżenia prowadzą do wniosku, że ocieplenie na Ziemi nie może być uznane za problem bieżący lub odległy w czasie” (jest to wniosek z raportu wspomnianej wcześniej amerykańskiej Agencji Ochrony Środowiska).

Mozna nie ufać straszczącym ekspertom i zaufać wyłącznie optymistom. Jest ich wprawdzie bardzo mało wśród klimatologów, ale ta niktą mniejszość uważa, że „efekt cieplarni” zostanie zahamowany innymi efektami o kierunku przeciwnym. Natomiast wzrost stężenia CO_2 w powietrzu wydatnie poprawi wydajność rolnictwa na Ziemi, będącego już u kresu wydajności podtrzymywanej metodami przemysłowymi. Lekkie ogrzanie atmosfery bardzo zresztą nam się przyda – powiadają niekierownicy – lepsze to, niż kolejna epoka lodowa.

Pozostaje więc wiara optymistów. A w ogóle można też się pocieszać, że eksperci (zarówno pesymiści, jak optymiści) nie potrafią dobrze przewidzieć pogody na jutro, dlaczego więc miałoby trafnie przewidzieć, co stanie się za kilka lub kilkadziesiąt lat? Może więc nie warto przejmować się prognozami, zwłaszcza że do potopu na jednych łądach, a suszy na innych – zostało jeszcze trochę czasu.





Beata Włodarczyk i Andrzej Brzeziński

Z satysfakcją informujemy, że redakcja naszego miesięcznika przystąpiła do współpracy z wydawnictwem „Książka i Wiedza”, które w połowie br. uruchomi edycję książek pod nazwą **Biblioteka „Fantastyki”**.

W skład nowej serii wejdą zarówno powieści i opowiadania pisarzy polskich, jak i utwory klasyki światowej stanowiące rodzaj kanonu beletrystyki fantastycznej. Formuła serii jest otwarta – sprowadza się nie tylko do prezentacji gatunku science fiction, ale także – najogólniej biorąc – fantastyki w jej różnorodnych odmianach i postaciach. Podstawowym kryterium serii będzie taki dobór autorów, który ukaże rolę fantastyki w różnych epokach i okresach historycznych. Fantastyka stanowić będzie rodzaj eksperymentu myślowego wkraczającego do literatury tam, gdzie zawodzą realistyczne sposoby opisu świata, a kreacja niezwykłych wydarzeń ukaże istotne prawdy o człowieku, odkryje prawidłowości jego psychiki, skonfrontuje ze światem, w jakim przyszło mu żyć.

Edycja „Biblioteki” nie ograniczy się do wznowień, przypomnień, retrospekcji. Ukazemy także dzieła dzisiejszej fantastyki stwarzającej alternatywne modele rzeczywistości, pobudzającej wyobraźnię, zachęcającej do refleksji nad losami świata. Przedstawimy bestsellery ostatnich lat, pozycje tłumaczone po raz pierwszy na język polski – jako formę promocji – opowiadania pisarzy młodych, niekiedy debiutantów, ale ocenionych przychylnie przez wymagające grono recenzentów.

Pierwszą pozycją, która ukaże się w nowej serii będzie zbiór opowiadań Janusza Zajdla, autora cenionego zarówno przez czytelników, jak i krytyków;

BIBLIOTEKA FANTASTYKI

parada wydawców

współtwórcy socjologicznego nurtu SF, laureata wielu nagród literackich (m.in. Ministra Kultury i Sztuki, „Fantastyki” i „Młodego Technika”). Zbiór opowiadań Janusza Zajdla „Dokąd jedzie ten tramwaj?”, składający się z tekstów socjologicznych, wybranych z wieloletniego dorobku Autora, będzie dowodem jego nieustannej popularności, krótkim przeglądem jego spuścizny literackiej.

Jakich pozycji należy oczekiwać w następnej kolejności? Planujemy wznowienia klasyki polskiej, m.in. trylogii księżycowej Jerzego Żuławskiego („Na srebrnym globie”, „Zwycięzca”, „Stara Ziemia”), opowiadań Franciszka Mirandoli, tekstów Stefana Grabińskiego, Antoniego Słonimskiego, Stanisława Ignacego Witkiewicza, a z pisarzy współczesnych utworów Konrada Fiałkowskiego, Adama Hollanka, Edmunda Wnuka-Lipińskiego, Krzysztofa Borunia, Adama Wiśniewskiego-Snerga, Janusza Zajdla, Wiktora Żwikiewicza, Marka Oramusa, Mariana Promińskiego i Macieja Kuczyńskiego. Bestsellerami klasyki obcojęzycznej będą z pewnością powieści i opowiadania au-

torów zamieszczanych na łamach „Fantastyki”: J. Tiptree, J. Varleya, P. Andersona, P. Pohla oraz K. Lasswita i T. Mielkego. Wszystkie książki będą opatrzone komentarzem krytycznym – każdy obszar językowy będzie miał swojego konsultanta odpowiadającego za dobór najciekawszych pozycji beletrystycznych. Literaturą anglosaską opiekować się będzie długoletni tłumacz, edytor, redaktor almanachu „Kroki w nieznanie”, twórca czytelnikowskiej serii „Z kosmonautą” – Lech Jęczyński oraz tłumacz i autor SF – Dariusz Jerzy Toruń. Prozą rosyjską – tłumacz i krytyk Sławomir Kędziński, niemiecką – tłumacz, redaktor krakowskiego „Pisma Literacko-Artystycznego” – Wacław Sawicki, iberoamerykańską – tłumaczka Barbara Siewak-Sojka, a literaturą polską – redaktorzy: Leszek Bugajski, Andrzej Niewiadowski i Maciej Parowski. Z prośbą o objęcie funkcji głównego konsultanta serii wydawnictwo „Książka i Wiedza” zwróciło się do redaktora Adama Hollanka. Na jego zastępcę zaproponowano Andrzeja Niewiadowskiego.

Biblioteka „Fantastyki” ukaże funkcję literatury fantastycznej w różnych epokach literackich. Będzie to możliwe dzięki realizacji kilku zbiorów historycznych: antologii epoki pozytywizmu, modernizmu i XX-lecia międzywojennego. Każda antologia zostanie opatrzona komentarzem krytycznym.

Największym zainteresowaniem cieszyć się będzie zapewne publikacja autorskich zbiorów opowiadań pisarzy polskich i obcojęzycznych (rodzaj „The Best of...”). Rozpocznemy od twórczości Wiktora Żwikiewicza (zbiór, który ukaże się na początku 1988 roku obejmie teksty z lat siedemdziesiątych prze-regulowane przez autora „Imago”). W dalszej kolejności pojawią się nazwiska Adama Hollanka, Marka Oramusa, Marka Pakcińskiego, Marcina Wolskiego, Andrzeja Wolskiego, Andrzeja Zimniaka, Dariusza Filara, Jerzego Grundkowskiego, Andrzeja Trepki i Stefana Weinfeldta.

Seria „KIW-u” obejmie również „antologię młodych” (zwłaszcza autorów debiutujących na łamach „Fantastyki”). Wyboru tekstów dokona Maciej Parowski.

Propozycja to – jak sądzimy – różnorodna. Wszystkie utwory będą miały czytelną, barwną, atrakcyjną okładkę, na której umieścimy hasło serii Biblioteka „Fantastyki” oraz informacje o najbliższych planach wydawniczych. Rocznie zamierzamy publikować dwie do trzech pozycji książkowych. Mamy świadomość, że przy rosnących brakach papieru i trudnościach poligraficznych nasze zamierzenie może być realizowane stopniowo w ciągu wielu lat. Prosimy zatem o wyrozumiałość i cierpliwość w oczekiwaniu na kolejne pozycje serii.

film i fantastyka

SPIRALA STRACHU

Groźba wojny atomowej to temat nienowowy w twórczości filmowej SF. Sztuka często odzwierciedla współczesne lęki, a strach przed kataklizmem nuklearnym zapuścił już głębokie korzenie w naszej wyobraźni. Obrazów, w których problem ten występuje chociażby marginalnie jest coraz więcej. Aż dwa z opisywanych niedawno w „Fantastyce” mogą posłużyć za przykład. Świat Szalonego Maxa i Terminatora to światy po zagładzie atomowej.

W tego typu filmach przerażające jest oswajanie widza z możliwością wybuchu wojny jądrowej, którą przyjmujemy się jako alternatywę ludzkich losów.

Jednym z najgłośniejszych ostatnio obrazów o tej tematyce był „The Day After” (Nazajutrz), nakręcony w 1983 r. przez Nicholasa Meyera. Obecnie wchodzi na ekrany DKF-ów radziecki film poświęcony w całości życiu, a właściwie umieraniu po wybuchu wojny atomowej.

„Listy Mariwego Człowieka” w reżyserii Konstantina Łopuszańskiego otrzymały na zeszłorocznym, XXXV Międzynarodowym Tygodniu Filmowym w Mannheim Wielką Nagrodę Miasta Mannheim oraz Nagrodę FILPRESCI. Są uważane za najciekawszy radziecki film zrealizowany w ostatnich latach. Są również inne niż te, które dotąd kręcili filmowcy radzieccy. Poruszają po raz pierwszy, i to w sposób niezwykle realistyczny, temat wojny jądrowej i co może być ważniejsze, starają się stawiać pytania nie sugerując odpowiedzi. Wskazują różne drogi wyboru, różne postawy, ale nie oceniają, która z nich jest słuszną. Dlatego mogą być porównywane do eseju filozoficznego. I choć kładą nacisk na postawę głównego bohatera, ten – wierząc w swoją ideę – nie narzuca jej innym, akceptując różne drogi wyboru.

Film rozpoczyna się sceną w schronie atomowym pod ruinami muzeum. Kilkoro znajdujących się tam ludzi, w tym również główny bohater, pedałuje na elektrycznych generatorach, żeby otrzymać pełgające światło. Pokazana rzeczywistość jest tak wyprana z kolorów, że nie potrzeba barwy, żeby ją odmalować – filmowana jest w tonacji ciemnej sepii. Jedyne sekwencja przedstawiająca moment wybuchu jest kolorowa. Ostatnia nasycona barwą chwila na Ziemi – to zalewający wszystko ogień, który pozostawia po sobie świat różnych odcieni szarości. Ciała ludzkie porzucane wśród ruin, porozbijane pojazdy, ulice zalane wodą i wiatr wiejący bez końca.

Odtwórcą głównej roli jest Rolan Bykow kreujący postać naukowca, laureata Nagrody Nobla, który do końca nie chce

uверить, że świat uległ zagładzie. Wciąż pracuje, oblicza nową dobę (ponieważ podział na dni i noce przestał już mieć znaczenie). Pisze też listy do syna, z którego śmiercią również nie chce się pogodzić. Choć jego wiara wydawać się może naiwna lub szalona, twórcy filmu najwyraźniej ją podzielają, ponieważ nie pokazują nic, co by jej przeczyło. Bohater filmu nie znajduje, mimo usilnych poszukiwań, swego dziecka. Pisze więc do niego tytułowe listy, które wbrew otaczającemu go koszmarnowi są pogodne i pełne wiary w przyszłość.

Postacie dzieci odgrywają w tym filmie bardzo ważną rolę. Pokazanie ich w obliczu śmierci i cierpienia to najprostszy i za-

ziemi. Obowiązuje godzina policyjna, po której strzela się bez uprzedzenia do pozostających na ulicach. Kwitnie czarny rynek, pojawiający się zawsze tam, gdzie brak jest jakichś dóbr – w tym przypadku żywności i lekarstw.

Sceneria, w jakiej rozgrywa się akcja filmu przypomina technikę stosowaną przez Szulkina. Łopuszański wykorzystał jednak brud, gruzy i bunkry w sposób niezwykle naturalny, podczas gdy u naszego reżysera bliźsze są one raczej scenie teatralnej, aniżeli autentycznemu życiu. Świetny jest epizod, kiedy główny bohater wraz ze swoim przyjacielem brodzi w wodzie zalewającej ulicę, otoczeni ruinami i dyskutują o problemach życia, z

zostali postawieni, zmusza ludzi do działania według zupełnie nowej logiki. Muszą oni podejmować decyzje, które w normalnym świecie byłyby nie do pomyslenia. Jaskrawym przykładem może być postać lekarza, badającego ludzi po to, żeby ocenić, czy są zdolni do przetrwania w bunkrze centralnym, w którym będą musieli spędzić kilkadziesiąt lat. Ponieważ liczba miejsc jest ograniczona, brak skierowania wydawanego przez lekarza jest równoznaczny z wyrokiem śmierci.

Inną postawę prezentuje dyrektor muzeum, uświadamiając sobie, że stworzone przez człowieka piękno, któremu poświęcił swoje życie, nie mogło zapobiec pogromowi nuklearnemu, spowodowanemu przez drugorzędny błąd komputera, i wobec tego wybiera śmierć.

Film nie precyzuje, gdzie rozgrywa się akcja. Puszki z napisami w różnych językach czy obecność murzyńskiego dziecka wskazują, że reżyser celowo chciał pokazać, iż mogło się to zdarzyć gdziekolwiek.

Mimo że ostatnia scena „Listów Mariwego Człowieka” stara się ocalić nadzieję, cały film rozbudza u widzów strach. Choć film jest projekcją lęków, jakie odczuwamy, reżyser, który był równocześnie współscenarzystą,



wsze przemawiający do widza sposob. Ale tu grupa dzieci z sierocińca stanowi także symboliczne zarzewie przyszłego życia. Opiekujący się nimi naukowcy przekazują im swoją wiarę, że życie gdzieś jeszcze przetrwało. I one wyruszą, żeby go szukać. Warto przypomnieć, że ten sam motyw dzieci, dzięki którym powstanie przyszłe społeczeństwo, pojawił się w króćce części „Mad Maxa”.

Pierwsza część filmu pokazuje świat, w którym przyszło żyć ludziom po zagładzie. Jego mieszkańcy musieli zejść do pod-

maskami gazowymi na twarzach.

Zastanawiające, dlaczego tak często jako element życia społecznego po katastrofie atomowej pokazywany jest hazard. W „Listach” ruletka jest tak samo zabroniona i tak samo prosperuje jak czarny rynek. W „Mad Maxie” koto fortuny staje się narzędziem prawa. A najbardziej jaskrawym przykładem jest „Quintet” Altmana: tytułowy kwintet jest grą, na której opiera się całe życie postatomowego społeczeństwa.

Ekstremalna sytuacja, w jakiej

stał, rejestrując je stworzył dzieło, które przebiega uczuciami, będące jego genezą.

Być może utwory o realnych zagrożeniach bytu nie powinny być tak dobre (?)

Dorota Malinowska

LISTY MARIWEGO CZŁOWIEKA
Scenariusz: Konstantin Łopuszański przy współpracy Wacława Rybkowa i Brjusa Strugackiego. Reżyser: Konstantin Łopuszański. Zdjęcia: Nikołaj Prokopow. Muzyka: Aleksander Szurbin. Wykonawcy: Rolan Bykow, Josif Hyklin, Wiktor Michajłow, Aleksander Sabinin, Władimir Dworzecki, Swietłana Smirnowa i inni. ZSRR, 1986.